

W matni



URKE-NACHALNIK

W matni

POWIEŚĆ SENSACYJNA

ROZDZIAŁ I

W pobliżu domu, w którym zamieszkała Regina, zatrzymała się taksówka z pogaszonymi latarniami. Dobrze zbudowany mężczyzna wślizgnął się do wspomnianej bramy, gdzie znikł. Z przeciwległego rogu ulicy wysunął się Wólkow, który obserwował od dłuższego czasu dom, do którego wszedł profesor Poznański. Zanim Wólkow zdążył zajrzeć szoferowi w oczy, ten dał gazu i odjechał.

Od przeszło dwóch godzin Wólkow obserwował tę kamienicę, nie spostrzegłszy nic szczególnego i podejrzanego, co by upoważniało do natychmiastowego działania. Według otrzymanej dyspozycji, winien był uprzednio porozumieć się z Żarskim, który oczekiwał jego wiadomości w Urzędzie Śledczym. Ale Wólkow postanowił działać na własną rękę. Nie bał się teraz przełożonego Żarskiego. Z doświadczenia wiedział, że zakochani policjanci nie mają zbyt czystego sumienia. Nie uszedł jego uwagi fakt, że Żarski miał już kilkakrotnie Anielę w swoim ręku, ale za każdym razem puszczał ją na wolność...

Przed udaniem się owego dnia do kawiarni Wólkow i Żarski zmienili swój zewnętrzny wygląd nie do poznania. Wólkow robił wrażenie młodego szlachcica. Długi, jasny wąs, krótko strzyżona bródka oraz rogowe okulary gruntownie zmieniły jego wyraz twarzy. Gładko uczesane włosy przeistoczyły się w „czuprynę” charakterystyczną dla działaczy rewolucyjnych owych czasów. Robił raczej wrażenie przywódcy robotniczego.

Wólkow wiedział, jak należy się ucharakteryzować, by „frajery” ustępowali mu z drogi, a ludzie nocy uważali go za „swego” człowieka. Był pewny, że dzisiejszego wieczora stanie się coś, co wydzwignie go wyżej na szczeblu kariery policjanta. Nie wątpił na chwilę, że Żarski „zapomina się” w towarzystwie urodziwej Anieli. Już cieszył się w duchu na myśl o nowym sukcesie. Ale, jakby na złość, w tej chwili wypłynęła w jego wyobraźni postać „Zimnej kokoty”, która spoglądała na niego z ironicznym uśmiechem.

„Już najwyższy czas, bym się jej pozbył — rzekł do siebie i machinalnie namacał browning w kieszeni. — To niezawodna broń”.

Z tych rozmyślań wyrwały go szybkie kroki, na odgłos których przytulił się do muru domu.

Wólkow nie wytrzymał. Z całych sił chwycił „Bajgele”¹ za klapy i potrząsnął nim niby liściem:

- Ty psie, bandyto! Ja cię nauczę!
- Nie denerwuj się. Szkoda twego zdrowia.
- Jeszcze jedno słówko, a będziesz aresztowany!

Ale Bajgele wcale nie uląkł się. Przeciwnie, stawał się zuchwały i groźny. Nawet pchnął silnie Wólkowa, tak że ten ledwie nie zwałił się z nóg. Tego było już za wiele dla aspiranta Wólkowa. Sięgnął po rewolwer.

— Chcesz mnie zastrzelić? Domyślam się, co powiesz na swoje usprawiedliwienie: stary złodziej stawiał opór przy jego aresztowaniu².

Wólkow za sekundę miał nacisnąć cyngiel. Bajgele byłby unieszkodliwiony i zgodnie z jego przewidywaniami Wólkow byłby usprawiedliwiony za zabójstwo przestępcy, gdyż

¹Bajgele — przewisko utworzone od rzeczownika pospolitego oznaczającego rodzaj bulki, obwarzanek, bajgiel. [przypis edytorski]

²stawiał opór przy jego aresztowaniu — dziś popr.: stawiał opór przy aresztowaniu. [przypis edytorski]

ten stawiał opór. Wołkow chciał poznać przyczynę, dla której Bajgele stał się taki hardy. Wiedziony intuicją, Wołkow domyślał się, że w tym coś się kryje. Na pociągnięcie cyngla zawsze jest czas. Wołkow postanowił podejść Bajgele z innej strony.

— Jestem wierny moim zasadom: „swoich” zostawiam w spokoju.

— Uprzedzam cię, że będzie źle z tobą. — Nabierał odwagi Bajgele.

— Powiedz mi lepiej, kto mieszka w tym domu?

— Kto? A ty niby nie wiesz?

— Poważnie mówię: nie wiem.

— To dziwne. Tu można się świetnie zabawić. W tej kamienicy mieści się dobrze urządzone dom rozpusty. Jestem tam stałym gościem.

— Powiedz mi, kto mieszka w tym domu — ponowił pytanie Wołkow w ostrym tonie. — Widziałem wchodzącego tu pewnego pana, w którego wieku nie przystoi taka zabawa.

— Rozumiem: masz na myśli profesora — roześmiał się Bajgele. — Sądzisz, że ludzie uczeni inaczej te sprawy załatwiają?

— Tylko bez głupich żartów.

— Nie wierzysz mi? Mogę się udać tam z tobą. Przekonasz się, że mówię prawdę.

Wołkow usiłował przejrzeć myśli rozmówcy. Nie był tchórzem, ale tym razem, wiedziony intuicją, opierał się tej propozycji.

— Masz pietra? — odezwał się Bajgele. — A ja miałem ciebie za ryzykanta. Zawsze twierdziłem, że urodziłeś się „blatnym”³. Chyba przez pomyłkę zostałeś policjantem...

— Prowadź. Idę z tobą, gdyż pragnę się dowiedzieć o szeregu innych rzeczy, które mnie intrygują.

Wołkow nie miał wątpliwości, że dom, który opuścił Bajgele kryje w sobie ważną tajemnicę. Tym bardziej, że do domu tego skrył się także podejrzany w oczach policji profesor Poznański. Rozsądek powstrzymywał go jednak od alarmowania Urzędu Śledczego. Zbyt często zdarzały mu się wypadki nieuzasadnionych alarmów. Wołkow zdawał sobie sprawę z tego, że jego autorytet ostatnimi czasy został nadszarpnięty.

Wołkow domyślił się, że Bajgele musiał się obłowić i że świetnie mu się powodzi, skoro stać go na tak zuchwałe zadzieranie z policją. Upewniła w tym Wołkowa okoliczność, że Bajgele miał na sobie nowiuteńkie, eleganckie futro. Banda musiała przeprowadzić większą robotę...

Bajgele wszedł na czwarte piętro, spoglądając w szelmowski sposób na towarzysza. Stanąwszy pode drzwiami, Bajgele zapukał w umówiony sposób do drzwi.

— Dlaczego nie dzwonisz?

— Po co psuć zakochanym parkom nastroje — wyjaśnił Bajgele.

Po chwili uchyliły się drzwi i wysunęła się postać kobieca.

— To ja z przyjacielem — rzekł uspakajająco Bajgele.

Kobieta poleciła, by zaczekali i zatrzasnęła drzwi.

— W jakim celu? — zapytał zaniepokojony Wołkow.

— Nie denerwuj się. Tu trzeba wchodzić z uradowaną twarzą. Ona musi przygotować miejsce dla tak ważnego gościa, jak ty.

— Przecież ona mnie nie zna — mruknął Wołkow.

— To nie szkodzi. Jej wystarczy, że widzi cię w moim towarzystwie, by już nie uważała ciebie za byle kogo.

Wreszcie drzwi się otworzyły. W przedpokoju panował półmrok, który nie nastrajał zachęcająco. Bajgele wyczuł, że Wołkow waha się, czy przestąpić ten próg. Pociągnął go za sobą.

— Proszę panów bardzo — zachęcała kobieta, która ich wpuściła. — U nas są swoi ludzie.

Bajgele pchnął drzwi do bocznego pokoju, który był rzęście oświetlony. Wewnątrz nikogo nie było. Pokój był umeblowany wytwornie. Bajgele, który dobrze się czuł w tym lokalu, zrzucił z siebie futro, które położył na krześle.

— Rozgość się i zachowuj, jak u siebie w domu — odezwał się Bajgele do Wołkwa.

³blatny (gw. środ.) — przekupny, przekupiony; działający dla pieniędzy; blat: pieniądz. [przypis edytorski]

Gdy Bajgele naradzał się szeptem z gospodynią, Wołkow usłyszał, jak ktoś w przyległym pokoju dusi w sobie śmiech. Serce Wołkova zabiło silniej. Przez mózg przebiegła mu przykra myśl: „oni mnie tu wykończą na zimno”. Instynktownie sięgnął ręką do kieszeni, w której leżał rewolwer.

Wołkow siedział w pokoju sam przez kilka chwil. Nawet Bajgele gdzieś znikł. Niepokój Wołkova potęgował się. Był na siebie zły, że dał się naciągnąć tak lekkomyślnie przez Bajgele. Nerwowo przeszedł się po pokoju i stanął przed podwójnymi i tak hermetycznie zamkniętymi oknami, że ledwie hałas ulicy można tu było usłyszeć. Wołkow wytężył umysł nad tym, jak się stąd czym prędzej uwolnić.

A śmiech z przyległego pokoju nie ustawał, jakby ktoś z niego kpił. Wołkow postanowił zareagować:

— Co to ma znaczyć?! — zawołał i kopnął nogą w drzwi.

Bajgele natychmiast się zjawił i z uśmiechem na ustach zawołał:

— Fe, nieładnie urządzać awantury w obcym domu. Sądziłem, że jesteś dżentelmem.

— Co to wszystko ma znaczyć? — ostro zapytał Wołkow. — Co to za kawały?

— Tylko bez nerwów, przyjacielu. Przygotowują tu dla ciebie takie przyjęcie, którego na pewno nie znalazłeś nigdzie jeszcze. Wnet wprowadzą ci tu najpiękniejsze dziewczęta. Muszą się jednak odpowiednio uszmkować.

— Co mnie zawracasz gitarę z kobietami. Przecież nie po to tu przyszedłem.

— A po co? — zapytał zdziwiony Bajgele.

— Po raz ostatni uprzedzam cię: tylko bez kawałów!

— Ja mówię poważnie.

— Gdzie profesor?

— Ach, o niego ci chodzi, to naprawdę profesor w swoim fachu... Ale on jest teraz zajęty...

Wołkow poczynił krok naprzód i chciał otworzyć drzwi prowadzące do drugiego pokoju. Bajgele zasłonił mu drogę, wybuchając śmiechem:

— Bez pośpiechu, przyjacielu. U nas, gdy się ktoś spieszy, dzieje mu się krzywda. Bądź cierpliwy, jeszcze tylko dziesięć minut na zegarze.

Bajgele wskazał przy tym ręką na ścienny zegar. Wołkow nie miał teraz wątpliwości, że Bajgele zabawia się z nim w kota i myszkę. Każda minuta wydawała mu się wiecznością. Bajgele miał tak dziwny i odrażający wyraz twarzy, że Wołkow postanowił opuścić ten podejrzany lokal.

Ale oto naraz światła zostały pogaszone. Ciemności egipskie zaległy mieszkanie.

— Zapal światło, bo będę strzelał! — zawołał przerażony Wołkow.

W odpowiedzi rozległ się donośny śmiech. Wołkova obleciał teraz niesamowity strach. Wiedziony przecuciem, które mówiło, że grozi mu teraz wielkie niebezpieczeństwo, uczynił krok naprzód, gdy naraz poczuł silne uderzenie twardym przedmiotem w nogi. Okrzyk bólu zastępnął na jego ustach.

Zanim Wołkow zdążył zorientować się w sytuacji, znów ktoś zapalił światło w pokoju. Bajgele siedział przy stole, jakby nic nie zaszło. Szatański uśmieszek na twarzy mówił za niego...

Wołkow zerwał się wściekły z miejsca:

— Co za kawały będziesz mi tu wyprawiał. Ja cię nauczę!

I uczynił ruch, jakby chciał chwycić Bajgele za kołnierz. Ale ten odtrącił go i roześmiał się na głos.

— Siadaj! — rozkazał Bajgele.

Wołkow nie tracił nadziei, że to wciąż jakiś kawał. Chociaż w duchu myślał o zemście świata podziemnego, który w takich razach jest okrutny. Za ścianą muszą tu być zebrani przyjaciele Bajgele i stąd płynie jego odwaga i zuchwalstwo. W takim razie ostra postawa i groźba zastosowania siły na nic się nie przydadzą. Postanowił tedy cierpliwie znosić te męki do końca. W podświadomości liczył wreszcie na to, że Bajgele nie pozwoli na bestialską rozprawę z nim.

Wreszcie rozległy się ciężkie kroki. W mgnieniu oka Wołkow był otoczony przez grono osób, trzymających rewolwery w rękę.

— Panowie przedstawią się — rzekł Bajgele. — Wołkow, moi towarzysze.

Wółkow stał, nie ruszając się z miejsca, jakby był przykuty do podłogi. Ze strachu wypuścił z ręki rewolwer, który spadł na podłogę. Drżał jak liść.

— Co, znasz ich? — spytał z ironią w głosie Bajgełe, zwracając się z tym do Wółkowa.

Wółkow nie odpowiadał.

— Mam wrażenie, że ich nie poznajesz — ciągnął dalej Bajgełe. — Wobec tego kolejno ci ich przedstawię: to Klawy Janek; zapewne niejedno o nim słyszałeś i wiesz. Zresztą, jesteśmy „swoi” ludzie — roześmiał się Bajgełe na głos.

Wółkow zmierzył się z Jankiem. Pierwszy odezwał się Janek:

— Już dawno szukałem okazji rozmówienia się z tobą!

Wółkow milczał.

— Nie bądźże tak przerażony — wtrącił się Bajgełe. — Nie jesteśmy tacy straszni ani odrażający. Przeciwnie, jesteśmy znani z gościnności. I nie obawiaj się: zaręczam ci, że włos z głowy ci nie spadnie.

— Tylko cała głowa — mruknął Moryc.

— Ach tak, zapomniałem ci przedstawić znanego Amerykanina — dowcipkował się⁴ Bajgełe. — Złota to rączka. Nie obawia się nikogo na świecie. Jeżeli odczuwa strach, to tylko przed szczurami...

Śmiech rozległ się w pokoju. Jedynie Wółkow nie mógł wydobyć głosu. Twarz jego na przemian pokrywały to rumieńce, to błądź. Odnosiło się wrażenie, jakby za chwilę miał dostać ataku sercowego.

— A oto towarzyszy Krygier, o którym zapewne wiele słyszałeś — pełnił dalej Bajgełe rolę aranzera zabawy. — A ci trzej to jego nieodłączni i wierni towarzysze: Antek, Felek i „Milczek”. Niejedną jeszcze będziesz miał z nich pociechę, panie komisarzu. Zdolni chłopcy...

Regina nie zdejmowała oka z profesora, który stał niespostrzeżony przez nikogo w pobliżu drzwi w celach obserwacyjnych, czyniąc pośpiesznie uwagi w notesiku.

— Aha, byłbym zapomniał o profesorze, o którego tak się dopytywałeś — dorzucił Bajgełe, wskazując na stojącego w kącie poznańczyka.

Profesor, współczując Wółkowi, odezwał się:

— Co zanadto, to niezdrowo: czego chcecie panowie od komisarza Wółkowa?

— Czego chcemy?... — podchwycił to pytanie Krygier. — Właściwie mówiąc, nic... Pragniemy porozmawiać i... Będzie pan miał, panie profesorze, okazję przysłuchania się tej rozmowie.

Wółkow powoli odzyskiwał równowagę. Zrozumiał, że jego życiu nie zagraża niebezpieczeństwo. W duchu tylko pomyślał: „niechaj się wydostanę stąd, a potem dam im nauczkę!”

Przyjrzał się bliżej Klawemu Jankowi i nie wierzył własnym oczom, że tak łagodny z wyglądu młodzian jest osławionym opryszkiem. Mózg jego przebiegła w tej chwili myśl: „ach, gdyby się tak stał cud i nadeszła w porę pomoc, byłbym przecież w ciągu sekundy nakrył tę bandę”.

Po chwili wszyscy siedzieli już przy stole.

— Co słychać w Urzędzie Śledczym? — spytał Krygier Wółkowa, uśmiechając się. — Nie stęskniliście się tam za mną?

— Oho! — uśmiechnął się Wółkow. — Gdybyście wiedzieli, jak was poszukujemy!... Ostatnie włamanie do skarbcza udało się, co?

— Doskonale robota wypadła — odezwał się Janek.

— Hm... — mruknął Wółkow pod nosem. — Przynajmniej oplacała się...

— Naturalnie. Wykonujemy tylko takie roboty, które przynoszą dochód.

Bajgełe zbliżył się do Reginy i rzekł:

— Podaj do stołu. Tak miłego gościa nie podejmiemy „na sucho”. Musimy wypić „bruderszaft”.

— Ze mną? — uśmiechnął się Wółkow.

— Dlaczegoż by nie? — zauważył Janek. — Nie chciałbyś nawiązać z nami bliższych stosunków?

Wółkow zarumienił się i odpowiedział:

⁴dowcipkował się — dziś popr.: dowcipkował. [przypis edytorski]

— Zależy na jakich warunkach.
— Na bardzo dogodnych — odezwał się Krygier.
Po chwili ciszy, która zapanowała, Bajgele zabrał głos:
— Założymy swego rodzaju „spółkę”. Nieraz ci mówiłem, że byłby z ciebie lepszy złodziej niż policjant.

Na stole pojawiły się przednie trunki. Bajgele nalał kieliszki i zawołał:

— Pijemy za pomyślność naszej przyjaźni. Mam nadzieję, że odtąd nie będziesz nas prześladował. Mamy, co prawda, stare porachunki, przyjacielu. Nie tyle ja, ile mój towarzysz, „Klawy” Janek. Pamiętasz chyba jego robotę u hrabiny?...

— Tak, przypominam sobie — wyjąkał Wołkow.

— Przypominasz sobie zatem i ten szczegół, jak podstępem zwabiłeś mnie do tak-sówki i zawiozłeś do Urzędu Śledczego? Muszę przyznać, że to był dobry pomysł.

Zebrany poprawił się humor. Bajgele wykorzystał tę okazję, by powtórzyć kolejkę.

— Za zdrowie obecnych! — zawołał Bajgele.

Wołkow siedział jakby przykuty do krzesła.

— Nie zawstydzisz nas — zwrócił się do niego Bajgele. — Pij! Nie obawiaj się! Nie otrujesz się! Za życia możesz nam oddać większe usługi niż po śmierci...

Bajgele przy tym poklepał przyjaźnie Wołkova po plecach. Wołkow życzył sobie w duchu, by ziemia się pod nim rozstała. Nie mógł już dłużej wytrzymać w ich towarzystwie. Ale bał się zdradzić ze swoich myśli. Musiał pić z tym towarzystwem. A Bajgele jako mistrz ceremonii wznosił toasty to „za zdrowie blatnych”, to „za pomyślność ment⁵, które dają się otruć” itd.

Bajgele w pewnym momencie szepnął Wołkowi na ucho: „Zdejm przyczepione długie wąsy, nie do twarzy ci w nich”. I nie czekając na zgodę Wołkova, Bajgele jednym pociągnięciem ręki zdarł mu „przyczepkę”. Wołkow podskoczył z oburzenia.

— O! Teraz cię poznaję! — zawołał Janek. — Pragnę właśnie rozmówić się z tobą, bez maski.

— Proszę bardzo! — wyjąkał Wołkow.

Z tajemniczym uśmiechem na ustach, Janek napełnił kieliszki i rzekł:

— Zanim przystąpię do sedna rzeczy, musimy raz jeden wypić za zdrowie narzeczzonej policjanta zamordowanego krytycznej nocy, po obrabowaniu hrabiny.

Oczy zebranych zatopiły się w twarzy Wołkova, który naraz, jakby zakolysał się na krześle, a kieliszek wypadł mu z ręki, spadając z brzękiem na podłogę. Wołkow siedział ze zwieszoną głową, jakby dostał ataku sercowego.

— Rozumiemy, rozumiemy cię... — odezwał się Bajgele. — Wzruszyłeś się niedołą policjanta...

Zebrani porozumieli się spojrzeniem.

— Powiedz mi, Wołkow — odezwał się Janek — ile dałeś właścicielowi domu za-jezdnego, że mnie zadenuncjował?

— Niedużo, dwieście dolarów.

— Tak mało? Żałuję, że nie byłem wówczas więcej wart — uśmiechnął się Janek. — A teraz powiedz mi, Wołkow, czy, jeżeli cię puścimy stąd, będziesz nas nadal prześladował?

— Muszę. Jestem policjantem. To mój obowiązek.

— A jeżeli ci damy grubszą sumkę?

— Nie przyjmuję łapówek.

— Od kiedy? — uśmiechał się Bajgele.

— To moja sprawa.

— Ale i nasza — zauważył dyplomatycznie Janek. — Pytamy o to, bo jesteśmy w tym zainteresowani.

— I mnie interesuje wiele rzeczy, a jednak o nie nie pytam — odparł Wołkow.

— Możesz pytać o wszystko, nawet o to prosimy — zauważył Bajgele.

Nerwy Wołkova nie wytrzymały. Nie wiedział, jak się wy dostać z opresji. Wstał i zawołał nerwowo:

— Mówcie otwarcie! Nie męczcie mnie! Wpadłem, powiedzcie tedy, czego chcecie ode mnie i co mam uczynić?

⁵menta — policjant. [przypis edytorski]

— Bardzo wiele masz uczynić dla nas — rzucił Bajgele.
— Dosyć wytaczaliście moją krew! — unosił się Wołkow.
— Co też wpada do twojej głowy policyjnej?! — drażnił go Bajgele. — Komu z nas może się przydać twoja krew?...

Profesor, który siedział na uboczu i przysłuchiwał się rozmowie, nie mógł dłużej przypatrywać się mękom zadawanym Wołkowi.

— Powiedźcie mu od razu, o co chodzi — zwrócił się do zebranych z prośbą w głosie.

Oczy Wołkova wyrażały teraz wdzięczność profesorowi.

Ale wtem zabrał głos Krygier, który odezwał się:

— Panie profesorze, proszę nie wtrącać się do nieswoich spraw. Gdy który z nas dostaje się w ich ręce w Urzędzie Śledczym, także nie zaznaje litości.

— Ale trochę więcej człowieczeństwa! — apelował profesor do uczuć bandy Janka.

— Człowieczeństwa! — podchwycił to słowo Krygier. — A kiedy ja długie lata tkłem się w czterech ścianach brudnej celi więziennej, niby lew w klatce cierpiałem w niemieckim Zuchthaus⁶ głód i chłód, czy któremukolwiek z moich prześladowców wpadło na myśl, że i ja mam serce, duszę, mózg i ciało? Przypominam sobie pierwszy wyrok skazujący, kiedy w rzeczywistości byłem niewinny! Ach, wówczas to przekonałem się, ile sadyzmu wyrażała twarz mego oskarżyciela!... Czyż on miał dla mnie człowieczeństwo?

— Ale to, zdaje się, należy już do przeszłości — przerwał mu Janek — a ja muszę jeszcze z Wołkowem o wielu sprawach pomówić.

I przysunąwszy się bliżej do Wołkova, Janek zatopił w jego twarzy parę gorejących, czarnych oczu.

— Powiedz mi — przystąpił Janek do rzeczy — co mamy uczynić, abyś nas więcej nie prześladował? Uprzedzam, że na twoje stanowisko i rangę gwizdźmy. No, więc?

— Możecie ze mną zrobić, co wam się żywnie podoba — odparł Wołkow bezradnie.

— Nic ci nie zrobię, o ile zostaniesz naszym udziałowcem i będziesz członkiem naszej bandy.

— Jak śmiesz mi coś podobnego zaproponować? — wrzasnął Wołkow.

— Więc odmawiasz? Nie masz ochoty? Nie przystoi ci się z nami kolegować? — świdrował go teraz oczyma Krygier.

Wołkow nie odpowiadał.

— Kierujesz się naszą taktyką — ciągnął dalej Krygier. — Milczenie to złoto.

— Pewnie — mruknął Wołkow pod nosem.

— Ale my potrafimy ci język rozwiązać. Uczynimy to nie gorzej od waszych specjalistów w Urzędzie Śledczym! Kolega Milczek potrafi nie gorzej od was.

Krygier wskazał palcem na Milczka, który przez cały czas siedział z boku, a ręce aż swędziły od chęci... Z rozkoszą byłby się załatwił teraz z Wołkowem.

— Spróbujcie — odparł Wołkow, zagryzłszy wargę. — Przekonacie się, że i ja potrafię milczeć.

— Ciekaw jestem czy wytrzymasz — zawołał surowo Janek. — Czy przypominasz sobie, jak to w Urzędzie Śledczym zajeżdżałeś mi pięściami aż pod nos?

— Mam słabą pamięć — siłił się Wołkow na odwagę. — Jeszcze możesz się tam znów znaleźć.

— U was, tam?... Tak!... Zresztą, wszystko jest możliwe! Ale i to jest pewne, że ty tam nie będziesz miał głosu.

Wołkova ogarnął niepokój i strach:

— Co, zamierzacie mnie zakatrupić?

— A po co od razu zabijać? — odezwał się Moryc. — W zasadzie unikamy „mokrej roboty”.

— Zależy od wypadku — ironizował Wołkow.

— Masz rację — wtrącił się Janek. — Ale krytycznej nocy, kiedy obrobiliśmy hrabinę, policjanta nie zamordowaliśmy.

Wszyscy utkwili oczy w twarzy Wołkova, który ledwie wymógł na sobie te słowa:

— Któż tedy, jeżeli nie wy, zamordował policjanta?

⁶Zuchthaus (niem.) — zakład karny. [przypis edytorski]

— Co??? — Nie wytrzymał Janek i lekko uniół się w górę, wyciągnąwszy przed siebie ręce. Robił wrażenie drapieżnika, który za chwilę gotów jest wpić się szponami w swą ofiarę. — Coś powiedział przed chwilą? Że my jesteśmy zabójcami policjanta?...

— W Urzędzie Śledczym są tego zdania. Mnie to zresztą nie obchodzi — odparł Wołkow.

— Ale mnie to obchodzi! — stuknął Janek pięścią w stół.

W ogólnym napięciu dał się słyszeć dziwny śmiech kobiety, od którego Wołkowowi aż zimno się zrobiło.

— Kto się tak śmieje? — zapytał Wołkow nieswoim głosem.

— Dziewczynki! Dziewczynki ładne i kuszące, panie komisarzu — wyjaśnił Bajgele z nadrobioną wesołością.

Wołkow głęboko odetchnął. W tym momencie Janek krzyknął:

— Wołkow! Gdzie mój udział w robocie u hrabiny?

— Co? Coś powiedział?... — wyjąkał Wołkow przerażony, wodząc ręką po zroszonym potem czole.

— Powiadam ci, abys mi natychmiast zwrócił moją część łupu zrabowanego hrabinie. Zapominasz, że byłem współnikiem do tej wyprawy.

— Nie rozumiem, o co ci chodzi. Czego żądasz ode mnie? — zawołał Wołkow, bliski szału.

— Domagamy się udziału w wielkiej sumie obcej waluty, którą zabrałeś zamordowanemu policjantowi.

— Ja?...

— Tak, to ty zamordowałeś policjanta! — wykrzyknął Janek.

Profesor, który przez cały czas obserwował rozmówców, zbliżył się do nich raptownie. Nie wierzył własnym oczom i uszom.

Ale Wołkow parsknął śmiechem:

— Co się wam przyśniło, do licha? I co jeszcze zmyślicie?

— Nic więcej — odparł spokojnie Janek. — Chcemy, abys się przyznał, że owej nocy, kiedy obrobiliśmy hrabinę, zamordowałeś policjanta i odebrałeś mu tekę z łupem, którą w czasie ucieczki zgubiłem.

Profesor gotów był przysiąc, że Janek znów dostał ataku szału i że postradał zmysły.

— Pan sądzi, że nie mówię do rzeczy? — zwrócił się Janek do profesora. — Zapewniam pana, że jestem przytomny i wiem, co mówię.

Ale Wołkow, śmiejąc się, przerwał Jankowi:

— Sądzicie, że każdy jest zdolny ot tak sobie zamordować człowieka, jak wy? Szkoda waszych zabiegów. Nie lękam się waszych oszczerstw i w dodatku tak głupich. Dziwię się, że dla takich bzdur podstępem zwabiliście mnie tu, do tego domu.

— Dobrowolnie tu siedłeś — rzekł Bajgele. — A zresztą, gdybyś dziś nie przyszedł, sprowadziłbym cię tutaj innym razem.

Profesor nie mógł dłużej tego znieść i odezwał się:

— O ile się nie mylę, pan Wołkow jest aspirantem policji. Czy macie dowody, że ten pan jest mordercą?

Krygier podszedł do profesora i oświadczył mu:

— Tak jest w rzeczywistości. Oto ma pan egzemplarz człowieka, który prześladowa człowieka pod zarzutem zamordowania policjanta, którego sam sprzątnął. Oto jak wygląda wasz „nadświatek”.

— Kłamstwo!... To ohydne kłamstwo!... — zerwał się Wołkow z miejsca, dobywszy momentalnie rewolweru.

Ale zanim Wołkow zorientował się w sytuacji, Milczek jednym skokiem był przy nim i wyrwał mu broń z ręki. Milczek usiłował go nawet poczęstować rękojeścią browningu, ale Janek i Krygier odepchnęli go.

— Dosyć go bijemy tym, że demaskujemy jego zbrodnię — zauważył Moryc. — Jesteśmy ludźmi kulturalnymi.

— Panie Wołkow — odezwał się Krygier — przyznajesz się, czy nie?

Wołkow milczał.

— Radzę ci po przyjacielsku, odpowiadaj — odezwał się Bajgele.

— Nie mam się do czego przyznawać. Nikt zresztą nie wierzy waszym bredniom. To, co wy mnie zarzucacie, jest wymysłem dla zemsty.

— Właśnie dlatego, że nikt nam nie uwierzy, wolimy, abys ty się przyznał. My wszak jesteśmy zbrodniarzami, a ty przyzwoitym człowiekiem, komisarzem policji, stróżem bezpieczeństwa — ironizował Krygier.

Janek złapał Wołkowa za kłapy i zatopiwszy swój wzrok w jego przerażonych oczach, zapytał:

— Przyznajesz się czy nie? — krzyczał Janek.

— Tylko bez przemocy! — odezwał się profesor.

— Przecież to ich metoda — zawołał Krygier.

— Przyznajesz się czy nie? — krzyczał w niebo.

— Nie! — jeszcze głośniej wołał Wołkow.

Janek głośno klasnął dłońmi. Jakby w odpowiedzi na to z drugiego pokoju rozległ się śmiech kobiety. W chwilę po tym drzwi się otwały i na progu ukazała się „Zimna kokota”. Odważnie zbliżyła się do Wołkowa.

— Znasz tę dziewczynę? — roześmiał się Bajgele. — Widzisz, że cię nie oszukałem i że w tym domu są ładne kobietki...

Wołkow spojrzał ostro na „Zimną kokotę”, ale zanim zdążył coś powiedzieć, rzuciła mu prosto w twarz:

— Tyś zamordował policjanta!... Już zapomniałeś, coś mi powiedział?

Wołkow był zdruzgotany. „Zimna kokota” ciągnęła dalej:

— Coś przypuszczał? Że ciebie Kocham?!... Ha-ha-ha... Ja, córka starego złodzieja miałabym kochać policjanta, który prześladowa moich najbliższych? Zawsze cię nienawidziłam, a teraz daję ci tego dowód!

Wołkow, wściekły, zawołał:

— Zabierzcie tę „skórę” sprzed moich oczu! A z wami ułożę się!

— Już ci się nie podobam? — drażniła go.

Janek rozkazał jej, by opuściła pokój.

— No, teraz jesteśmy na dobrej drodze i możemy przystąpić do sedna sprawy — rzekł Krygier.

Profesor, który był świadkiem tego zajścia, odezwał się:

— Zbytecznie traciłem tyle czasu na studia psychologii przestępców... Teraz już naprawdę nie wiem, kto jest porządnym człowiekiem, a kto zbrodniarzem... Człowiek to zagadka.

Profesor wygłosił jeszcze szereg sentencji, po czym na pożegnanie im rzekł:

— Rozstaję się z wami i radzę wam, jako człowiek życzliwy, abyście zmienili zawód i tryb życia. Oszukujecie tylko siebie.

Po wyjściu profesora Wołkow odezwał się pierwszy:

— Po co wam potrzebna była obecność profesora? Czyż musi wiedzieć szczegółowo o naszych sprawach?!... Sądziłem, że działacie z większą ostrożnością i w większej konspiracji.

— O, teraz mi się podobasz! — zawołał Bajgele. — Gadasz jak blatny, a nie jak policjant. Szkoda, że nie byłeś z nami o wiele wcześniej szczerzy.

Ale oto stała się rzecz nieoczekiwana, Wołkow wstał z miejsca. Jego twarz zdradzała dawną pewność siebie.

— Do diabła! — zawołał Wołkow. — Czy wy sobie wyobrażacie, że naprawdę się was uląkłem? Wasz trik z „Zimną kokotą” na nic się nie przyda. I jak ważyliście się mnie tu wziąć na badanie, jakbym był złodziejaskiem na podobieństwo wielu z was?

— Nie denerwuj się! — odezwał się Krygier. — Mamy w rękę przeciw tobie takie dowody, że już się nie wykręcisz.

— Dowody? Jakie? — udawał Wołkow pewnego siebie.

— Na okazywanie dowodów mamy zawsze czas. Teraz zależy nam na tym, abys się sam przyznał do zbrodni — rzekł Bajgele.

— Nie mam do czego się przyznawać — trzymał się Wołkow swego.

— Zmienisz swoje zdanie — rzucił ostro Janek. — Daję ci dziesięć minut czasu⁷ na zastanowienie się.

Krygier zaś zabrał się do Wólkowa od innej strony:

— Trudno. W życiu nieraz następuje zamiana ról. Niejednokrotnie postępowaliśmy z aresztowanymi tak samo, jak my teraz z tobą. Różnica polega tylko na tym, że nie odeślemy cię do więzienia, nawet gdy nam wyznasz stuprocentową prawdę. Przeciwnie, po takiej robocie nabraliśmy do ciebie więcej zaufania. Cenimy ludzi, którzy radzą sobie w życiu. Pensja policjanta nie może starczyć dla człowieka o twoim pokroju i temperamencie. „Zimna kokota” nie lubi ludzi utrzymujących się tylko z pensji.

Wólkow siedział przygnębiony. Był bezsilny wobec tej bandy. Zapytał w pewnym momencie:

— Czego dziś chcecie ode mnie?

— Abyś został naszym współnikiem — odrzekł Krygier.

— Dziękuję za ofertę — padła odpowiedź Wólkowa.

— Więc nie chcesz się przyznać do zbrodni zabójstwa policjanta?

— Nie doczekacie się chyba tego.

— W takim razie — odparł Krygier — udowodnimy ci tę zbrodnię. Wyjąwszy z teczki dwie paczki banknotów dolarowych, Krygier podsunął je Wólkowowi:

— Poznajesz je? Przyjrzyj się im bliżej! Te banknoty leżały w teczce zamordowanego policjanta.

Wólkow drgnął. Trupia bladeść pokryła jego twarz. Bajgele podsunął mu kielich wina do ust:

— Tylko nie mdlej. Nie wypada...

Wólkow po chwili milczenia zadał zebrany pytanie:

— Skarbiec to wasza robota?

— Przecież wiesz, że nasza.

— Tak, jesteście mądrzejsi od nas — mruknął Wólkow.

— Mądrzejsi, nie powiedziałbym — zauważył Krygier — ale pracowitsi, to owszem. Nie czekamy na pomoc konfidentów czy kapusiów. Gdybyś z nami utrzymywał bliższe stosunki, twojej kasety nie tknęlibyśmy.

— Skąd wiecie, że w ogóle miałem safes w tym skarbcu?

— Mamy nie gorsze informacje od was, gdy nam na tym zależy — drażnił Wólkowa Krygier swoimi uwagami.

— Ona wam o tym mówiła! — zawołał oburzony Wólkow. — Ja ją!...

— Nic jej nie zrobisz! — odparł Janek. — Będziesz robił, co my ci nakażemy. Od razu poznałem te paczki banknotów po banderolkach. Nie zmieniłeś ich. W tym stanie zabrałem je z kasy hrabiny. Pochodzą one z tej samej teki, którą zgubiłem, gdy przesadziłem plot, ścigany przez policjanta, później zamordowanego przez ciebie.

Wólkow z każdą minutą coraz głębiej się upewniał, że już się nie wykręci z ich rąk. Leżał na obu łopatkach. Postanowił ratować się z opresji.

W pierwszej chwili, gdy widział że wpadł, myślał o samobójstwie. Później szukał sposobu na wydostanie się z ich rąk. Pod koniec zrezygnował z tych postanowień i zdecydował się na kompromis...

Moryc podsunął Wólkowowi wyjście:

— O ile pan zdaje sobie sprawę z sytuacji, w jakiej się obecnie znajduje, łatwo dojdzie pan do wniosku, że o wiele lepiej uczyni, gdy z nami nie będzie zadzierał.

— Pan ma rację — przytaknął mu Wólkow. — Co mam tedy uczynić?

— Przede wszystkim — zabrał w tym miejscu głos Bajgele — wypić po kieliszku.

Wólkow nie wzbraniał się. Wychylił dużą szklankę czystej i zacierając ręce, rzekł:

— Jestem wasz człowiek. Możecie ze mną mówić otwarcie.

Krygier kiwnął głową na Janka, który przemówił:

— Po pierwsze, musisz nam powiedzieć, ile pieniędzy było w teczce. Po drugie, podział zrobimy na równe części. Musisz pamiętać o tym, że miałem jeszcze dwóch pomocników i „uganiacza”, ogółem więc pięć udziałów.

— A pieniądze, które zabraliście z kasety? — zapytał Wólkow.

⁷dziesięć minut czasu — błąd logiczny: pleonazm. [przypis edytorski]

— Będą objęte rozliczeniem — wyjaśnił Krygier. — Uważamy cię za równego współnika.

— Więc czego jeszcze chcecie ode mnie? Dziś mam dyżur w Urzędzie Śledczym.

— Nie żądamy mało, ale też nie żądamy dużo — rzekł Krygier. — Nasze warunki są: zostaniesz stałym współnikiem naszej bandy. Zachowując stanowisko komisarza policji, możesz nam oddawać bezcenne usługi. A w zamian otrzymywać będziesz zyski ze wszystkich naszych wypraw. Dla nich będziesz komisarzem, dla nas wiernym towarzyszem.

— Za wiele żądasz ode mnie! — oburzył się Wołkow. — Tak podłym nie mogę być przez całe życie!

— Tak podłym? — parsknął śmiechem Krygier. — Czyż trzeba było większej podłości od tej, której dopuściłeś się wobec podwładnego policjanta? Sądzę, że powinieneś być nam wdzięczny, iż nie wzgardzamy tobą i bierzemy cię na współnika.

Wołkow odnosił wrażenie, że ciężar rzucony nań zniecka przygniatał go coraz niżej do ziemi. Nie mógł oponować ani podnieść oczu. Z zimnego wzroku Krygiera wywnioskował, że to człowiek bezwzględny, ostry i przebiegły. Wołkow zdawał sobie sprawę, że wpadł do sieci zręcznie nastawionych.

Ogarnął umysłem przejścia z całego dnia i doszedł do przekonania, iż właściwie lepiej się stało, że dziś dowiedział się o zdradzie kochanki oraz o wykradzeniu dolarów z jego kasetki. Już w myśli szukał sposobu wydostania się z opresji. Teraz musi na wszystko przystać i się zgodzić, ale potem...

Nie mógłby dokładnie określić, co zamierzał uczynić potem. W podświadomości marzył o paszporcie zagranicznym, o grubszej forsie, a reszta...

„Uciekać! Uciekać stąd jak najprędzej!” — oto co nakazywał mu instynkt samozachowawczy.

Przez mózg przebiegła okropna myśl o szubienicy, na którą niejednego przestępcę już zaprowadził. Zimny pot zrosił jego czoło. Był bliski omdlenia.

Nie przewidywał, że ci ludzie tak szybko jeszcze nie wypuszczą go z rąk. Zanim się wyzwoli, będzie musiał udzielić gwarancji. „Na pysk” mu nie wierzono. Zażądano odeń przyrzeczenia na piśmie.

I Krygier wyjął wieczne pióro, kartkę papieru, po czym podsunął to chytrze Wołkowi.

— Czego jeszcze? — przeraził się Wołkow.

— Nic takiego... — uśmiechnął się Krygier. — Napiszesz kilka słów, które ci podyktuję. A potem będziesz mógł sobie spokojnie iść na dyżur nocny. Czyż mamy prawo przeszkadzać ludziom pracy i obowiązku, którzy w dzień i w nocy mają czuwać nad bezpieczeństwem przed takimi, jak my...

— Sprawia to wam przyjemność, gdy możecie się nade mną znęcać i wytaczać moją krew? — rzucił się w bezsilności Wołkow, bliski płaczu.

— A mało tej krwi wytaczałeś naszym braciom, gdy dostali się w twoje delikatne rączki? Nie obcy ci termin „w krzyżowym ogniu pytań”... Teraz przynajmniej będziesz zdolny do zrozumienia stanu psychicznego naszego brata, którego niejednokrotnie zapewne zmuszałeś do przyznania się do zbrodni, przezeń nawet niepopołnionych. O, wasze twarze bezlitosne!... Ciebie przynajmniej nie czeka jeszcze pobyt w zimnej, wilgotnej norze więziennej... Wydawało ci się, że zabijesz policjanta, zrzucisz winę na Janka i wszystko będzie w porządku? Byłeś w stu procentach pewny, że nikomu nawet na myśl nie wpadnie, iż ten surowy i wzorowy Wołkow, stróż bezpieczeństwa, może być brany pod uwagę jako zabójca!... Ale my mieliśmy tę odwagę ciebie właśnie o to posądzić! Naszego Janka chciałeś obarczyć niepopołnioną zbrodnią zabójstwa! A nadto obciążysz go plamą hańby z powodu ograbienia „doli” kompanów. Czy zdajesz sobie sprawę z tego, co czekało Janka, gdyby nie był zasługiwał na stuprocentowe zaufanie? A gdyby nie uciekł z więzienia, Janek zawisłby na szubienicy! Ty!...

— Dosyć! Dosyć! — zawołał Wołkow i chwycił za rękojeść rewolweru, który leżał przed nim na stole.

— Chcesz pozbawić się życia? Proszę bardzo... Wątpię jednak, czy i na to starczy ci odwagi. Zresztą głowa twoja kuli nie jest godna....

— Co, w moim domu? — krzyknęła Regina. — Tu samobójstwo?...

— Nie przejmuj się! — uspakajał ją Krygier. — Zbyt wielki to tchórz!... A nawet gdyby strzelił sobie w łeb, niedaleko stąd płynie Wiselka... Załatwimy go jakoś...

Słowa Krygiera działały na Wołkova oszalamiająco. Tracił z minuty na minutę resztki woli i sił. Błędnym wzrokiem patrzył na Krygiera, który go jakby zahipnotyzował.

Krygier nie tracił czasu i „wykańczał” Wołkova:

— No, czemu stoisz bezradnie? Albo pakuj sobie kulę w łeb, albo pisz! Bo na ceregiele i zabawy nie mamy już czasu.

Znów zapanowało milczenie. Krygier nie spuszczał oka z twarzy Wołkova.

— Odlóż broń, szkoda twoich młodych lat — zaczął Krygier z innej beczki. — Niejedna rozkosz czeka cię w tym wieku. Pięknych kobiet nie brak. „Zimna kokota” nie jest jeszcze wszystkim... Nie potrzebujesz się zbytnio przejmować naszą propozycją. Zapewniam cię, że mokra robota nie wchodzi u nas w rachubę.

Wołkow przez kilka chwil trwał w zamyśleniu. Na jego zmęczonej twarzy widniały ślady zaciętej walki wewnętrznej, która w nim się rozgrywała. Ambicja nie pozwalała mu, by został jawnie członkiem bandy przestępców. Ale na nic stanowczego nie mógł się zdobyć. Nie miał sił, by skończyć ze sobą.

— Dosyć namyślałeś się! — rzekł Krygier tonem rozkazującym. — Weź pióro do ręki!

Wołkow machinalnie spełniał życzenia Krygiera.

— Pisz! — rozkazał Wołkowi. — Pamiętaj jednak, że nie żartujemy. O ile z góry myślisz o zdradzie, uprzedzam cię, że wpadniesz. Zawczasu i o tym pomyśleliśmy. Unieszkodliwiliśmy cię na zawsze. Na współnika także cię nie bierzemy, gdyż obawiamy się z twej strony niespodzianki. Teraz jesteś nam potrzebny jedynie ze względu na dalsze sprawy. Twemu komisarzowi Żarskiemu jeszcze głowa pęknie od kawałów, których mu nie pożałuję, zanim opuszczę ten kraj.

Przez chwilę Krygier zastanowił się nad dalszym postępowaniem, co wykorzystał Wołkow, który jakby naraz odzyskał władzę nad sobą.

— Oświadczam, że nie będę z wami utrzymywał żadnych stosunków. Możecie po prostu odejść, jak chcecie.

Co rzekłszy, Wołkow uczynił krok naprzód.

Wszyscy zerwali się z miejsc. Głos Wołkova nie miał naturalnego brzmienia. Oczy jego szkliste dziwnie teraz spozierały przed siebie.

Krygier zapalił cygaro, potem, cedząc każde słowo, ciągnął dalej:

— A więc, nie masz zamiaru utrzymywać z nami stosunków?

— Tak. To się nigdy nie stanie. Mnie jest wszystko jedno.

— Jeśli tak, to... możesz sobie iść precz stąd!

I Krygier wskazał mu ręką na drzwi.

Wołkow był niezdecydowany. Nie pojmował, co to ma znaczyć. Czy to nowy trick, czy manewr podstępny ze strony Krygiera? Przed chwilą jeszcze trzymał go tak mocno w swych łapach, a teraz — każe mu iść?

— Dlaczego jeszcze tu stoisz? Czy czekasz na to, aż cię stąd wyrzucimy?

Zebrani w pokoju spoglądali ze zdziwieniem na Krygiera, nie rozumiejąc jego postępowania.

Wołkow próbował posunąć się naprzód. Ale widząc, że Krygier łączy się z kimś telefonicznie, przystanął.

— Hallo! Maks?... To ty?... Za dziesięć minut masz tu być z autem...

Odkładając słuchawkę, Krygier zwrócił się do Wołkova:

— Stacasz ze sobą boje? Zemsta nasza wszędzie cię osiągnie. Ja na twoim miejscu byłbym spełnił wszystkie żądania. Tak czy siak: mamy cię w ręku.

Wołkow, nie wyrzekłszy ani słowa, powrócił na miejsce. Nalał szklankę wódki i wypił ją duszkiem.

— Zgadzam się na waszą propozycję, ale stawiam jeden warunek.

— Jaki warunek? — zawołał pierwszy Bajgele.

— Abym mógł zemścić się na „Zimnej kokocie”.

Teraz wyskoczyła ona z kąta, w który się zaszła i zawołała:

— Janku, nie dasz mnie chyba skrzywdzić?

— Za mego życia włos ci z głowy nie spadnie! — padła jego odpowiedź.

— To jest warunek nie do przyjęcia — odparł Krygier. — Czy policja także zdradza swoich konfidentów? Dlaczegoż my mamy tak postąpić?

Wółkow zrezygnował do reszty:

— Trudno! Należę do was! Widać los nas sprzął...

— To jest co innego. Teraz pisz.

Krygier zaczął dyktować:

„Ja, Wółkow, aspirant policji Warszawskiego Urzędu Śledczego, przynajmniej się do tego, że krytycznej nocy włamania się do kasy hrabiny Moldakowej, zamordowałem posterunkowego Michała... Strzał oddałem z małego browninga damskiego, który znalazłem w teczce ze zrabowanymi pieniędzmi. Na widok olbrzymiej fortuny straciłem panowanie nad sobą i dopuściłem się zbrodni...

Oświadczam, że niniejsze słowa piszę z dobrej i nieprzymuszonej woli, jedynie na skutek wyrzutów sumienia, czynię to wobec ludzi, których niesprawiedliwie prześladowałem”.

Wółkow posłusznie skreślił te słowa pod dyktando Krygiera. Był niby robot, który działa po nakręceniu mechanizmu.

Biorąc dokument do ręki, Krygier rzekł:

— Będzie to jeszcze jeden okaz w mojej ciekawej kolekcji. A teraz możemy przystąpić do sedna sprawy.

Wółkow uniósł głowę do góry, jakby bronił się przed ostatnim uderzeniem, które miało teraz spaść na niego.

— Z dniem dzisiejszym musisz spełnić wszystkie nasze życzenia. Nie sądzę, że będziemy zbyt wymagalni⁸. Ale o tym pomówimy innym razem.

— Zrobione — odezwał się Wółkow. — Odtąd będziemy przyjaciółmi.

I zaczęła się hulanka. Wódka, wino, szampan — lały się strumieniami. Zabawa trwała do białego rana. Wółkow nawet zapomniał, w jakim charakterze się tu zjawił. Nieprzymtomny rzucił się w objęcia Reginy, której Krygier polecił pieczę nad Wółkowem.

Nadaremnie tylko „Zimna kokota” starała się zbliżyć do Janka, który po utracie Anieli szukał zapomnienia w kieliszku. „Zimna kokota” należała jednak do tego typu kobiet, które nigdy nie rezygnowały z raz powziętych zamiarów. I tym razem obstawała przy swoim: musi Janka pozyskać dla siebie, a Anielę dla — Moryca...

ROZDZIAŁ II

Kilka dni minęło od „dintojry”⁹, która odbyła się w mieszkaniu Reginy nad Wółkowem.

Były to dni ciężkich przeżyć również dla Anieli, która miała możliwość przekonać się, że również ludzie nocy nie są lepsi...

Pewnego razu, gdy wysiadła z tramwaju, poczuła, że w ślad za nią opuściła wóz pewna elegancko ubrana kobieta. Szła ona krok w krok za Anielą.

Na dworze panował lekki mróz. Padał drobny śnieżek. Biel nappełniała duszę Anieli nadzieją, że jutro będzie lepsze i przychylniejsze dla niej. Nie mogła zapomnieć o Janku, którego na próżno usiłowała wymazać ze swego serca. Przeciwnie, powoli zaczynała wierzyć w to, że właściwie winę za fatalne wypadki sama ponosi. Czyniła sobie wyrzuty z powodu zachowania wobec Janka u siebie w pokoju.

Myśli te przebiegały mózg Anieli, gdy szła rojnymi ulicami. Ściągała swoim wyglądem uwagę przechodniów. Było jej do twarzy w czarnym, wąskim palcie, przybranym lisem. Modna czapeczka dodawała jej główce wiele uroku i wdzięku młodości. Uśmiech, który zakwitał od czasu do czasu na jej ustach, mile oddziaływał na przechodniów, którzy darzyli ją przelotną sympatią.

Aniela posuwała się szybkim krokiem po chodniku, jakby miała coś pilnego do załatwienia. Tłok na ulicy w pewnej chwili zatarasował drogę Anieli, która wykorzystała to, by nerwowo odwrócić się i sprawdzić, czy tajemnicza kobieta w dalszym ciągu kroczy za nią.

⁸wymagalni — dziś popr.: wymagający. [przypis edytorski]

⁹dintojra (gw. środ.) — zemsta. [przypis edytorski]

Aniela nie mogła wytłumaczyć sobie tego faktu i postanowiła pozbyć się tej „asysty”, usiłując zbroczyć w jedną z przecznic. Ale oto kobieta ta zbliżyła się do Anieli i zapytała:

— Przepraszam panią, proszę mi łaskawie wskazać drogę do Dworca Głównego.

Aniela wytłumaczyła jej, którędy ma iść, radząc przy tym, by wsiadła do tramwaju.

Aniela uczyniła krok naprzód. Bała się tej kobiety, która na nią spoglądała dziwnymi oczyma. Domyślała się, że ta kobieta nie zaczepia jej bez powodu i że to pytanie o kierunek drogi do dworca było tylko pretekstem. Ale nie zdążyła się oddalić, gdy naraz zatrzymała się taksówka i zanim zdołała pisnąć słówko, została zawleczona do auta. Czuła tylko, że znajduje się w silnych ramionach, z których nie mogłaby się wyzwolić. Auto pomknęło z niebywałą szybkością.

Chciała krzyczeć, wzywać pomocy, ale poczuła naraz mdłości. Siły ją opuszczały. Popadła w sen. Straciła przytomność. Na sekundę przed jej utratą poczuła na sobie pożądliwe pocałunki...

Gdy się obudziła, doznała nowego wstrząsu. Zobaczyła siebie na kozetce w obcym mieszkaniu. Wnet do jej pokoju weszła owa podejrzana kobieta w towarzystwie Moryca.

— Jak się czujesz? — zapytał drżącym głosem Moryc.

— W jaki sposób dostałam się tutaj?! — krzyknęła Aniela nieswoim głosem. — Gdzie moja odzież? Przekłęci nikczemnicy!!!...

— Nie gniewaj się, droga moja — uspakajał ją Moryc. — Co prawda ta pani zwabiła cię tutaj, ale nie chciałem cię skrzywdzić, gdy cię uspio...

„Zimna kokota”, która była świadkiem tej rozmowy, cynicznie się uśmiechała. Była zazdrosna o piękne kształty i urodę Anieli.

— Coście tu ze mną czynili? — zawołała Aniela. — Wy... Podli ludzie!!!

Aniela wybuchnęła płaczem.

— Za późno na lamenty... — odezwała się szyderczo „Zimna kokota”.

I chociaż Moryc zapewniał ją, że nie wyrządził jej krzywdy, Aniela szlochała z bezsilności.

Moryc tłumaczył się, że sprowadził go do tego mieszkania „Zimna kokota” i że nie wiedział wcale o tym, że uspiła chloformem Anielę i ją tu podstępem zwabiła. Nie tylko, że nie skrzywdził Anieli, ale przeciwnie — nie opuścił tego mieszkania w obawie, by jej nie skrzywdzono.

Aniela włożyła palto i skierowała się do wyjścia. Ale „Zimna kokota” zatarasowała jej drogę.

— Z mego domu tak prędko wydostać się nie można! — roześmiała się na głos.

Moryc odepchnął ją i usiłował Anielę wyprowadzić na ulicę, ale wtem zjawili się dwóch zbirów, którzy porwali Anielę i przemocą starali się ją wepchnąć do drugiego pokoju.

Aniela stawiała opór. Jeden z drabów zatkał jej szmatą usta, usiłując ją przemocą zawlec do drugiego pokoju. Ale naraz stało się coś niespodziewanego. Naraz drzwi otworzyły się i na progu stanął Klawy Janek z rewolwerem w ręku.

— Co się tu dzieje? — zawołał na widok draba, mocującego się z Anielą.

Zobaczywszy Janka, Aniela rzuciła mu się na szyję z płaczem.

Janek przez chwilę spoglądał na Moryca, jakby niemym wzrokiem dopytywał się o szczegóły niezwyklego zdarzenia. „Zimna kokota”, przeczuwając, co się święci, ukryła się w drugim pokoju.

— Ja jestem niewinny — wyjąkał Moryc przerażony. — „Zimna kokota” ją tu zwabiła.

Twarz Janka zsiniała z wściekłości. Żył na czole napęczniały z naprężenia, jakby za chwilę miało się stać coś niezwyklego.

— Zwabiliście ją tu i... Gadaj do rzeczy i mów tylko prawdę, bo zastrzelę cię jak psa!...

— Żadna krzywda jej się tu nie stała. Nie pozwoliłem na to.

Janek zmierzył Moryca przejmującym spojrzeniem i rzekł:

— Daję ci trzy dni czasu na wyjazd do Ameryki i obym cię więcej nie widział na oczy. Sądzisz, że nie wiem o tym, żeś się zakochał w niej...

Co rzekłszy, Janek ujął Anielę pod ramię i zawołał:

— Chodź ze mną najdroższa! Ja już im dam nauczkę!

Na odchodnym, stojąc już we drzwiach, odgrażał się pięścią pod adresem „Zimnej kokoty”:

Porwanie

Gniew

— Popamiętasz mnie jeszcze!
— Doskonale pamiętam, że policja poszukuje cię.
— Sądzisz, że jestem Wołkow? Ja tu od razu mogę skończyć z tobą!
— Kocham cię! — zawołała. — Musisz być moim! Żadna przeszkoda nas nie rozdzieli...

— Nienawidzę kapusiów — odparł Janek z odrazą. — Patrzeć na ciebie nie mogę...
— Pamiętaj: albo będziesz mój, albo będziesz niczym. Za kratami będzie najlepsze dla ciebie miejsce. Tam twoje złodziejskie oczy nie będą więcej hipnotyzowały nas, kobiet...

Janek dobył rewolweru. Aniela chwyciła go za rękę. Rewolwer wypalił, ale kula na szczęście chybiła. Strzaskała lustro wiszące na ścianie, które rozleciało się w drzazgi.

W chwilę potem Janek znalazł się po drugiej stronie drzwi. Tulił się do Anieli, którą na nowo odzyskał. Znów czuł ją przy sobie, najukochańszą, najpiękniejszą. Dręczyła go tylko niepewność, czy czasem w mieszkaniu „Zimnej kokoty” nie skrzywdzono Anieli... Bał się ją o to pytać. Aniela pierwsza odezwała się, a w głosie jej przebijała nuta zazdrości:

— Skąd się tam wzięłeś? Na pewno umówiłeś sobie tam spotkanie z ulicznicą?

— Przysięgam, że to nieprawda. Jedynie przypadek zaprowadził mnie tam. I przyszedłem, jak widać, w samą porę. „Zimna kokota” wielokrotnie zapraszała mnie do siebie. Przyrzekałem, ale nie przychodziłem. Dziś akurat znajdowałem się w pobliżu. Wiedziony przecuciem, wstąpiłem tam na chwilę. Kto wie, gdybym nie przyszedł, co uczyniliby z tobą.

— Uśpili mnie — wyjąkała Aniela.

— Co? Uśpili cię? Ja ich...

Janek rzucił się z całych sił z powrotem, by pomścić krzywdę, ale Aniela nie pozwalała mu na to.

— Dzisiejsi współnicy! — oburzał się Janek. — Świat sparszywił. Przyjechał ci współnik aż z Ameryki, by mnie wyciągnąć z więzienia, a tymczasem odbija mi narzeczoną. Jak to można dziś komuś zaufać!... — Rozłożył bezradnie ręce.

Janek wstydził się za cały świat podziemi, za Moryca, za „Zimną kokotę” i kamratów.

— Dokąd idziemy? — wyrwała Janka z rozmyślań.

Janek zauważył, że ma łzy w oczach.

— Płaczesz?

— Jakże nie mam płakać, gdy na każdym kroku przekonywuję się o waszej podłości i nikczemności. Moja miłość do ciebie w tym czasie wiele ucierpiała.

Janek milczał. W duchu przyznawał jej rację. Kilkutygodniowa rozłąka z Aniela utwierdziła go w tym, że ich miłość nie wytrzyma próby życia. Jest zbyt uczciwa na to, by zostać żoną złodzieja, a on zbyt podły, by móc ją naprawdę kochać wielką miłością. Ale teraz uczucie miłości wezbrało w nim na nowo. Czuł się szczęśliwy, że ją odzyskał i znów są razem. Wyrzucał z siebie urywane słowa:

— Kocham cię... Wiem, że nie jestem ciebie wart... a jednak...

Aniela spojrzała nań smutnymi oczami i odrzekła:

— Dziś prowadź mnie, dokąd ty chcesz. Tyś mnie ocalił, ciebie za to pragnę wynagrodzić...

— Znów igrasz ze mną? — czynił jej zarzut.

Akurat mijają ich spóźniona taksówka. Wsiedli do wozu, który zaprowadził¹⁰ ich za miasto. Szczęśliwi i przytuleni mknęli gładką szosą wśród cieni drzew i ciszy nocnej.

Po obu stronach szosy pogrążone we śnie zimowym stały wille, pałacyki i domy. W zadumie oczekiwały wiosny i promiennego słońca, które sprowadzi tu liczne rzesze „letniaków”. Poświata księżycowa srebrzyła śniegiem pokryte drzewa, które były niemymi świadkami wielu tajemnic miłosnych, rozgrywających się rokrocznie pod osłoną ciepłych nocy letnich.

Gdy przebyli wielki szmat drogi, długości kilkudziesięciu kilometrów, szofer zapytał, gdzie ma się zatrzymać.

— Przed hotelem najbliższego miasteczka — padła odpowiedź Janka.

¹⁰zaprowadził — dziś: zawiózł. [przypis edytorski]

Auto znów pomknęło, by po niedługim czasie zatrzymać się na opustoszałym rynku małomiasteczkowym przed odrapaną dwupiętrową kamienicą, na której widniał już wyblakły szyld: „Hotel Warszawski”...

Janek uiszczył należność szoferowi i skierował się z Anielą do hotelu.

Policjant odziany w kozuch zbliżył się do pasażerów, zaniepokojony ich nagłą nocną wizytą. Aniela instynktownie drgnęła, chwytając Janka za rękę. Ale Janek, pewny siebie, zawołał na posterunkowego:

— Co to za porządki u was?... Do hotelu w nocy człowiek dostać się nie może!... Ach, prowincja!...

Posterunkowy zaspianym głosem uspakajał Janka:

— Właściciel pokoi umeblowanych śpi... Pewnie zaraz otworzy...

— Jesteśmy turystami z zagranicy — wyjaśniał dalej Janek łamaną polszczyzną — Odwiedzamy małe miściny.

Podejrzanie zrodzone w duszy policjanta rozwiało się. Zewnętrzny wygląd Janka i Anieli wzbudziły, widać, jego ufność. Wkrótce potem znaleźli się w hoteliku.

Już zaczęło świtać. Gospodarz wraz z rodziną żywo krzątali się dokoła „Amerykanów”, jak ich nazywali już w myśli. Oddano im najładniejszy apartament, ale ledwie znaleźli się w pokoju sam na sam, Janek przekręcił klucz w drzwiach i porwał Anielę w ramiona...

— Zbyt ryzykujesz swoją wolnością — szepnęła. — Mieścina jest malutka, a za kilka godzin wszyscy już będą wiedzieli o naszym przyjeździe.

— Nie lękaj się, moja droga, znam to otoczenie. Gdy zapragnę, mogę jeszcze się tu świetnie zabawić i doczekam się wizyty burmistrza... Zresztą, zabawimy tu dwie godziny i... wracamy do Warszawy.

Przywarł do niej i tulił ją do siebie, obsypując płomiennymi pocałunkami.

Teraz — przebiegła jego mózg myśl — teraz, nareszcie, dopnie swego... Ach, jak długo tęsknił za tą chwilą szczęścia... Długo... Ileż razy rezygnował! Ale teraz... teraz... nareszcie!

Wyrzucał z siebie słowa gorące, słowa których się właściwie nie słyszy, lecz odczuwa. Przepraszał ją za zmartwienia i przykrości, których był przyczyną. Zapewniał o dozgonnej miłości, wierności, tęsknocie. Przysięgał, że bez niej życie i świat nie mają dlań wartości.

Jego oczy pożerały Anielę, która cała jakby stała w ogniu. Dreszcz niepoohamowanej namiętności wstrząsał jej ciałem. Jej gorący oddech budził w nim utajone pragnienie.

Ale Janek silił się w podświadomości na spokój. Chciał panować nad namiętnościami, które już rozpełtały w duszy burzę uczuć. Przywodził na pamięć owe chwile, kiedy potęga żądzy wyciskała na jego twarzy piętno zwierzęce. Piętno, które budziło w Anieli odragę do tego stopnia, że resztkami sił wyzwalala się z jego objęć, bo nie mogła dłużej patrzeć na jego twarz wykrzywioną i oczy nabiegłe dziką, złą krwią.

Ale świadomość, że są teraz sami w pokoju, że nikt mu nie może przeszkodzić w osiągnięciu szczytu marzeń i pełni szczęścia, nie dawała mu spokoju.

Aniela czuła, co się dzieje w sercu Janka.

— Janku, jakże cię kocham za twoje zmaganie się ze złymi instynktami i za pokonywanie w sobie bestii...

Na dworze już switało. Janek stał nasrożony. Jego uszy i oczy były nastawione „na wszelki wypadek”, podchwytując najmniejszy szmer, który dolatywał z korytarza czy ulicy. Stali tak przytuleni do siebie, niby dzieci. Ona oparła głowę na jego ramieniu, a on wsłuchiwał się w ciche łkanie jej serca gorącego i wiernego. Zrozumieli siebie. Jankowi imponowała skromność i niewinność Anieli. Przy niej czuł się jak nowo narodzony.

— Po co tu przybyliśmy? — wyrwała go z zadumy. — Co zamierzasz tu zrobić?

— Myśl, która skłoniła mnie, bym cię tu zaprowadził, już opuściła mnie — rzekł Janek ze smutkiem w głosie.

— Chciałeś mnie skrzywdzić? — zapytała z wyrzutem.

— Tak. Ale odtąd możesz być pewna, że będę panował nad sobą.

— Nie sądz, że kierują mną tylko cnoty. Pragnę przede wszystkim nauczyć cię walki ze sobą, walki ze złymi instynktami, które w tobie głęboko są zakorzenione.

Janek zaczął krążyć nerwowo po pokoju. Naraz stanął przed Anielą i zapytał:

— Chcesz ze mną wyjechać za granicę?

Pożądanie

— Pojadę z tobą wszędzie, gdzie tylko zażadasz, bylebyś tylko zerwał ze swoją przeszłością. Nawet dziś. Przekąsimy tu coś i wracamy do Warszawy.

— Dlaczego się tak spieszysz? Tu jest nam tak dobrze ze sobą. Czuję, że serce twoje należy do mnie. Nasze dusze tu się złączyły.

— Sercem od dawna należę do ciebie. Twoją pozostanę na zawsze dopiero po spełnieniu jednego warunku.

Janek podniósł oczy na Anielę.

— Po roku, gdy przekonam się, że zmieniłeś dotychczasowy tryb życia.

— Zbyt długi to termin — uśmiechnął się z goryczą.

Naraz rozległo się pukanie do drzwi, za którym dał się słyszeć głos szofera.

Po upływie kwadransa oboje siedzieli już w taksówce, którą ze wszystkich stron obstąpili małomiasteczkowi gapie. Janek polecił szoferowi, by jechał do Warszawy „pełnym gazem”.

ROZDZIAŁ III

Czas powoli upływał. Zima minęła, wywalając ziemię z okowów lodu. Ludzie nocy z niezadowoleniem spoglądali, jak śnieg taje. „Sezon” chylił się ku końcowi... Jedyne „kieszonkowcy” przychylnie witali pierwsze wiosenne promienie słońca. Ludzie zrzucą z siebie nareszcie ciężkie futra, które utrudniają dostęp do portfeli i kieszeni bocznych...

Wiosna uczyniła ludzi weselszymi. W ich dusze wstępowała radosna nadzieja. Tylko Wołkow czuł się złamany, przybity. Ostatnie wydarzenia spadły nań jak grom z jasnego nieba.

Gdy opuszczał krytycznej nocy mieszkanie Reginy, postanowił popełnić samobójstwo. Nie mógł żyć się z myślą, że odtąd on, komisarz policji, będzie musiał ulegać we wszystkim... bandzie niebezpiecznych rozpruwaczy, których policja tropi.

— Już lepsza śmierć, aniżeli takie życie! — wołał do siebie, pędząc wprost do wybrzeża Wisły.

I tak błąkał się Wołkow długimi godzinami na Powiślu, nie mogąc zdobyć się na decyzję. Wołkow nie wiedział, jak się to stało, że naraz stanął przed Urzędem Śledczym. O dziewiątej rano wszedł do swego gabinetu. Spotkał tam komisarza Żarskiego.

— Co się stało? — napierał komisarz Żarski. — Nie poznaję pana. Coś musiało zajść...

Żarski bacznie obserwował twarz Wołkowa, która teraz konwulsyjnie drgała, mieniając się barwami.

— Co panu jest? Może pan zachorował? — indagował go w dalszym ciągu Żarski, podtrzymując tę rozmowę jedynie w celu przedłużenia obserwacji.

— Nie... — wyjąkał Wołkow — tylko... tylko... nie mogę tego przeżyć, że nie udało mi się zlikwidować tej bandy, która grasuje sobie na wolności...

Ale Żarski uśmiechał się tajemniczo, co do reszty wytrąciło z równowagi Wołkowa, który gotów był zabrać się do wyjścia. Ale Żarski zatrzymał go.

— Siadaj pan. Musimy się rozmówić. Jak długo służymy razem w policji? Zdaje się, że minęło osiem lat? Sądzę, że może pan mieć do mnie zaufanie. Myślę, że może mi pan zdradzić tajemnicę niepokoju... Może nieporozumienia rodzinne?

— Trochę...

— Któż ich dziś nie ma?... Ale mnie się jednak wydaje, że nie o to głównie chodzi.

Wołkow silnie zbladł, odparł krótko:

— Nie, nic podobnego.

— Może kobieta?

— Pozwoliłem sobie na małe pijaństwa i stąd nadwyrężenie zdrowia...

Przez chwilę spojrzenia ich się skrzyżowały.

— Więc albo panu rzeczywiście nic nie jest, albo... pan nie chce mi wyjaśnić przyczyny tej nagłej zmiany.

— Uważam pana za mego przyjaciela, przed którym niczego nie ukrywałbym.

— A gdzie to pan spędził całą noc? Przecież to był pański dyżur?

— Ubiegła noc właśnie wyczerpała mnie do reszty. I kto wie, gdyby nie przypadek, czy nie miałbym tej bandy w ręku...

— Zawsze te „przypadki” — udobruchał się Żarski. — Wszak zaleciłem panu obserwowanie profesora poznańskiego.

— Ach, tak... ale on wyjechał do Poznania. Całą noc spędziłem na inwigilowaniu dwóch podejrzanych jegomościów. Szedłem za nimi krok w krok. Zakręcili w zaułek, ja za nimi. Ale naraz światła elektryczne pogasły i... obaj panowie zniknęli jak kamfora. Wnet dały się słyszeć dwa wystrzały... Gotów jestem przysiąc, że to byli dwaj członkowie tropionej bandy.

— Co z tego, że nimi byli, kiedy ich nie ma... A więc pragniesz odpoczynku?

— Tak, panie komisarzu. Prosiłbym o trzydniowy urlop.

— Zgoda.

Gdy Wołkow na czwarty dzień zameldował się do gabinetu Żarskiego, akurat zabręczał telefon.

Żarski serdecznie powitał Wołkova, wypytując o stan zdrowia. Wydawało się to Wołkowi nieco podejrzane i w duchu powziął postanowienie, że Żarski już wie...

A telefon w dalszym ciągu brzęczał. Żarski powoli, nie śpiesząc się, wziął słuchawkę do ręki, jakby tym chciał podkreślić, że stan zdrowia Wołkova bardziej go obchodzi od wszelkiej niespodzianki.

— Czy to Urząd Śledczy? Kto przy aparacie?

— Komisarz Żarski.

— Panie komisarzu, tu mówi hotel... Do nas w tej chwili przybyła autem młoda para o podejrzanym wyglądzie. Młodzi ludzie zajęli luksusowy apartament. Może zechce pan się tu pofatygować?

— Proszę określić ich wygląd — rzekł Żarski.

— Nic więcej nie mogę panu telefonicznie powiedzieć — odparł głos kobiety. — Proszę o natychmiastowe przybycie do nas, do hotelu... Oczekuję...

Wołkow utkwiał oczy w twarzy Żarskiego, jakby zapytując o treść doniesienia. Serce biło mu ze strachu na myśl o tym, że los może zrzędzić, by musiał spotkać się oko w oko z ludźmi, którym przyrzekł przyjaźń i wierność...

— Co się stało? — zapytał Wołkow nieśmiało.

— Dzwoniono z hotelu... To „swój” człowiek donosił, że winienem tam zaraz się udać... Może mi pan będzie towarzyszył?

— Chętnie. Muszę przyczynić się do zlikwidowania tej bandy.

Obaj niezwłocznie opuścili gmach Urzędu Śledczego. Pomknęli autem policyjnym we wskazanym kierunku. Komisarz Żarski polecił Wołkowi, by udał się na górę, wywęszył sytuację i natychmiast dał mu znać, co to za „jedni”.

— Tylko ostrożnie! — dodał Żarski.

Wołkow wślizgnął się do korytarza. Pokojówka dyskretnie wskazała mu numer pokoju, zajętego przez podejrzaną parę. Wołkow delikatnie zapukał do drzwi. Nikt nie odpowiedział. Wołkow nacisnął klamkę. Drzwi się uchyliły.

— Kto tam?

Wołkow momentalnie znalazł się w pokoju z wyciągniętym rewolwerem w ręku.

Jego oczy zderzyły się ze wzrokiem Janka, który także powitał go wyciągniętą lufą browninga.

— Przepraszam — odezwał się Wołkow, opuszczając głowę i chowając rewolwer do kieszeni.

Przez chwilę obaj milczeli. Janek niespokojnie tylko obserwował Wołkova. Wreszcie Janek wymógł na sobie uśmiech i rzekł:

— Co powiesz mi dobrego?

Wołkow odetchnął głęboko i wyrzucił z siebie tylko jedno słowo:

— Służba..

— Kogo szukacie?

— Nie zachowujesz się dość ostrożnie — wyjąkał Wołkow.

— Ja zachowuję się dość przezornie — odparł Janek. — To nie moja wina, że macie na każdym kroku konfidentów i kapusiów. Ufam twojej przyjaźni, którą nam ślubowałeś. Pomożesz mi stąd się wydostać?

— Nie mogę...

Janek dobył rewolweru i z uśmiechem ironicznym na ustach zawołał:
— Trudno. Będę bronił mej wolności, jak będę mógł!...
— Hotel otoczony jest przez „naszych” ludzi. Nie ujdiesz stąd! — wyjaśniał Wołkow, trzęsąc się jak w febrze. Jego twarz przybrała barwę ziemistą.
— Spełnij swój obowiązek! — drażnił się Janek z Wołkowem.
Wołkow roześmiał się i odpowiedział:
— Tym razem cię uratuję, ale pamiętaj!...
Janek uściśnął jego dłoń:
— Nigdy ci tego nie zapomnę!
— Zachowuj większą ostrożność! Odchodzę stąd, ale pamiętaj, aby po godzinie wszelki ślad stąd znikł po tobie!... Uczyń to tak, by służba tego nie dostrzegła, że pilno ci z opuszczeniem hotelu.
Pożegnali się serdecznie.
Wołkow na odchodne zdążył powiedzieć:
— I zabierz stąd swoją narzeczoną. Komisarzowi Żarskiemu wpadła ona w oko. Strzeż się...
Wołkow opuścił wnet pokój. Na korytarzu uprzedził on konfidentkę, aby więcej nie alarmowała na próżno Urzędu Śledczego. Gość, którego upatrzyła sobie, jest spokojnym obywatelem brytyjskim.
— Twoje alarmy zawsze są bezpodstawne — strofował pokojówkę Wołkow. — Przyjechał z Anglii turysta z żoną, to się robi awanturę.
— Bardzo przepraszam — odrzekła pokojówka zmieszana, przyrzekając poprawę.
Wołkow opuścił hotel i energicznym krokiem podszedł do Żarskiego, który niecierpliwie przechadzał się na przeciwległym trotuarze.
— Ta konfidentka jest do niczego — wyjaśnił Wołkow na wstępie. — To był fałszywy alarm!
— Jesteś absolutnie tego pewien?
— W stu procentach — stanowczym tonem potwierdził Wołkow. — To obywatele brytyjscy. Tego nam jeszcze brak, by wpaść w konflikt z obcymi ambasadami czy placówkami zagranicznymi.
Obaj, Wołkow i Żarski, wsiedli do oczekującego opodal auta policyjnego i wrócili do Urzędu Śledczego.
Zaraz po wyjściu Wołkova Janek udał się do pokoju Anieli. Co dzień zmieniali hotele i zawsze zajmowali dwa oddzielne pokoje.
Aniela teraz spała. Jej widok oszałamiał go, Janek nie mógł opanować zmysłów. Nie bacząc na grożące niebezpieczeństwo, znów stał się niewolnikiem namiętności.
Aniela, przebudzona, natychmiast zorientowała się w sytuacji i silnym uderzeniem pięścią w twarz przywróciła Janka do przytomności.
— Wściekle zwierzę pożera cię!... Gdzie dane mi słowo? Gdzie twoja ambicja?
— Uczyliem to nieświadomie. Przyszedłem tu, by ci powiedzieć, że muszę opuścić hotel.
— Hotel ja opuszczę, ale bez ciebie — odrzekła stanowczo.
— Aniela...
— Nie chcę o niczym wiedzieć. Między nami wszystko skończone. Lęk ogarnia mnie przed człowiekiem, który nie jest odpowiedzialny za swoje czyny. Zaledwie kilka dni upłynęło od chwili ślubowania, że nigdy... a już zapomniałeś o tym. Już zginiesz jako przestępca.
— Zlituj się nade mną. Dziś Bajgele ma mi przynieść papiery dla nas obojga i będziemy mogli wyjechać za granicę.
Janek rzucił się jej do nóg, błagając o przebaczenie i tłumacząc się, że jest niewinny, że to Aniela na niego tak działa. Ale Aniela obstawała przy swojej decyzji.
— Między nami wszystko skończone! Idź sobie stąd!
Janek nie dawał za przegrane¹¹. Aniela przyjęła groźną postawę i krzyknęła?

¹¹nie dawał za przegrane — dziś popr.: nie dawał za wygraną. [przypis edytorski]

— Dość mam ciebie! Rozczarowałam się ostatecznie! Nie wierzę, by miłość moja mogła wpłynąć na ciebie uzdrawiająco. Teraz przekonałam się, że ciebie już nigdy nie przerobię. Dla ciebie porzuciłam ojca. Teraz wrócę do niego, by przynajmniej jego ocalić.

— Twój ojciec jest jeszcze gorszym przestępcą ode mnie!

Aniela na dźwięk tych słów drgnęła. Uczucie wstydu połączone z bólem przeszło jej ciało. Chciała zapomnieć, że jej ojciec jest złodziejem, a ona jego córką. Teraz Janek brutalnie rzucił jej to w twarz.

Spojrzenia Janka i Anieli pokrzyżowały się¹². Aniela poczuła do siebie samej odrazę.

„W kim się zakochałam?” — zapytywała siebie w duchu i brzydziła się własnego uczucia.

Ale Janek, którego zmysły pożerały, przesłaniając wszystko inne, wykorzystał jej zadumę, by znów porwać ją w swoje objęcia.

— Jeżeli uczynisz jeszcze jeden krok — zawołała Aniela — wybiegnę w piżamie na korytarz.

Bez słowa Janek skierował się ku wyjściu. Uściwszy należność portierowi za pokój, Janek opuścił hotel. Był złamany i wstrząśnięty. Teraz już nie wróci do niego...

Zaraz po wyjściu Janka z pokoju Aniela pośpiesznie ubrała się z myślą natychmiastowego powrotu do ojca.

„Dosyć! — wołał w niej zdecydowanie głos wewnętrzny. — Gdzie twój rozum, gdzie twoje oczy? On nie jest dla ciebie!...”

Ale gdy Janek wrzucił jej liścik i pożegnał się z nią niemy, ale jakże wymownym spojrzeniem smutnych, błagalnych oczu, Aniela straciła pewność siebie. Podarła¹³ kopertę, z której wypadł zapisany arkusik i studolarowy banknot. Oburzyła się z powodu załączonego pieniądza, ale nie było czasu na rozmyślanie. Zatopiła wzrok w liście, który brzmiał:

„Bądź zdrowa. Odchodzę tam, skąd przybyłem... Opuść natychmiast hotel. Pamiętaj, że wnet zjawi się tam policja”.

Aniela podarła liścik na małe kawałki, rzucając je na podłogę. Usiłowała to samo uczynić z banknotem, gdy wtem ktoś zapukał do drzwi, a po chwili do numeru weszła pokojówka:

— Nie dzwoniłam na panią.

— Wydawało mi się — odparła pokojówka, rzucając okiem na skrawki papieru, rozrzucone po podłodze. Dostrzegła także banknot, który tkwił w ręce Anieli.

— Rachunek już został uregulowany — wyjaśniła pokojówka.

— Wiem o tym — rzekła Aniela, wsuwając mechanicznie banknot do kieszeni.

— Może mogę być pomocna przy spakowaniu rzeczy? — Pokojówka nie ruszała się z miejsca.

— Nie, dziękuję — odparła Aniela.

Pokojówka ukloniła się i skierowała się ku wyjściu. Ale wnet zawróciła i szczotką ręczną, którą trzymała w ręku, zaczęła zbierać z podłogi skrawki podartego listu.

Aniela jako córka „starego Lipy” od razu domyśliła się, co oznacza manewr pokojówki.

— Niech to pani zostawi. Na porządkowanie będzie dość czasu, gdy opuszczę pokój.

— Dlaczego? — zareagowała pokojówka, a z jej twarzy nie zniknął zimny uśmiech. —

U nas tu zawsze musi panować czystość idealna.

— Proszę to zostawić i przynieść mi herbatę.

— Po co zostawić tu śmiecie — roześmiała się głupkowato, usiłując wyjść z numeru wraz z śmietniczką, do której zdążyła wrzucić skrawki podartego listu.

Aniela bez namysłu uderzyła ją w rękę, zabrała śmietniczkę i zawołała surowo:

— Pokojówka musi się słuchać gości, a nie odwrotnie! Śmietniczka nie „ucieknie”, proszę mi natychmiast przynieść herbaty!

Pokojówka schwyciła w ręce skrawki podartego listu i wybiegła czym prędzej z pokoju, zamykając od strony zewnętrznej drzwi na klucz.

¹²Spojrzenia Janka i Anieli pokrzyżowały się — dziś popr.: (...) skrzyżowały się. [przypis edytorski]

¹³podarła kopertę — dziś raczej: rozdarła kopertę. [przypis edytorski]

Na początku Aniela nie zorientowała się w sytuacji, ale wnet opanowała się i zaczęła energicznie dzwonić. Nikt jednak nie przychodził. Dobijała się z kolei do drzwi, waląc w nie pięściami z całych sił.

Akurat przechodził korytarzem jeden z gości. Dowiedziawszy się, o co chodzi, pobiegł po służącego.

Drzwi jednak otworzyły się dopiero po upływie dziesięciu minut. Pierwszy, który wszedł do jej pokoju był... komisarz Żarski.

Powoli uchylał kapelusza na powitanie.

— Dzień dobry!

Aniela była tak oszołomiona, że nawet nie odpowiedziała na konwencjonalne powitanie.

— Już dawno nie widziałem pani — wyjąkał Żarski.

Aniela milczała. Nie mogła odzyskać równowagi ducha.

Żarski był nie do poznania. Nie czynił teraz wrażenia komisarza policji. Raczej podobny był do zakochanego... Na jego twarzy odmalowała się gra zmysłów, która ogarnęła go na widok urodziwej Anieli. Nie mógł o niej zapomnieć.

Długo czekał na tę chwilę, gdy znów się z nią spotka. Niejednokrotnie czynił sobie wyrzuty, że wówczas, gdy zastał Anielę z profesorem, puścił ją na wolność...

Teraz, gdy otrzymał po raz drugi telefoniczną wiadomość, że Wołkow pomylił się i że Janek zdążył umknąć, a została tylko jego partnerka, Żarski rzucił wszystko i czym prędzej pomknął do hotelu z myślą, że dziś stanie się to...

Aniela spoglądała na Żarskiego, zastanawiając się, czy w ogóle winna z nim wdawać się w rozmowę. Ujął Anielę za rękę.

Uczucie wstydu ogarnęło go na widok jej twarzy. Para oczu karciała go i onieśmiała.

— Uczynię cię najszczęśliwszą kobietą pod słońcem! — szeptały jego usta.

Opanowywały go szalone myśli. Ale gdy zamierzał je wykonywać, brakło mu odwagi. Obojętność, z którą przyjmowała jego słowa, paraliżowały jego zamiary i poczynania.

— Pan staje się bohaterem melodramatu — rzekła Aniela, nie ukrywając uśmiechu na bladych licach.

— Pani szydzi ze mnie? Przypuszczam, że wywołuję w pani śmieszne uczucie, ale niech mi pani wierzy, że pod mundurem policjanta także bije serce spragnione miłości! Niechże mi pani raz na zawsze wyjawí, jaką rolę odgrywa w pani życiu ten niebezpieczny opryszek. W żaden sposób uwierzyć nie mogę, by pani także należała do jego bandy.

Aniela uśmiechnęła się gorzko.

— Naprawdę nie wiem, czego pan chce ode mnie. Przecież nie mogę nakazywać sercu miłości.

— Zdaję sobie sprawę z tego, że moja miłość ośmiesza mnie w oczach pani. Wiekiem mógłbym być pani ojcem, ale cóż zrobię, gdy pani mnie oczarowała. Poza panią świata nie widzę.

— Pragnę z panem się rozmówić.

— I ja tego pragnę.

— Jestem córką złodzieja i mam narzeczonego złodzieja, którego kocham. Może mam to we krwi, że nie mogę pokochać tego, który należy do prześladowców moich najbliższych. Proszę przeto nie narzucać się swoimi wyznaniemí miłosnymi.

Żarski ofuknięty i rozzłoszczony stał przez chwilę jakby w ogniu. Krew z oburzenia uderzyła mu do głowy.

Sapał ciężko. Z trudem łapał oddech. Aniela przeraziła się jego widoku. Cofnęła się w tył¹⁴. Znał dobrze kobiety i wiedział, że lubią udawać, że się bronią. Ale zbyt dobrze mu utkwiła w pamięci scena w Urzędzie Śledczym, kiedy stoczył prawdziwą walkę z Anielą.

Zbliżył się do niej i znów zaczął prawić o swym uczuciu.

— Gdyby pani wiedziała, jak ją ubóstwiam... Gotów jestem dla pani uczynić wszystko... Nawet wystąpić z policji, gdyby pani tego zażądała.

— Niech pan nie poniża się w moich oczach — zauważyła Aniela tonem poważnym. — Gotowa jestem przysiąc, że pokojówka, pańska konfidentka, stoi teraz za drzwiami i przysłuchuje się pańskim bredniom. Przecież ona straci respekt do swoich przełożonych.

Miłość niespełniona

Miłość niespełniona

¹⁴Cofnęła się w tył — błąd logiczny: cofanie się jest z definicji ruchem do tyłu. [przypis edytorski]

Komisarz Żarski jakby naraz oprzytomniał. Stanowczym krokiem podszedł do drzwi, które raptownie otworzył. Pokojówka stała u sąsiednich drzwi, zaciekle czyszcząc klamkę skurczawką.

Komisarz zbliżył się do konfidentki i rzekł tajemniczo:

— Ta niewiasta jest dla nas zagadką. Nadaremnie usiłuję od niej wydobyć zeznanie.

Jak pani sądzi, kim może być?

Pokojówka odrzekła z filuternym uśmiechem:

— Sądzę, że to jedna z córek Koryntu albo może jego kochanka.

— Wołkow tu był?

— U niej nie był, ale u jej faceta w pokoju był, a nawet z nim rozmawiał.

— Jak ten facet wyglądał?

— Wysoki, dobrze zbudowany, z czarnym wąsem.

— Nie, to nie ten, którego poszukujemy.

Pokojówka uśmiechnęła się tylko i wręczyła komisarzowi skrawki podartego listu:

— Oto jego charakter pisma.

— Niestety, nie mamy dowodów, które by nam pozwoliły zbadać jego charakter pisma. Będę musiał kontynuować badanie dziewczyny.

Żarski wrócił do pokoju Aniela.

— Pani miała rację: nie tylko my szpiegujemy, ale i nas szpiegują.

— Przepraszam panią, czy pani sama bawiła w hotelu?

— Tak.

— To nieprawda. A kto pisał te słowa?

— Nie wiem.

Żarski obejrzał podarte skrawki papieru i rzucił je wściekły o ziemię. Były tak zniszczone, że nie można było użytkować do odczytania.

— Jak widzę, pani zamierza stąd już iść — odezwał się Żarski tonem urzędowym.

— Tak. Sądzę, że pan mi nie będzie przeszkodą — odpowiedziała ze smutkiem, patrząc mu prosto w oczy.

— Ja... ja... — wyjąkał komisarz Żarski. — Muszę się raz na zawsze dowiedzieć, kim pani jest. Już kilkakrotnie miałem panią w swoim ręku, ale nigdy nie usiłowałem ustalić pani tożsamości. Dziś muszę to uczynić.

— Pan musi?

— Tak. Konfidentka nasza zbyt wiele już wie.

— Jestem gotowa — rzekła z zadziwiającym spokojem Aniela.

Po chwili Aniela opuściła pokój, a za nią służbowym krokiem szedł komisarz Żarski, zatopiony w rozmyślaniach. Czekał na to, by Aniela pierwsza się odezwała. Wiedział z doświadczenia, że w takich chwilach kobieta używa wszelkich środków, byle wydostać się z opresji. Miał to przeświadczenie, że również teraz Aniela, którą uważał za wyrafinowaną kokotę międzynarodową, chwyci się tej ostateczności.

Jakie wielkie musiało być jego zdumienie, gdy aż do drzwi gabinetu urzędowego nie dała po sobie poznać, iż zamierza skapitulować. Przeciwnie, dumnie weszła do jego gabinetu i z wrodzonym czarem kobiecym zajęła miejsce na krześle dla interesantów. Wyjęła grzebień z torebki i kokieteryjnie przyczesła sobie włosy.

Żarski nerwowo kręcił się po pokoju i kilkakrotnie zatrzymywał się tuż przed Anielą.

— I pan chce jeszcze raz wypróbować szczęścia? — zapytała pierwsza Aniela. — I tu w swoim gabinecie, jak wówczas?

— A co pani uczyni? — uśmiechał się Żarski. — Czy wolno wiedzieć, piękna urodzicielko?

— Tylko bez komplementów. Nie usiłowałam ani zależy mi na tym, by pana uwieść. Czego pan właściwie chce ode mnie? Dlaczego mnie pan tak męczy?

— To pani mnie męczy! — zawołał Żarski i nie panując więcej nad sobą, przytulił się do niej.

— Jak widzę, pan nie zrezygnował jeszcze ze swych zbrodniczych zamysłów.

— Nigdy nie zrezygnuję z pani.

Aniela jednym skokiem znalazła się przy drzwiach. Żarski pochwycił ją za rękę.

— Proszę zająć swoje miejsce! — rozkazał.

— O, nie! Z panem tu w cztery oczy nie pozostanę!

— Niech mi pani wierzy, że w pani interesie leży, abym panią przesłuchiwał w cztery oczy. Inni może to uczynią w daleko brutalniejszy sposób... Proszę, niech pani siada, a rozmówimy się spokojnie. Zapewniam panią, że nie użyję przemocy.

Spełniła jego życzenie.

— Przez cały czas byłem wobec pani łagodny, usłużny, dobry — rzekł komisarz Żarski. — Pani nie jest na tyle naiwna, by nie wiedzieć, com dla pani uczynił. Za udział w uwolnieniu kochanka z więzienia czekała panią kara ciężkiego więzienia. Nie aresztowałem pani. Wiem zresztą o wiele więcej, niż pani przypuszcza. Po okradzeniu skarbcza spędzała pani czas w towarzystwie kochanka na hulankach. W pani torbie są jeszcze dolary pochodzące z łupu skradzionego ze skarbcza.

Przy tych słówkach lica Aniela pokryła silna bledość. Jej oczy wżarły się w twarz Żarskiego.

— Czy mogę prosić panią o okazanie mi zawartości swojej torebki? — zapytał ironicznym głosem.

Aniela zawahała się. Żarski wziął jej torebkę i bez ceregieli wyciągnął stamtąd banknot studolarowy.

— Pani widzi? Wiem wszystko. Wiemy nawet, z jakiej kasetki skradziono te banknoty dolarowe. Czy zdaje sobie pani sprawę z tego, co panią czeka?...

Aniela milczała.

Żarski przyjął postawę ojcowską i rzekł:

— Wszak pani sama widzi, że mogę panią wprost stąd odesłać do więzienia, które będzie mogła opuścić najwcześniej za kilka lat dopiero. A więzienie to nieodpowiednie miejsce dla tak urodziwej kobiety, jak pani...

Aniela lekko poruszyła się na krześle. Dwie wielkie łzy stanęły w jej oczach i stoczyły się niżej. Żarski udawał, że tego nie dostrzega i ciągnął dalej:

— Pani pozostaje w kontakcie z bandą, którą od dawna staramy się wytropić. Możemy panią zmusić do tego, żeby pani wszystko wyśpiewała. Mamy wypróbowane środki na to, by otworzyć najbardziej zamknięte usta. By wydobyć prawdę, nie wzbraniamy się przed niczym. Nie możemy pozwolić na to, by przestępstwo triumfowało nad sprawiedliwością.

— Nie, nie powiem. Może pan już czynić, co uważa za wskazane.

— Naiwna panno! Albo może pani udaje naiwną... Daję pani dziesięć minut czasu na zastanowienie się. Niech pani zważy, co za nieszczęście ją czeka, o ile...

Nie dokończył zdania, zatopiwszy wzrok w papierach, które leżały na stole.

Żarski był teraz pewny, że jest bliski celu. Nie wątpił, że Aniela uzna się za pokonaną i... Już przeżywał w wyobraźni słodkie chwile oczekującej go rozkoszy...

Nawet na myśl mu nie wpadło, że ma przed sobą uczciwą dziewczynę, której namiętności pokryte były całunem niewinności.

Aniela spoglądała na Żarskiego, nie wiedząc, co mu ma odpowiedzieć. Zdawała sobie sprawę, że on może spełnić swoje pogroźki.

I tak minęło dziesięć minut czasu, które komisarz Żarski dał Anieli do namysłu.

— Dlaczego pani trwa w milczeniu?

— Czyż brak innych kobiet, może i ładniejszych? Niech pan sobie poszuka bardziej doświadczonej ode mnie... — wyjąkała.

— O, nie!... Ja panią kocham!... Pani jest z kamienia... Czym jestem gorszy od tego złodzieja?... — wpadał Żarski w stan oburzenia.

— Gdzie dane mi słowo honoru, że pan zachowa spokój? — przerwała mu Aniela.

— Doprowadzasz mnie do białej gorączki!...

Anielę ogarniał coraz większy strach. Instynktownie zaczęła się posuwać do drzwi. Ale Żarski przemocą rzucił ją znów na fotel. Aniela drżała jak liść. Błagalnym głosem wołała:

— Czego pan chce ode mnie?

Komisarz Żarski wybuchnął śmiechem.

— Nie udawaj niewiniątka!... Mnie nie nabierzesz!... Jesteś zbyt wyrafinowana, abym ci uwierzył!...

Cynizm Żarskiego godził w ambicję Aniela, która dumnie się wyprostowała i stanowczo spojrziała na komisarza.

Strach

— A jednak tak jest... Pan się co do mnie pomylił. Pan tego zrozumieć nie może... Za to ja już pana rozumiem... Nie może to się panu w głowie zmieścić, abym, jako córka złodzieja i wierna towarzyska Janka, mogła być niezdemoralizowana i niewinna?... Ale jestem mimo wszystko uczciwą dziewczyną! A pan chce popełnić na mnie zbrodnię!

„Wspaniała artystka — szeptał w nim wewnętrzny głos. — To sztuka grać tak rolę, jak ona”.

— No, więc, co pani postanowiła? Chce mnie pani wmówić, że jest cnotliwa?...

Żarski śmiał się ironicznie, a Aniela płakała.

Każde jego słowo bolało ją silniej, niżby ją miał kłuć ostrym narzędziem. Zdawała sobie sprawę, że Żarski, jako silniejszy, zdecydowany jest postawić na swoim. Teraz też pojęła, dlaczego ludzie nocy pałają do „władzy” uczuciem zemsty.

Aniela miała jeszcze nadzieję, a nuż kto się zjawi, wejdzie tu i położy kres jej mękom. Ale jakby na złość jej wyteżony słuch nie mógł podchwycić nawet szmeru z korytarza, przylegającego do drzwi. Zorientowała się, że ta cisza dokoła to dzieło uplanowane przez Żarskiego... Zabezpieczył się na wszelki wypadek, by mu nikt nie przeszkadzał...

Żarski czytał jej myśli niby w otwartej księdze. Zbliżył się do niej raptownie. Jego twarz wykrzywiona, napięta, zła — mówiła za siebie, że już nie jest odpowiedzialny za swoje czyny. Demon namiętności znalazł w nim ucieleśnienie. Palce jego, które się teraz wyciągały ku Anieli, robiły wrażenie drapieżnych szponów. Jego ręce, które znów usiłowały ją objąć, napawały ją strachem i wstrętem. Z jej serca wydobył się krzyk.

Ale w tej chwili ktoś dyskretnie zapukał do drzwi.

„Jestem ocalona! — przebiegła Aniela radosna myśl. — Nareszcie! ”...

Żarski poprawił na sobie mundur, powiódł ręką po włosach, jakby usiłował je uczesać, wzrokiem dał Anieli do zrozumienia, by zajęła miejsce na fotelu, jak gdyby nigdy nic, po czym zapytał urzędowym tonem:

— Kto tam?...

— To ja, Wołkow... — rozległ się na korytarzu, za drzwiami głos.

Żarski przybladł. Wstał jednak i podszedł do drzwi, by je otworzyć.

— Kolega wybacz — rzekł na powitanie Żarski — prowadzę tu ważne dochodzenie. Jestem teraz bardzo zajęty.

— Rozkaz, panie komisarzu! — odrzekł Wołkow tonem urzędowym. — Miałem bardzo pilną sprawę do poruszenia.

— Świetnie. Bądźcie łaskawi trochę później... Teraz jestem zajęty!

— Rozkaz, panie komisarzu! — wyciągnął się po wojskowemu Wołkow, przyjąwszy maskę obojętności, której Żarski nie mógł przeniknąć.

— Już dawno pan jest w Urzędzie? — rzucił Żarski badawcze pytanie.

— Nie, teraz przybyłem.

Żarski odetchnął z ulgą. Nie dostrzegł, jak górna warga Wołkowa lekko się poruszyła dla maskowania ironicznego uśmiechu.

— Może pan to zrobi — ciągnął dalej Żarski oficjalnym tonem. — Jestem teraz zajęty, a winienem za dziesięć minut być u zbiegu Marszałkowskiej i Chmielnej. Czekam tam na mnie „nasz” człowiek, który ma ważne wiadomości.

— Jak wygląda? Może uda mi się pana wyręczyć?

— Byłbym panu koledze bardzo wdzięczny... Ten pan będzie ubrany w palto deszczowe, a w prawej ręce będzie trzymał książkę. Parol¹⁵ brzmi:... „Budapeszt”.

— Rozkaz, panie komisarzu! Idę natychmiast...

— I za godzinę tu się spotkamy! — dorzucił Żarski.

Żarski podczas rozmowy z Wołkowem stał we drzwiach tak, by Wołkow nie mógł widzieć osoby przebywającej w jego gabinecie. Aniela, widząc, że się drzwi już zamykają i Wołkow odchodzi, chciała krzyknąć, wezwać pomocy, ale nie mogła wydobyć głosu.

Komisarz Żarski wrócił na swoje miejsce zamyślony, miał przecucie, że Wołkow coś knuje przeciw niemu i że zależy mu na tym, by mieć go w ręku. Żarski poczuł się przestępcą, który stoi wobec pokusy. Zatopił wzrok w twarzy Anieli. Również Aniela była pogrążona we własnych myślach.

— Więc? — przerwał milczenie Żarski.

¹⁵parol — tu: hasło. [przypis edytorski]

— Sądzę, że pan odwzajemni mi się za to, że pana nie skompromitowałam, choć mogłam to uczynić — rzekła Aniela. — Naprawdę, jak panu nie wstyd, znęcać się nad słabszą istotą.

— Oho, znamy już te istoty, które mają nerwy ze stali, a serca z kamienia! Zresztą nie znoszę kobiet! Większość z nich to komediantki!

— Pan jest złym znawcą kobiet i dlatego pan... pozostał starym kawalerem — odparła Aniela. — Ale, powracając do rzeczy, mnie już głowa pęka z bólu... Może już będzie dość na dziś.

— Tylko bez pośpiechu. Już długo zatrzymywać pani nie będę... Ale jedno muszę stwierdzić, zanim się rozstaniemy, kto wie, czy nie na zawsze...

Żarski zaczął krążyć po pokoju nerwowo. Naraz przystanął i nacisnął dzwonek.

Po chwili we drzwiach stanął posterunkowy, typowy rosyjski „stójkowy”.

— Odprowadź tę panią do policji obyczajowej, a po zbadaniu sprowadź ją tutaj! Zrozumiano?

— Rozkaz — wyciągnął się jak struna „stupajka”.

Anieli krew uderzyła do głowy. Chciała zaprotestować, ale w tej chwili zdawała sobie sprawę ze swej bezsilności. Opuściła gabinet Żarskiego, płonąca ze wstydu i oburzenia. Takiego upokorzenia nie przechodziła w życiu!... Ale do czego człowiek się nie przyzwyczai?...

Żarski zostawszy sam w pokoju, biegł z kąta w kąt niby opętane zwierzę... W Anieli zadurzył się bez pamięci. Przed poznaniem Anieli był prostolinijny w postępowaniu. Nie było tej ceny, za którą gotów byłby odstąpić od swej powinności i obowiązków.

Teraz... Zrozumiał teraz, jak człowiek mimo woli często wchodzi na drogę przestępstwa. Przekonał się na własnej skórze, że złoczyńcą staje się dopiero później, w zależności od kolei życia.

Ogarnął go wstyd przed samym sobą. Żałował już swego czynu. Z zapartym tchem czekał powrotu Anieli z policji obyczajowej.

Wtem ktoś zapukał do drzwi.

— Proszę.

Wszedł Wołkow, który tym razem nie dbał o urzędową postawę. Przeciwnie — usiadł, po koleżeńsku zapalił papierosa, ale słowem się nie odezwał...

Przez chwilę obaj zmierzyli się przenikliwym spojrzeniem, po czym Żarski zapytał:

— Powiedz mi pan, panie Wołkow, co słyhać z tą bandą? Jakoś pan mi nic nie mówi o niej! Czyżby nie mieli potrzeby dawania znaków o sobie?

— Sądzę, że nie. Dobrze się obłowili na skarbcu. Stać ich na to, by nic nie robić i hulać. Wzięli sobie urlop.

— Pewnie, że się obłowili.

— A może w ogóle wyjechali za granicę, kto wie? — rzucił Wołkow uwagę, niby balonik próbny.

— I to możliwe, tylko że nie daję temu wiary...

I Żarski, zatopiwszy wzrok w Wołkowie, rzekł ze skupioną uwagą:

— Czy pan wszystko zrobił, by tę bandę zlikwidować?

— Tak. A pan wątpi?

— Mam pewne poszlaki, które zadają pańskim twierdzeniom kłam — odparł Żarski.

— Dowody?

— Niezbite. Najlepiej będzie, gdy zagramy w otwarte karty, panie Wołkow — zerwał się Żarski z miejsca.

Również Wołkova rozmowa ta poniosła. Ironicznie zawołał:

— Proszę bardzo. Rozmowa nasza zapowiada się wcale ciekawie.

— Więc wiedz, że mam dowód, iż w hotelu rozmawiałeś z „Klawym Jankiem” i że puściłeś go na wolność. Gdy ja oczekiwałem ciebie na korytarzu, tyś mnie tam zdradził! Tak, tak! Tak postępuje tylko zdrajca!

Komisarz Żarski uczynił ruch, jakby chciał nacisnąć dzwonek, by wezwać kogoś do gabinetu, ale cyniczny uśmiech Wołkova powstrzymał go od tego.

Wołkow wygodnie rozsiadł się w fotelu, założył nogę na nogę, zapalił papierosa i rzekł:

— Dziwię się panu, panie komisarzu, że mnie uważa za „idiotę”. Deleguje mnie pan na spotkanie z osobą, której na świecie nie ma? Ale zrozumiałem też powody, dla których pan mnie wysłał z Urzędu Śledczego.

— Byłem zajęty ważną sprawą — odparł komisarz Żarski, a krew uderzyła mu do głowy.

— Naturalnie, że to była bardzo ważna sprawa... Ale radzę panu na przyszłość tego rodzaju sprawy załatwiać trochę ciszej. Ciekaw jestem tylko, czy wszyscy starzy kawalerowie flirtują w podobny, podły sposób.

Komisarz Żarski nie miał wątpliwości, że Wołkow podsłuchiwał pode drzwiami jego gabinetu. W duszy czuł się upokorzony, że taki Wołkow śmie mu jeszcze prawić morały.

— Nie rozumiem — bronił się Żarski, choć wiedział, że wszystko jest stracone.

— To się przedstawia bardzo prosto — rzekł z uśmiechem Wołkow. — Ja czuję sentyment do narzeczonego, którego wypuściłem, a pan do jego narzeczonej. Wszakże pan ją kilkakrotnie wypuszczał z rąk, aczkolwiek, uważam, że ona jest nie mniej niebezpieczna od Janka.

— Wolno mi stosować wszelkie środki wobec aresztowanych — zauważył Żarski, siny z oburzenia. — To moja rzecz, a panu wara od tego.

— Spokojniej, ciszej, panie komisarzu. Sądzę, że lepiej będzie, gdy nikt z postronnych nie podsłyszysz¹⁶ naszej rozmowy, która, moim zdaniem, winna odbyć się w spokoju. Będzie to z większym pożytkiem dla nas obu — dodał Wołkow, nie ukrywając łobuzerskiego uśmiechu.

Komisarz Żarski wstydział się przed samym sobą, że Wołkow, którego od pierwszej chwili nie znosił, a nawet podejrzewał o różne sprawki, naraz gra rolę starszego wobec przełożonego. Zdawał sobie sprawę, że Wołkow ma silny atut w rękę, którego tak prędko nie wypuści.

Na twarzy Wołkova odmalowała się pogarda i uczucie zemsty¹⁷.

— Pan mnie szpiegował? — rzucił Żarski te słowa w twarz Wołkowowi.

— Tak samo, jak pan mnie szpiegował — odparł Wołkow.

— Jak pan śmie tak do mnie mówić? Każę pana zamknąć!...

— Niech pan spróbuje... — uśmiechnął się spokojnie Wołkow.

— Co ma oznaczać ten ton pewny siebie? Pan już od dawna wydawał mi się podejrzanym...

Aczkolwiek Wołkow przy tych słowach stracił tupet, nie dawał tego po sobie znać. Wręcz przeciwnie, zareagował odważnie:

— Pan mi się tak samo wydaje od dawna podejrzanym...

— Jeszcze dziś pana pociągnę do odpowiedzialności. Przede wszystkim za to, że pan dziś wypuścił z rąk niebezpiecznego opryszka. Zresztą wiem jeszcze więcej o panu...

Obaj przez chwilę spoglądali na siebie badawczo i z nienawiścią.

— Panu wolno było wypuścić z rąk niebezpieczną przestępczynię, bo się panu spodobała? Mogłem i ja sobie pozwolić być dżentelmenem. Wszak jesteśmy ludźmi i każdego z nas napadają chwile słabości...

— Kilkakrotnie zwalniałem tę dziewczynę dla dobra śledztwa. Chciałem w ten sposób natrafić na ślady tej bandy.

— Mnie pan takie bajdy opowiada? — wybuchnął śmiechem Wołkow. — Pan, zdaje się, zapomina, że i ja jestem policjantem i że ten trick jest mi tak samo dobrze znany, jak i panu. W takim razie ciekaw jestem, czy te sceny, jakie się rozegrały między panem a tą dziewczyną, również były przez pana wywołane dla dobra śledztwa...

Komisarz Żarski już nie wątpił, że aspirant Wołkow jest dokładnie wtajemniczony w jego intymne sprawy. Odrzekł krótko:

— Wiem, co czynię i pamiętam o swoich obowiązkach.

— Właśnie dlatego nie chciałem panu przeszkodzić w spełnianiu obowiązków... aczkolwiek słyszałem wyraźnie wołanie o pomoc z ust dziewczyny.

Żarski pobladł. Zimny pot zrosił jego czoło.

— Pan się zagalopował. Nie spodziewałbym się tego po panu.

¹⁶podszyszy — dziś popr.: podsłucha. [przypis edytorski]

¹⁷odmalowała się pogarda i uczucie zemsty — dziś raczej: (...) i chęć zemsty. [przypis edytorski]

— Ja także — odparł Wołkow spokojnie. — Pan dla mnie był wzorem policjanta.

Obaj spojrzeli na siebie tak, jakby się widzieli po raz pierwszy w życiu.

Ciężkie kroki i dyskretne pukanie do drzwi przerwały tę osobliwą dyskusję. To policjant wrócił z Anielą z policji obyczajowej.

Wołkow ze zdumieniem obserwował to, co miało nastąpić. Jedno spojrzenie rzucone przez Wołkova na przyniesiony przez policjanta dokument, wystarczyło mu dla zorientowania się w sytuacji. Policjant zsalutował i opuścił gabinet komisarza. Teraz zostali tam: Żarski, Wołkow i Aniela.

Żarski przejrzał pismo, które po chwili zmiął i rzucił z oburzeniem do kosza.

Wołkow skierował się ku wyjściu. Aniela uczyniła ruch, jakby chciała pośpieszyć za nim. Wołkow zatrzymał się i roześmiał:

— Radzę pani być mniej upartą — rzekł Wołkow pouczająco i wyszedł z gabinetu.

Żarski wstał i wyciągnął rękę do Anieli:

— Niech się pani nie obawia. Ja, a nie pani, jestem winowajcą. Pani jest wolna... Proszę mi wybaczyć za wszystko¹⁸ i źle nie wspominać...

Aniela stała zmieszana.

— No?... Pani jeszcze nie ucieka? Może pani śmiało stąd iść. Nikt pani nie zatrzyma!

Aniela jednak nie ruszała się. Nie wiedziała dlaczego, ale zrobiło się jej żal tego człowieka.

— Pani się już nie gniewa? — wyjąkał.

— A pan na mnie? — spytała, spuszczać oczy wstydliwie.

— Ubóstwiam panią więcej, niż przedtem. Pani jest uczciwsza ode mnie. Teraz niech pani sobie idzie i będzie szczęśliwa. Niech pani zerwie z tymi ludźmi. Skąd oni do pani¹⁹.

Powoli Aniela posuwała się ku drzwiom. Przekraczając próg gabinetu, dostrzegła dwie łzy, które ściekały po twarzy Żarskiego. Miała wyrzuty sumienia, nie wiedząc dlaczego. Ale na wspomnienie o upokorzeniu doznanym w policji obyczajowej otrząsnęła się ze sprzecznych uczuć, które nią teraz ogarnęły. Nie wątpiła w miłość komisarza Żarskiego...

ROZDZIAŁ IV

Minęło dziesięć dni rozstania Janka z Anielą. Dla Janka był to ogrom czasu. Życie straciło dlań na wartości. Tęsknił za nią. Był bliski szału. Z początku szukał zapomnienia w rozrywkach. Pieniądzy mu nie brakło. Elegancko ubrani Janek z Krygierem hulali w najwytworniejszych lokalach, gdzie namiętności krzyżowały się ze złotem.

Krygier i Janek czynili przygotowania do opuszczenia Polski. Już mieli paszporty zagraniczne wraz z potrebnymi wizami. A jednak odraczali termin wyjazdu z dnia na dzień. Mieli jeszcze różne sprawy na sumieniu, które musieli przed odjazdem załatwić... Szczególnie Krygierowi nie spieszo było z wyjazdem. Bez żenady przyznawał się w rozmowie z ludźmi nocy, że nigdzie się tak nie obłowił, jak w tym kraju...

Było to związane z pewnym wydarzeniem, dość wyjątkowym na terenie Urzędu Śledczego i w świecie podziemnym.

Oto komisarz Żarski wpakował sobie kulę w łeb, a Wołkow...

Wołkow został naczelnikiem na miejsce Żarskiego. Tego nie mogła nasza banda nawet w myśli sobie wyobrazić.

O samobójstwie Żarskiego krążyły różne legendy. Ale prawdę wiedzieli tylko Wołkow i Aniela, którym nieobca była przyczyna targnięcia się na życie przez Żarskiego.

Janek nie miał zbyt wielkiej ochoty na wyjazd za granicę bez Anieli... Miał nadto różne porachunki do załatwienia, a w pierwszym rzędzie zamierzał rozprawić się z „hotelarzem”, który w tak ohydny sposób zadenuncjował go i przekazał w ręce Wołkova.

Uczucie zemsty jest święte u ludzi nocy. Teraz, gdy Wołkow zajął tak wysokie stanowisko, banda mogła sobie pozwolić na różne ryzykowne przedsięwzięcia. Bandzie tej nawet na myśl nie wpadło, że Wołkow, o którym sądzili, że duszą i ciałem należy do nich, zastanawiał się teraz nad tym, jak się pozbyć jej członków, by nie mogli głów unieść w górę.

Miłość, Tęsknota

Samobójstwo

¹⁸Proszę mi wybaczyć za wszystko — dziś raczej: Proszę mi wybaczyć wszystko. [przypis edytorski]

¹⁹Skąd oni do pani — dziś raczej: gdzie im do pani. [przypis edytorski]

Już po objęciu stanowiska po Żarskim, Wołkow postanowił zerwać z wszystkimi. Był bogaty. Doznał nie byle jakiego zaszczytu i wyróżnienia... Dostyc miał stosunki²⁰ ze światem podziemi.

Wołkow nie był obojętny wobec Anieli, ale nie chciał zadzierać z Jankiem, ani z prze-mądrzałym Krygierem. Na dnie duszy tliła się nadzieja, że wybije i jego godzina.

W dwa dni po przejściu urzędu Wołkow otrzymał przez umyślnego wysłannika liścik, w którym proszono go, by o dwunastej o północy zjawił się w mieszkaniu Reginy...

Liścik był utrzymany w takim tonie, że Wołkova aż podrywało z oburzenia... On, naczelnik Urzędu Śledczego, przed którym na bacność staje tyłu ludzi, musi ulec woli jakiejś bandy opryszków? Nie, to byłoby szaleństwem. Po raz pierwszy w życiu żałował swego czynu, że krytycznej nocy zamordował posterunkowego Michała i obrabował go ze znalezionej teczki z banknotami.

Zerwał się z fotela, na którym Żarski przeżył ostatnie chwile swojej tragedii miłosnej i odbył z samym sobą dłuższą rozmowę, która zadecydowała o jego samobójstwie.

Wołkow zaczął krążyć po swoim gabinecie, jakby w pościgu za własnymi myślami miał powziąć decyzję. Naraz zatrzymał się przed małym portretem Żarskiego, który wisiał nad biurkiem. Dopiero teraz dostrzegł świeży napis, który przeczytał:

„Człowiek, który nabiera przekonania, że wszedł na drogę występku, winien pozbawić się życia”.

— Umarł filozof — zawołał Wołkow na głos ze złością. — Wściekły podarł podobiznę Żarskiego, a skrawki ukrył w portfelu, by nikt nie zauważył jego wyczynu.

„Ale spotkał go los...” — napawał się uczuciem zemsty za to, że Żarski go szpiegował i podejrzewał.

Po chwili jednak znów go opuściła pewność siebie. Jego mózg przebiegła myśl:

„Co bym uczynił, gdyby tak przed śmiercią Żarski zdążył zawiadomić, że zwolniłem Janka? Mógłbym z miejsca być usunięty ze stanowiska. Karierze mej byłby koniec”.

Wołkow, zadowolony, że jednak w życiu koleje inaczej się potoczyły, zadzwonił na swego zastępcę.

We drzwiach ukazał się niski, chudy mężczyzna w wieku lat czterdziestu kilku, ubrany w płaszcz deszczowy, wcięty w tali. Jego małe, bystre oczki nie spoczywały nawet przez sekundę.

— Pan ma dziś dyżur? — zapytał przybyłego Wołkow.

— Tak jest, panie komisarzu — odrzekł chudy, mały mężczyzna.

— Świetnie. Na pana mogę polegać²¹.

Wołkow oświadczył dalej swemu zastępcy, który z uszanowaniem przyjmował słowa przełożonego:

— Między drugą a trzecią zadzwonię do pana. Proszę być przy telefonie.

— Rozkaz, panie komisarzu.

— Wychodzę w bardzo ważnej sprawie.

— Rozumiem.

— A jutro omówimy tę sprawę szczegółowo. Oto klucz do mego gabinetu.

Mały człowiek wyprężył się na bacność, z uszanowaniem ściskając dłoń Wołkova. Z kamiennej twarzy tego małego człowieka nigdy nie można było niczego wyczytać. Nawet cwany Wołkow nie mógł dostrzec dobrze maskowanej ironii, która czaiła się w kącikach ust.

*

W mieszkaniu Reginy panowały radość i wesele. Krygier rozparł się w fotelu i zajęty był studiowaniem pewnego planu. Posługiwał się przy tym szkłem powiększającym.

Janek siedział obok niego, ale myślami był gdzie indziej, zapewne przy Anieli.

Felek i Antek z uszanowaniem przyglądali się pracy Krygiera.

²⁰dostyc miał stosunki ze światem podziemi — dziś popr.: dostyc miał stosunków ze światem podziemi. [przypis edytorski]

²¹Na pana mogę polegać — dziś popr.: na pana mogę polegać. [przypis edytorski]

Milczek znów po raz setny odczytywał list, który odebrał od swojej dwunastoletniej córeczki, przebywającej u ciotki w Budapeszcie. Żona umarła w dniu porodu. Jedyne co mu zostało, to właśnie dziecko.

Bajgełe, zadowolony z siebie, zjadał swoim zwyczajem czekoladę.

Regina dbała o to, żeby stół był należycie zastawiony i by niczego nie brakło.

Znalazła się w tym towarzystwie również „Zimna kokota”, która w ciągu tego krótkiego czasu zmieniła się nie do poznania. Przechodziła już kilka chorób... Ale i stan jej duchowy nie był godny zazdrości. Ludzie nocy nie wybaczyli jej faktu, że żyła z policjantem... Ludzie nocy nienawidzą „kapusiów”, nawet gdy dzieje się to z krzywdą policjanta. Za oddane przez nią usługi Krygier pozwalał jej obracać się w ich kole, ale na tyle, by nie wiedziała zbyt wiele...

Rozczarowała się także co do swoich kalkulacji miłosnych. Janek nawet nie spoglądał w jej stronę. Po wypadku z Anielą nie znosił jej widoku.

Moryca już nie było w tym towarzystwie. Po zajściu w mieszkaniu „Zimnej kokoty” Moryc opuścił Polskę. Winny wobec Janka, zlikwidował w ciągu trzech dni swoje „sprawy” i wyjechał z Polski, uwożąc ze sobą grubo wypchany portfel. Znał Janka i nie chciał mu się narażać... Ale wakujące po Morycu miejsce wnet zostało „obsadzone” przez przyjaciela Antka i Felka, znanego „Józka Zalewacza”. Właśnie bawił dziś po raz pierwszy w mieszkaniu Reginy.

Józek Zalewacz nie był złodziejem w dosłownym znaczeniu tego słowa. Ciekawy jest jego życiorys. Ukończył prawo. Pochodził z bogatego domu. Wychowany na Tolstoju i Dostojewskim, stał się niewolnikiem kieliszka. Po szeregu skandali stracił praktykę w Odessie. Z biegiem czasu znalazł się w moskiewskiej „Chytrówce”, a stąd już tylko krok dzielił go od przestępstwa. Będąc podchmielony, wpadł w kolizję z kodeksem karnym i powędrował na pół roku do więzienia, gdzie nawiązał już bezpośredni kontakt ze światem przestępczym.

W czasie wojny wraz z armią rosyjską znalazł się w Warszawie. Jako intendent pułkowy zawarł znajomość z Bajgełe, który oczywiście nie dokładał do tego. Wozy naładowane różnymi towarami wprost z cytadeli wędrowały do Bajgełe. Józek Zalewacz postarał się wnet o inne dokumenty i stał się wykwalifikowanym członkiem bandy. Przydomek „Zalewacz”²² otrzymał on za swoje przechwałki z czasów adwokackich, w które nikt z kompanów nie chciał wierzyć.

Zalewacz pisywał żonom uwięzionych mężów podania albo fałszował czek. W tej dziedzinie był niezrównanym mistrzem. Ale te wyczyny udawały mu się, gdy był na wpół pijany. W stanie trzeźwym był do niczego. Taką opinię wystawił mu Bajgełe, jedyny jego opiekun w świecie podziemnym. Zalewacz niejednokrotnie usiłował uwolnić się od nieproszonej opieki Bajgełe, ale ten potrafił tak go schytryczyć²³, że wracał zawsze pod „opiekuńcze” skrzydła...

Krygierowi Józek Zalewacz od razu przypadł do gustu. Krygier był przekonany, że Zalewacz jeszcze zrobi „karierę” w swoim nowym fachu i nawet był zdecydowany zabrać go z sobą za granicę.

Zalewacz to był „oryginał”. Miał zawsze tylko jeden garnitur, który był jednak uszyty przez najlepszego krawca. Po tygodniu oddawał ubranie w prezencie jakiemuś więźniowi wypuszczonemu na wolność i znów szyl nowe ubranie. Jak wynika z jego sposobu ubierania się, Zalewacz zewnętrznie robił wrażenie eleganta.

I tak to się przedstawiało towarzystwo, zebrane u Reginy tego wieczora.

— Co to ma znaczyć, że jeszcze go nie ma? — zapytał naraz Krygier.

— Przyjdzie — pocieszał obecnych Bajgełe. — On musi przyjść. Czyż nie mamy go w ręku?...

Krygier westchnął i po namyśle odezwał się:

— Na wszelki wypadek winniśmy zachować ostrożność. Przecież „oni” zawsze mają rację. Kto wie, czy teraz, gdy zajmuje tak wysokie stanowisko, nie odmówi nam posłuszeństwa?

— Już wpuść do pierwszej — zawołał Janek. — Muszę iść.

²²Zalewacz — przezwisko utworzone od pot. znaczenia czasownika *zalewać*: łąć, kłamać. [przypis edytorski]

²³schytryczyć — dziś raczej: przechytryć. [przypis edytorski]

— Dokąd? — zdziwił się Krygier. — Bądź cierpliwy. On zaraz nadejdzie.

Janek zbliżył się do okna. Tu wyraźniej dochodziły odgłosy nocnego ruchu tramwajowego oraz kroków spóźnionych przechodniów powracających z zabawy albo bezdomnych poszukujących *locum* na noc pod gołym niebem. Wyostrzonym słuchem Janek pochwycił echa ciężkich, ostrych kroków zbliżających się pośpiesznie do bramy.

— Zdaje mi się, że on idzie! Poznaję go po chodzie!

Krygier pouczał wszystkich:

— Pamiętajcie, abyście byli bardzo uprzejmi dla niego i abyście niczym nie dawali mu odczuć, że mamy nad nim przewagę. A on będzie i tak tańczył pod rytm *mojej* muzyki...

W przedpokoju rozległ się ostry dzwonek, a w chwilę potem Regina wprowadziła do pokoju Wołkowa, którego zgromadzeni przywitali z widocznym respektem.

Wołkow był w cywilnym ubraniu. Robił wyrażenie przygnębionego człowieka. Krygier pierwszy wyciągnął doń rękę.

— Winszujemy ci z powodu objęcia tak wysokiego stanowiska. Dla godnego uczczenia tej uroczystości postanowiliśmy urządzić dziś bankiet, na który raczyłeś przyjść. Proszę, zasiądź z nami.

Krygier podsunął Wołkowi krzesło, na które bezsilnie opadł, jakby miał podcięte nogi.

Pozostali uczestnicy bankietu, którzy również zamierzali wygłosić uroczyste powitania, widząc stan psychiczny Wołkowa, woleli zrezygnować z tej przyjemności.

— Dlaczego jest pan taki smutny? — zbliżyła się do Wołkowa Regina, siląc się na beztronski uśmiech. Wrodzoną kokieterią próbowała go rozbroić.

Ale oto w tej chwili wzrok Wołkowa padł na „Zimną kokotę”, która siedziała nieopodal. Spozrzegł to Krygier i dał jej niemy znak, by się natychmiast ulotniła.

Wołkow siedział nachmurzony. Zagryzał od czasu do czasu dolną wargę. Wzrokiem obejmował zebrane towarzystwo, a twarz jego mieniła się tęczą barw. Krygier nie spodziewał się, by Wołkow był aż tak przybity. Usiłował zmienić nastrój w nadziei, że i jemu się udzieli.

— Jak widzę, bracie, nasze towarzystwo nie bardzo ci odpowiada. Ale zapewniam cię, że już najwyższy czas, abyś odnosił się do nas z ufnością.

— Do was?... Przenigdy! — zawołał Wołkow podrażnionym głosem.

Towarzystwo zamieniło się porozumiewawczymi spojrzzeniami. Bajgele odezwał się:

— Co za świat! Chcieliśmy ci wykazać naszą wierność i radość z okazji wywyższenia „naszego brata”, a ty siedzisz nadąsany!

Wołkow spojrział nań z nienawiścią, po czym wstał i zapytał:

— Po coście²⁴ mnie tu wzywali?

— Nie wiesz jeszcze po co? Zerknij okiem na stół... A na dodatek znajdzie się jeszcze piękny upominek.

Krygier milczał. Jego czoło pokrywały fałdy. Poznać było po nim, że mózg jego sili się nad zadaniem ciosu celnego, który by od razu dał mu przewagę nad przeciwnikiem.

— Siadaj — rzekł do Wołkowa Krygier. — Skoro już zaszczyciłeś nas swoją obecnością, bądźże naszym gościem i pij z nami.

— Chcę, abyście raz na zawsze przestali mnie terroryzować! — zawołał groźnym tonem Wołkow.

Krygier podszedł do Wołkowa i spojrzawszy mu głęboko w oczy, oświadczył:

— Uważałem cię dotychczas za rozsądniejszego człowieka. Jak widzę, zaczynasz z nami „zabawkę”. Upprzedzam cię, że na nic ona się nie zda. Będziesz czynił to, co ci rozkażemy.

— Nigdy!...

— Po co wygłupiasz się? — wtrącił się do rozmowy Bajgele. — Jak widzę, nowy awans podziałał na ciebie oszalamiająco.

Krygier wyjął z kieszeni arkusze papieru zapisanego przez Wołkowa, w którym przyznał się do zamordowania policjanta i obrabowania go z portfela pieniędzy, po czym wręczył go Wołkowi i rzekł:

²⁴po coście (...) wzywali — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: po co wzywaliście. [przypis edytorski]

— Jeżeli sadzisz, że zamierzamy cię szantażować tym oto oświadczeniem, mylisz się. Proszę go sobie wziąć!

Krygier rzucił ten papier na stół ku zdumieniu Wołkowa, który nie mógł zorientować się w sytuacji. Niemniej zdeorientowani byli pozostali zgromadzeni.

— Dlaczego nie zabierasz sobie tego dokumentu? — oburzał się Krygier. — Gdy zapragnę znaleźć na ciebie hak i tak nie wykręcisz się z moich rąk! Ty głupcze! Awans wywołał zamieszanie w twojej głowie? Biada ludziom nocy, co za osoby awansują na naczelników urzędów śledczych!... Najmniejszy złodziejasek ma więcej w palcu niż ty w głowie!... Jedyne przy naszej pomocy zdołasz się utrzymać na tak wysokim stanowisku. Ale ty tego nie jesteś w stanie ogarnąć swoim umysłem!...

Wołkow jakby był rażony prądem. Chytry Krygier wiedział, jak podejść Wołkowa. Wyczuł intuicyjnie, że Wołkow przy swoim niskim stopniu wykształcenia nie wierzy we własne siły, czy podola nowym obowiązkom. Nacisnął na najsłabsze miejsce Wołkowa.

— Tylko przy naszym poparciu uda ci się utrzymać na swoim stanowisku! — gromił dalej Krygier. — Nasze rady okażą się ważniejszymi od doświadczenia całego Urzędu Śledczego.... Co za znaczenie ma praktyka twoich pomocników wobec naszej fachowości. Uczynimy wszystko, abys zabłysnął talentem wywiadowczym. Ale nikt niczego darmo nie robi. Żądamy ekwiwalentu. Ręka rękę myje! Fakt, żeś zamordował policjanta, najmniej nas obchodzi i wiedź o tym, że nigdy go nie wykorzystamy jako atutu przeciw tobie.

Wołkow przez długą chwilę zwlekał z odpowiedzią. Zdawał sobie sprawę z tego, że Krygier nie należy do ludzi, którzy tak łatwo wypuszczają ofiarę z rąk. Wołkow nie miał odwagi stanąć do otwartej walki z tym żelaznym człowiekiem, jak nazywał Krygiera w myśli.

— Ale musicie zrozumieć, że nie mogę prowadzić podwójnego życia. W wielu wypadkach dla uniknięcia kompromitacji będę musiał postępować tak, jak mi dyktować będzie obowiązek.

— Rozumiemy to — rzekł Krygier. — O ile ci wypadnie zatrzymać którego z nas na gorącym uczynku, nie będziemy mieli o to pretensji. Rozumie się, że będziesz mógł sprawą tak pokierować, by nas zbytnio nie krzywdzono.

— Ale przecież to się nie da utrzymać — jakby błagał Wołkow o wyzwolenie. — Muszę się czymś popisać. Muszę coś uczynić, bo w przeciwnym wypadku powędruję sam za kratki...

— Posłuchaj — odparł Krygier. — Mam dla ciebie nową propozycję.

Przełknięty Wołkow zawołał:

— Znów propozycja?...

— Tak. Chcę, abys przez pięć miesięcy należał do naszej „paczki”. Po tym terminie wyjedziemy stąd i będziesz mógł czynić, co ci się żywnie będzie podobało lub co ci rozum i serce policjanta podyktują! Ale do tego czasu musisz być posłuszny, no i, oczywiście, będziesz miał równy udział.

— Zbyt długi termin — bronił się Wołkow.

— Więc wystarczy nam trzymiesięczny okres czasu — zawołał Janek. — I tak nie zamierzam tu dłużej zabawić!

— Tylko trzy miesiące? — oburzał się Bajgele. — Stanowczo za mało!

— Dobrze, niechaj będzie trzy miesiące — zgodził się Krygier. Ale pamiętaj, że umowa obowiązuje i że na „żartach” się nie znamy.

— Masz kocią pamięć — czynił Bajgele zarzuty Wołkowowi. — Ile to czasu upłynęło od chwili, kiedy ślubowałeś nam wierność? I już o tym zapomniłeś? Nie umiesz dotrzymywać danego słowa.

Wołkow przez dłuższą chwilę się zastanawiał. Widać było po nim, że stacza ze sobą walkę. Wreszcie wyciągnął Krygierowi rękę na znak zgody:

— Dobrze, niechaj będzie trzy miesiące, ale pod jednym warunkiem.

— Jakim warunkiem? — zawołali wszyscy chórem.

— Że po upływie trzech miesięcy, zapanuje między nami taka sytuacja, jakbyśmy się wcale nie znali, a wszyscy, których tu widzę dokoła, wyjedziecie za granicę. Jeszcze wam dopomogę w tym.

— Zrobione! — zawołał Krygier.

— Pijemy zdrowie Wołkowa! — zawołali zebrani, wychylając kieliszki. — Życzymy mu, by został ministrem!

I uczta rozpoczęła się na dobre. Po spożyciu jadła i napojów, Krygier wraz z Jankiem i Wołkowem udali się do oddzielnego pokoju, w którym zamknęli się na klucz, by omówić szczegóły dalszej współpracy. Bajgele był tym dotknięty. Bolało go, że nie został dopuszczony do tej tajemnicy. Wiercił się na krześle, zniecierpliwiony, jakby siedział na szpilkach.

Gdy nasza trójka znalazła się w zamkniętym pokoju, Wołkow naraz sobie coś przypomniał i rzekł:

— Czy mogę stąd zadzwonić?

— Proszę bardzo.

Wołkow połączył się z Urzędem Śledczym.

— Tu komisarz Wołkow. Z planu mego, niestety, nie mogę skorzystać. Dziękuję.

Krygier porozumiał się wymownym spojrzeniem z Jankiem.

— Musiałem znaleźć jakiś wykręt przed moim adiutantem. Bardzo sprytny gość. Na pewno go znacie.

— Jak się nazywa?

— Wasz świat zaszczylił go przydomkiem „Szczupak”.

— Ach, Szczupak?... Znam go dobrze! — zawołał Janek. — Strzeż się przed nim! To przewrotny chłop.

— Wiem, wiem... Dlatego też kazałem mu czekać przy telefonie w moim gabinecie, aby mieć pewność, że nie będzie mnie szpiegował...

— Skoro tak się ma sprawa, nie powinieneś być stąd dzwonić. Szczupak może wpaść na ślad tej rozmowy telefonicznej — zauważył Krygier, by tym dać Wołkowowi do zrozumienia, że nie jest zbyt mądry, zorientowany i ostrożny.

— Racja!... żałuję bardzo!... W takim razie lepiej zrobię, gdy stąd sobie już pójdę.

— Możesz zostać; nasz telefon nie jest legalnie włączony do sieci telefonicznej... Szukaj wiatru w polu...

Wołkow uspokoił się. Nie przypuszczał nawet, że jego adiutant może znaleźć inną radę dla ustalenia numeru lub adresu abonenta, z którym był połączony...

Krygier po chwili zbagatelizował sprawę i przystąpił do omówienia planu działania.

— Mówcie prędko i krótko — naglił Wołkow. — Mogę tu jeszcze pozostać wszystkiego dwadzieścia minut czasu.

— Rola twoja nie będzie ci nastroczała zbyteń ryzyka — wyłuszczył Krygier warunki współpracy. — Za każdym razem damy ci znać, w jakim kierunku winieneś kierować dochodzenie, by nas nie przyłapano. I to wszystko! Wszystkiego mamy jeszcze dwie roboty do wykonania! A potem: *adieu!*

— Dobrze. Ale... będę współnikiem!

— Naturalnie. Inaczej nawet sobie tego nie wyobrażaliśmy! — rzekł Krygier. — Otrzymasz od nas instrukcje, gdy się do czegoś zabierzemy... Aha, jeszcze jedną mam prośbę.

— Gadaj szybko. O ile to będzie możliwe, spełnię ją.

— Moja „twarz” jest tam w waszym albumie. Chcę, abyś ją stamtąd wy dostał i mnie zwrócił.

— O ile się tylko da, spełnię twoje życzenie.

— A teraz ja mam do ciebie prośbę — uśmiechał się Janek. — Powiedz mi, ale prawdę, czy komisarz Żarski miał coś wspólnego z Anielą?...

— Nie dała się...

— Tak?... — zamyślił się Janek. — A może znany ci jest wynik badania policji obyczajowej?...

Wołkow roześmiał się.

— Co cię tak cieszy? — oburzał się Janek. — Mów! — wrzasnął Janek, a krew napłynęła mu do twarzy.

— O ile będziesz kiedyś ojcem córek, niechaj będą tak niewinne, jak Anieli...

— Dziękuję ci. Jesteś porządnym chłopem.

— Skoro uważasz mnie za swego przyjaciela — odparł Wołkow — radzę ci, abyś lepiej strzegł Anieli. Ona musi teraz być bardzo ostrożna.

— Dlaczego?

— Jest podejrzenie, że ona spowodowała samobójstwo Żarskiego. Policja ją poszukuje²⁵.

— A w policji wiedzą, kim ona jest?

— Dokładnie nie wiedzą, ale „twarz” jej znajduje się w albumie. Bądźcie ostrożni!...

Trójka nasza wróciła do ogólnego pokoju. Wołkow zmienił się do nie poznania. Uciał nawet flirtik z Reginą. Oboje uśmieli się serdecznie. Ale gdy jego spojrzenie skrzyżowało się ze spojrzeniem „Zimnej kokoty”, Wołkow sposepniał. Chciał już pójść i z trudem uproszono go, by pozostał.

Wołkow tyle wypił, że w stanie podchmielonym wygadawał wszystko, co mu na język przychodziło. Opowiedział szczegółowo, jak krytycznej nocy zastrzelił policjanta. Gorzko oplakiwał ten okropny czyn. W stanie podchmielonym zrzucił z serca ciężący mu kamień.

Gdy Wołkow leżał na tapczanie, bełkocąc pod nosem, Krygier zauważył:

— Z tym chłopem nic się nie da zrobić. Z nim nic nie zdziałamy. Wolę z mądrym przegrać niż z głupim wygrać. Należy znaleźć sposób na pozbycie się go.

Milczek, który przez cały czas nie odzywał się słowem, rzekł:

— Sądzę, że teraz jest na to najodpowiedniejsza chwila...

Zgromadzeni porozumiewali się spojrzeniami, co Milczek poczytywał sobie za dobry znak. Wstał on z miejsca i wyciągnął rewolwer.

Krygier milczał.

Regina, błada jak chusta, wybiegła z pokoju. Naraz wypadła niespodzianie „Zimna kokota” z okrzykiem:

— Uczynicie to dopiero po mojej śmierci!

— Stul pysk! — zawołał Bajgele — Nie masz tu żadnego głosu!

Krygier zabrał głos i oświadczył:

— Tak nie wolno nam postępować! To byłoby wbrew naszej etyce złodziejskiej. Do trupów nie oddaje się strzałów!

— Pewnie — wyjaśnił Bajgele — Pijak równy zmarlemu... Gdzie charakter złodziejski!...

Wszyscy skierowali się do wyjścia. Krygier polecił Reginie i „Zimnej kokocie”, by dopomogły Wołkowi wynieść się stąd, gdy tylko otrzeźwieje.

— Brawo — zawołał Józek Zalewacz. — Tak należało postąpić, po koleżeńsku.

Janek w towarzystwie Krygiera opuścił pierwsze mieszkanie Reginy, a po nich pojedynczo pozostali towarzysze, którzy z trudem trzymali się na nogach... Zegar wybił czwartą nad ranem.

ROZDZIAŁ V

Stasiek Lipa nie zrezygnował z prawa opiekowania się córką jako ojciec. Co rano zaczynał wędrowkę ulicami w nadziei, że tego dnia natknie się na Anielę. Stasiek Lipa postarzał się. Jego twarz porosła brodą siwiejącą. Był zgarbiony, zniszczony. Miał na sobie pomięte, stare ubranie. Robił wrażenie pijaczyny z przedmieścia. Nikt by w nim nie poznał dawnego arystokraty podziemi. Stasiek Lipa nie mógł się pogodzić z jedną myślą: że córka jego pozostanie jedną z wielu cór Koryntu...

Ale oto pewnego wieczora, gdy znów wracał rozczarowany do domu, na schodach prowadzących do jego mieszkania spotkał się oko w oko z Anielą, której w pierwszej chwili nie poznał. Ale jej nagły okrzyk: „ojcze” rozproszył jego wątpliwości...

Jak małe dziecko Stasiek Lipa schwytał Anielę w objęcia i obsypywał gorącymi pocałunkami. Zapomniał w tej chwili o zemście, którą jej zaprzysiągł w duszy. I poczuł się zaraz sam jakby odmłodzony.

Uradowany Stasiek Lipa nie wiedział, gdzie posadzić córkę. Zaglądał jej w oczy, z których wiał smutek. Jej blade lica były dowodem wielu cierpień przebytych. Oboje porozumiewali się bez słów. Aniela całowała jego umęczone czoło, szepcząc z pokorą:

— Ojcze, już nigdy więcej...

²⁵ Policja ją poszukuje — dziś popr.: Policja jej poszukuje. [przypis edytorski]

Ojciec

Ojciec, Córka

Ojciec, Córka

— No, już dobrze... dobrze... cicho... — uspakajał ją i jednocześnie nie pozwalał wypowiadać się, jakby się bał jej słów i tego, co mogłoby ewentualnie nastąpić...

Był szczęśliwy, że odzyskał dziecko i z nadmiaru radości gotów jej był wszystko wybaczyć...

Nazajutrz rozmowa potoczyła się na temat Janka. Aniela przyznała ojcu rację, że on nie jest dla niej.

— Jeżeli przysięgniesz mi, że zerwałaś z nim i ze światem podziemnym, wyjedziemy razem za granicę.

Stasiek Lipa utkwiał wzrok w twarzy córki, która teraz jakby się zmieniła. Aniela rozmyślała o Janku, który teraz wypłynął w jej wyobraźni. I poczuła w sercu, wezbranym miłością, tęsknotę. Już zapominała o nienawiści, która nurtowała w niej jeszcze tak niedawno. Śladu nie było po żądzy zemsty, którą zapalała do niego. Teraz gotowa była mu przebaczyć.

— O czym teraz myślałaś? — zapytał ostro ojciec.

Aniela, jakby przebudzona ze snu, wymusiła na sobie uśmiech. Chciała coś powiedzieć dla uspokojenia ojca, ale Stasiek Lipa zorientował się, że ten uśmiech jest sztuczny.

— Myślałaś o nim! Chcę wiedzieć prawdę!

— Czuję do niego wielką urazę! Bądź spokojny, ojczu, między nami wszystko skończone.

— Pamiętaj, że więcej ode mnie nie uciekniesz! Nigdy!

— Nie, ojczu, zbyt ciężko podniecasz się!

Następny dzień i noc Aniela spędziła na rozmyślaniach. Zawsze przychodziła do wniosku, że Janek jej nie kocha. Atakował ją, bo chciał zaspokoić chęć. Zastanawiała się nad tym, czym jest miłość. Rozczarowała się co do życia. Jest młoda, a już złamana życiowo. Co ma za cel życie pełne cierpienia? Może skończyć ze sobą?

„Beze mnie zgnije w więzieniu! — rozmyślała. — Ja jedna mam jeszcze na niego wpływ i mogłabym go wyciągnąć z bagna. Jestem niedoświadczona, nie znam mężczyzny. Może Janek ma rację i ja jestem wszystkiemu winna?...”

Szukała odpowiedzi w opowieściach, w których miłość jest tak pięknie opiewana. Wszak miłość musi być wielką i nieznaną potęgą, skoro autorzy przedstawiają ją każdy na swój sposób.

Aniela wysilała pamięć, by uprzytomnić sobie szereg dialogów i przeżyć wielu bohaterów powieści. Ileż rozkoszy przeżywali w miłości? Pisarze byli ludźmi doświadczonymi. I lepiej od niej znali rozkosze miłości. Ale oto Aniela otrząsnęła się od tych myśli, gdyż kusily ją do grzechu.

W pewnym momencie przypomniała sobie Żarskiego. To już był doświadczony mężczyzna, a jednak popełnił samobójstwo zawiedziony w miłości.

I znów wypłynął w jej wyobraźni Janek. I poczuła na ustach jego płomienne pocałunki. Odezwały się spragnione zmysły, które jeszcze nigdy nie zaznały spokoju i nasycenia. Teraz, gdyby Janek się zjawił, nie byłaby zdolna stawiać oporu...

Stasiek Lipa nie spał. Anieli coraz częściej wyrzywały się westchnienia. Czuł, że córka cierpi. W skrytości ją obserwował. Nadśluchiwał, jakby słuchem można było odczytać cudze myśli.

W pewnym momencie Stasiek Lipa odezwał się do Anieli:

— Powiedz mi, co cię dręczy?

Milczała.

— Myślałaś o Janku?

— Tak... — odpowiedziała Aniela.

— A gdzie twoje słowo, mi dane?

— Słowa wypowiadają usta, a serce... zna tylko uczucie.

— Człowiek winien mówić tylko to, co serce czuje.

— Ojczu, kocham go!... — wybuchnęła spazmatycznym płaczem.

Stasiek Lipa stracił panowanie nad sobą. Rzucił się na Anielę i zaczął ją dusić z całych sił, Aniela broniła się rozpaczliwie. Dramatyczne zmaganie się na śmierć i życie odbywało się w ciszy nocnej. Nikt z nich nie wydał nawet jęku. Ale oto w czasie tej walki wyrzucił

Tęsknota

Pożądanie

Szaleństwo

się stół z łoskotem. Trzask, który rozległ się w pokoju, przywrócił Staškowi przytomność umysłu.

Aniela, wyzwoliwszy się z potwornego uścisku, podskoczyła do okna z zamiarem pełnienia samobójstwa. Stasiak Lipa stał oparty o ścianę, sapiąc ciężko.

— Dlaczego nie skaczesz? — uśmiech wykrzywił jego usta. — Okno położone jest na piątym piętrze. To doskonała okazja...

Aniela, gotowa do śmiertelnego skoku, drgnęła na dźwięk zimnych, okrutnych słów ojca.

— Morderco! — krzyknęła na niego.

— Ja cię uduszę!... Moimi rękami cię uduszę, a jego żonę nie zostaniesz!...

Na korytarzu za drzwiami rozległy się ciężkie kroki. Stasiak Lipa, który dobrze wczuwał się w mowę kroków ludzkich, instynktownie podskoczył do córki, ściągnął ją z okna i odprowadził do łóżka. Ledwie to wykonał, dwukrotnie uderzono we drzwi.

— Kto?

— Policja!

Lipa otrzeźwiał. Dał znak córce, by udawała śpiącą i podszedł do drzwi, by je otworzyć.

Kilku wywiadowców w towarzystwie przodownika przekroczyło próg pokoju. Stasiak Lipa zapalił światło. Jego wyostrzony węch mówił, że jemu osobiście nie zagraża niebezpieczeństwo.

— Panowie w jakiej sprawie? — zapytał.

— Mamy nakaz przeprowadzenia rewizji.

— Proszę bardzo.

Wywiadowcy zabrali się do roboty. Nie znaleźli jednak nic podejrzanego. I wkrótce opuścili mieszkancko. Tej nocy, jak się okazało, w całym domu przeprowadzano rewizję, w związku z doniesieniem konfidenta, że w tej kamienicy miała się mieścić tajemna fabryczka pieniędzy.

Po odejściu policji Stasiak Lipa rzucił się córce do nóg, błagając ją o przebaczenie.

— Dni mego życia są policzone — zalewał się łzami. — Bądź przy mnie. I tak już długo nie pociągnę. Serce... Serce mi pęka...

Staremu zabrakło tchu. Kaszel ostry rozrywał mu płuca. Aniela wybuchnęła płaczem.

Nazajutrz wyprowadzili się z tego mieszkania. Lipa domyślał się, że z ewentualnej drugiej rewizji nie wyjdzie „na czysto”...

ROZDZIAŁ VI

Na największym dancingu w Warszawie panował niebywały ruch, niby w wielkiej hali dworcowej.

Zegar wybił północ.

Auta luksusowe sprowadzały coraz nowych gości żądnych zabawy, którym wypchane portfele udostępniały zabawę, uciechy i rozkosze wielkomięjskie.

Jeden ze stolików zajmowali Krygier i Janek. Dwie uszminowane panie, które siedziały nieopodal, „strzelały” do nich oczyma...

Myśl Krygiera kołowała dokoła innej sprawy... Lubił w takich wypadkach obserwować, jak inni się bawią.

Janek siedział nachmurzony. Od czasu rozstania z Anielą opadła go melancholia. Nie mógł sobie miejsca znaleźć. Teraz pojmował, co to jest miłość i że dla Anieli byłby gotów skoczyć w ogień i wodę. Myśląc o Anieli, Janek obserwował jedną z tych dwóch elegantek, które upatrzyły sobie jego i Krygiera za obiekt²⁶ dzisiejszej zabawy...

Janek spróbował odgadnąć w myśli zawód jednej z tych pań o połyskujących paznokietkach i zdecydował, że to musi być manicurzystka. Nie omylił się. Poprosił ją do tańca.

Pary kołysały się w takt muzyki, niby drzewa za podmuchem wiatru. Masa ludzka na parkiecie robiła wrażenie pływającej gromady. Krygier zdążył zauważyć, że Janek „płynie” obok eleganckiej damy...

Naraz rozległ się krzyk kobiecy:

²⁶upatrzyły sobie jego (...) za obiekt (...) zabawy — kontaminacja dwóch zwrotów: „upatrzeć kogoś sobie” oraz: „obrać sobie kogoś jako” (obiekt żartów itp.). [przypis edytorski]

— Moja brylantowa kolia!...

Orkiestra umilkła. Dyrektor kabaretu nakazał zamknięcie wszystkich drzwi na klucz. Pary tańczące zaczęły rozchodzić się do stolików. Janek z ukłonem pożegnał partnerkę i zbliżył się do Krygiera. Obaj porozumieli się wymownym spojrzeniem.

Niedługo potem nadjechało auto policyjne i na sali ukazał się komisarz. Krygier i Janek odetchnęli z ulgą. Ujrzeni Wołkowa, który po otrzymaniu wyjaśnień od dyrektora kabaretu, zlecił zastępcy swemu, znanemu z przezwiska Szczupak, by strzegł drzwi wyjściowych, aby nikt podejrzany nie mógł się wymknąć. Wołkow wydał szereg instrukcji agentom tajnym, po czym przystąpił do głównej roboty — oczyszczania dancingu.

Lepsi goście, za których dyrektor był gotów zaręczyć, że są w porządku, sądzili, że będą mogli się wynieść od razu, ale spotkał ich zawód. Wołkow z uśmiechem na ustach, ale surowym tonem oznajmił, że, niestety, będzie musiał wszystkich bez wyjątku wylegitymować i... rewidować.

Nadaremnie dyrektorowie interweniowali, że to kompromituje ich lokal i naraża na straty. Wołkow obstawał przy swoim, twierdząc, że okradziona dama jest żoną ambasadora: i że dlatego klejnot musi się odnaleźć.

Naraz Wołkow spojrzał w kierunku stolika, za którym siedział Krygier i Janek. Krew uderzyła Wołkowi do głowy.

Zachowując najdalej idącą ostrożność, Wołkow zbliżył się do nich i zapytał dyskretnie:

— Wasza robota?...

Krygier uśmiechnął się, a Janek zręcznie wsunął Wołkowi do kieszeni kolię. Wołkow drgnął, jakby został ukłuty. Opanował się wnet i oddalił od ich stolika.

W chwilę potem dwaj agenci podeszli do stolika Krygiera i Janka. Obaj rozmawiali teraz po angielsku. Nie wzbraniali się: pozwalali sobie rewidować.

Wołkow wnet się zbliżył i, przepaszając ich za mimowolną przykrość, kazał agentom ich wyprowadzić, gdyż są to dwaj panowie z obcego poselstwa... W chwilę po tym obaj, Krygier i Janek, siedzieli w mknącej taksówce.

Także Wołkow odetchnął z ulgą, gdy już ich nie było na sali dancingowej. Bał się tylko, by Szczupak nie zauważył „dyplomatów”, bo od razu rozpoznałby w nich Krygiera i Janka. Ale na szczęście Szczupak był akurat w tej chwili zajęty...

Kilka osób „podejrzanych” odprowadzono do aresztu „na wszelki wypadek”. Okradzioną damę, Wołkow odprowadził do samochodu, oczekującego przed danciem. Wołkow zapewniał ambasadorową, że kradzież będzie wykryta. Bagatela, kolia wartości kilkuset tysięcy rubli!

Zajście na dancingu wytrąciło Wołkowa z równowagi. Głowa ciążyła mu niby ołów. A dotyk kolii brylantowej parzył niby ogień.

Wołkow przeżywał na sali dancingowej katusze. Targały nim sprzeczne uczucia. Na początku usiłował podrzucić klejnot i zawołać, że go znalazł na ziemi. Potem zachciało mu się ich zdemaskować. Ale rozsądek dyktował mu co innego. I chociaż drżał jak liść, grał swoją rolę do końca bez zarzutu. Czuł tylko, że gdyby ta zabawa z rewidowaniem gości dancingowych miała się przeciągnąć, nie wytrzymałby.

Gdy Szczupak wraz z agentami i zatrzymanymi skierował się do Urzędu Śledczego, Wołkow pod pretekstem, że musi coś załatwić urzędowo, oddalił się.

Na dworze świeciło. Wielkie miasto budziło się z fantastycznego snu, jakim jest obfitująca w liczne wydarzenia noc wielkomiejska.

Nocne ptaki pofrunęły w obawie przed promieniami słońca, które zapędzało elementy przestępcze do nor i melin.

Wołkow szedł ulicami przed siebie, bez celu. Jego doświadczone uszy policyjne podchwytowały odgłosy bitych uliczników, których krzyk unosił się z bocznych zaułków.

Ukazały się pierwsze wozy tramwajowe. Wołkow nie bez zazdrości obserwował pierwszych pasażerów. Oni mają cel w życiu. Pracują. Wiedzą, dokąd się śpieszą. A on?

— Co z tego, że piastuję wysoki urząd? — rozmawiał ze sobą Wołkow. — W gruncie rzeczy jestem narzędziem w rękach bandy przestępców. Dłużej tego nie wytrzymam!

Chciał przejść przez jezdnię, by dostać się na drugi chodnik. Akurat minęło go auto luksusowe, w którym spóźniony nocny gość obejmował kobietę. Skąd ją zna? To „Zimna kokota”.

Kradzież, Złodziej

Kradzież

Świt, Miasto

„Wszystko przez kobiety... — rozumował w duchu. — U mnie tak samo było”.

Jednym skokiem był w tramwaju, który nadjechał. Wsiadł z zamiarem rozmówienia się ze swoimi prześladowcami. Pojedzie do meliny Reginy... Na właściwym przystanku, zadumany, wysiada, nie dostrzegając tych kilku wyciągniętych jak struny policjantów na przedniej platformie elektrowozu.

Gdy mijal podwórko, w którym mieszkała Regina, dozorca nisko mu kilkakrotnie się kłaniał, nie mogąc się nadziwić, że tak wysoko postawiona osoba o wczesnej porze udaje się do jednego z lokatorów.

Ledwie dopadł do drzwi mieszkania Reginy, Wołkow nacisnął z całych sił dzwonek.

Drzwi rozwarły się ostro, a głos zawołał:

— Zwariowaliście, czy co?... Ach to pan... przepraszam...

— Gdzie są twoi współnicy? — zawołał surowym głosem. — Muszę natychmiast wiedzieć!

— Nie krzycz pan! Sąsiedzi gotowi pana usłyszeć.

— Co to mnie może obchodzić! Mam was dość!....

Regina wzięła go za rękę i uśmiechając się kokieteryjnie, powiedziała:

— Uspokój się... Pewnie zaraz nadejdą... Co się stało? Nie poznaję cię!

Uśmiechała się doń. Zalecała. Była w nocnej piżamie. Wołkowowi ona już od dawna wpadła w oko. Co prawda po wyspie z „Zimną kokotą” poprzysiągł sobie, że nie zbliży się do żadnej kobiety... Ale od tego czasu upłynęło już tyle tygodni... A Regina go kusila. Przez chwilę udawała, że nie widzi jego pożądlivych spojrzeń. Zza rąbka piżamy dojrzał jej białe ciało. Drgnął.

Regina działała na zimno. Uznała, że teraz jest najodpowiedniejsza chwila, by....

Skierowała się do przyległego pokoju z zamiarem ubrania się, ale Wołkow porwał ją w swoje ramiona.

— Co się z panem dzieje? — zawołała surowo.

— Podobasz mi się dziś!

Regina zarumieniła się, ale przemocą zwolniła²⁷ się z jego objęć i usiadła na *vis-à-vis*.

Przez kilka chwil milczała, jakby się nad czymś zastanawiała. Jej zgrabne nóżki, które wsunęła do aksamitnych pantofelków nocnych, nierównomiernie uderzały o dywan, działając Wołkowowi na nerwy. Naraz wstała, by wyjść z pokoju.

Wołkow schwył ją za rękę. Poczul, jak przytuliła jego rękę do piersi. Krew uderzyła mu do głowy. Jeszcze silniej przytulił ją do siebie. Był w jej objęciach igraszka...

— Za kogo mnie pan uważa? — Wyślizgnęła mu się z rąk. — Przecież nie jestem „Zimną kokotą”.

— To widzę — odparł Wołkow cynicznie.

Dzwonek u drzwi przerwał im rozmowę. Wołkow, zdenerwowany z powodu przeskody, podszedł do drzwi, by je otworzyć, ale Regina odciągnęła go.

Do pokoju weszła „Zimna kokota” na wpół nieprzytomna z powodu nadmiernej racji wypitego alkoholu. Z płaczem rzuciła się Wołkowowi na szyję. Ale odepchnął ją z taką siłą, że jak długa runęła na podłogę. Z jej ust posypały się przekleństwa i ordynarne wyzwiska.

— Zabierz to ścierwo — krzyknął rozwścieczony Wołkow — bo ją zastrzelę jak psa!

— Strzelaj! Proszę bardzo — wołała na całe gardło „Zimna kokota”, odsłaniając mu pewną część ciała...

Regina dla uniknięcia skandalu zaciągnęła Wołkova do swej sypialni, usiłując go uspokoić. I znów znalazł się w jej władzy.

— Współczuję panu — zaczęła Regina.

— Mnie?

— Tak, panie komisarzu. Serce mi boli²⁸, gdy patrzę się na to, co oni z panem uprawiają.

— Ale to już długo nie potrwa! — zerwał się wściekły.

— O, ja także już dawno z nimi chciałam zerwać — ciężko westchnęła.

— Dlaczego nie zerwałaś z nimi?

²⁷zwolniła się z jego objęć — popr.: uwolniła się (...). [przypis edytorski]

²⁸serce mi boli — dziś popr.: serce mnie boli. [przypis edytorski]

— Dziwię się tobie, że mnie o to pytasz!... Wszak przekonałeś się na własnej skórze, jak potrafią omotać ofiarę, by się nigdy nie mogła z matni wydostać. Oho, to jest banda!

— Gdyby nie „Zimna kokota”!... — zawołał Wołkow.

— I tak byś niczego nie wskórał! Krygier to diabeł, a nie człowiek!

— Z nim także się uporam! Jeszcze żyję — chełpił się Wołkow.

Regina objęła go serdecznie i na wpół omdlała z tęsknoty wyszeptwała:

— Już od dawna cię kocham!

— Prawdę mówisz?

— Nigdy nie kłamię!

Wołkow uwolnił się z jej objęć i zatopiwszy w jej twarzy wzrok, zapytał:

— Mogę być z tobą szczerą? Nie zdradzisz mnie, jak „Zimna kokota”?

— Co ci na myśl przychodzi?... Nienawidzę tę bandę!...²⁹

— Powiedz mi, droga, jak mam się uwolnić od nich! Ach, co to za banda!... Tylko ty możesz mi wskazać drogę!

— Uczynię to z miłości do ciebie! Nienawidzę ich! Nie mogę być dłużej narzędziem w ich ręku, jakim teraz jesteś z kolei!... Musimy razem się zmówić i działać!...

Kłamstwo

Wołkow nie wierzył własnym uszom. Obsypywał ją pocałunkami. Regina nie broniła się. Chciała go oczarować, by czym więcej³⁰ wydobyć od niego.

Ani ona, ani Janek, ani Krygier nie byli zachwyceni Wołkowem. „Chłop”, jak go nazywał w myśli, ma przydługi język. Nie znosili go za zbytnią wylewność języka wobec kobiet i przesadną chytrość i żądzę pieniędzy.

Wołkow nie dał się długo prosić. Opowiedział Reginie o zajściu na dancingu. Okazał jej kolię brylantową i radził się, co począć.

— Warta jest kilkanaście tysięcy rubli!

Wołkowowi nawet na myśl nie przyszło, że Regina była już poinformowana przez Krygiera i Janka o tym, co zaszło na dancingu.

Regina uwolniła się z jego ramion i cicho otworzyła drzwi sypialni, które przedtem zamknęła na klucz. „Zimna kokota” leżała na dywanie w tej samej pozycji, w jakiej ją pozostawiono, chrapała na głos.

— Śpi jak zabita — rzekła Regina, wracając do Wołkova. — Ach, jakże cię kocham!... Jesteś mój!...

Wołkow, z natury lekkomyślny, żywił już do niej stuprocentowe zaufanie. Będąc erotomanem i alkoholikiem, szybko ulegał wpływowi kobiety. A Regina знаła arkana sztuki uwodzenia i umiała zakładać³¹ „sieci”...

Regina wszystko czyniła z rozmysłu, według z góry obmyślnego planu. Spełniała zlecenia Krygiera, wierząc ślepo w jego gwiazdę przewodnią. Ostatnią jej misją była właśnie „opieka” nad Wołkowem. Krygier przyrzekł jej, że dopomoże w urządzeniu samodzielnego bytu. To miała być nagroda za jej usługi.

Krygier powiedział, że Wołkow wnet się tu zjawi, by zrobić awanturę i czynić zarzuty, no i... upomnieć się o swój udział. Pouczył tedy Reginę, co ma zrobić i jak z nim postąpić. Teraz właśnie Regina postanowiła wykonać swój plan.

— Ale pamiętaj — szepotała Regina Wołkowowi do ucha — że od dziś nikt i nic nas nie rozłączy!... Najdroższy!...

Wołkow był szczęśliwy.

*

— Wpadłam na świetny pomysł — zawołała Regina.

— Co, najdroższa, powiedz, a słowa twoje staną się czynem.

— Uważam, że najlepiej będzie, gdy im tej kolii brylantowej wcale nie zwrócisz.

Wołkow zbadal ją podejrzliwym wzrokiem.

Regina ciągnęła dalej:

— Gdy oddasz im tę kolię, będą cię mieli w ręku.

²⁹nienawidzę tę bandę!... — dziś popr.: nienawidzę tej bandy. [przypis edytorski]

³⁰by czym więcej wydobyć od niego — popr.: by tym więcej (...). [przypis edytorski]

³¹zakładać „sieci” — popr. zastawiać sieci. [przypis edytorski]

— W jaki sposób? — pytał Wołkow.

— Powiesz im — ciągnęła dalej Regina, tuląc go do siebie — że musiałeś wykazać swój talent i dlatego wykryłeś tę kradzież.

— Ale jak to zrobić? Oni są zbyt szczeni, by dać się nabrać!

— To bardzo proste — uśmiechała się Regina tajemniczo.

Wołkow wyciągnął z kieszeni skradzioną przez Janka kolię brylantową. Drogocenne kamienie mieniły się iskrami cudnych ogní. Reginie aż tchu zabrakło. Ogarnęła ją żądza posiadania tego klejnotu. Za wszelką cenę chciała zdobyć dla siebie tę kolię.

— Powiedz, co mam uczynić, by brylanty zostały u mnie... to jest u nas... — poprawił się po chwili.

Regina zbliżyła się do drzwi, sprawdziła, czy nikt nie podsłuchuje ich rozmowy, po czym szepnęła mu do ucha:

— Powiesz, że musiałeś podrzucić tę kolię... Że jeden z agentów znalazł ją i zwrócił ambasadorowej... Tak sędzę, będzie najlepiej.

— Krygier jest zbyt przebiegły, by w to uwierzył — odparł Wołkow.

— Znam lepiej Krygiera od ciebie. Tym razem uwierzy ci. Będzie musiał ci zaufać. On zrozumie, że inaczej nie mogłeś postąpić.

— Przypuśćmy, że tak będzie najlepiej. Pozostaje jeszcze kwestia odsprzedaży tych drogocennych kamieni. Komu je odstąpimy? Przecież może wpaść w ręce takiego jubilera, który da znać policji, a wówczas...

— Zostaw to mnie. Już ja znam jubilerów. Obym tylko tyle miała na sprzedaż, ile kupią.

— Ale, obawiam się, że Krygier i jego towarzysze nie uwierzą mi...

— Bądź spokojny. Zresztą mam tylko twoje dobro na myśli. Zapominasz, że gdy odasz im kolię, na zawsze będą cię mieli w swoich rękach. Nigdy się od nich nie odczepisz.

— Masz rację. Tylko... Powiem ci szczerze, nie wiem, czy mogę do ciebie się odnieść ze stuprocentowym zaufaniem i czy nie postąpisz ze mną tak, jak przed niedawnym czasem uczyniła „Zimna kokota”.

— Skoro możesz mnie zestawić z „Zimną kokotą”, więcej nie będę się wtrącała do twoich spraw. Ale, pamiętaj, że pożałujesz tego... — rzekła obrażona Regina.

Wołkow staczał ze sobą walkę wewnętrzną. Wreszcie przystał na plan Reginy. Po kilku minutach Regina już miała tę kolię w swoim posiadaniu. Bez ceregieli kazała mu się odwrócić do ściany, by, jak wyjaśniła, ukryć klejnot w pewnym miejscu...

A tymczasem, na ulicy już panował ożywiony ruch. Słońce dawno wzeszło. Trzeba było się śpieszyć do Urzędu Śledczego. Pożegnał się z Reginą, która go zapewniała wielokrotnie, że zawsze będzie mu wierna. Wołkow, wychodząc, znów natknął się na śpiącą „Zimną kokotę”. Chciał ją kopnąć, ale Regina nie pozwoliła na to.

— Ona jest nieszczęśliwa — wyperswadowała Wołkowowi — sądziła, że Janek ciebie zastąpi, ale srogo się zawiodła...

Ledwo Wołkow zamknął za sobą drzwi, „Zimna kokota” zerwała się z miejsca i zawołała, śmiejąc się na głos:

— Takiego idioty, jak Wołkow, jeszcze w życiu nie widziałam!

— Gdy, my, kobiety bierzemy mężczyznę w obroty, musi stracić rozum — uśmiechnęła się Regina. — Sędzę, że Krygier będzie zadowolony dziś ze mnie...

— A ze mnie? — śmiała się na głos „Zimna kokota”. — Co prawda z tego „interesu”, który podsłuchałam, nie będę więcej miała niż... ale na miesiąc czasu starczy, aby być „pod gazem”. Brylanty już mnie nie obchodzą — dorzuciła ze smutkiem w głosie.

Regina uspokoiła ją i radziła, by zapomniiała o Janku:

— Ci ludzie — mówiła — mają serca z kamienia. Obie jesteśmy zakochane, ale nasze marzenia nigdy się nie urzeczywistnią. I mimo wszystko musimy im dochować wierności.

Regina przygotowała stół do posiłku. Zadowolona, że się jej tak łatwo udało nabić Wołkova w butelkę, poruszała się lekko rozśpiewana. Dzwonek przy drzwiach zelektryzował ją i „Zimną kokotę”. W chwilę potem zjawili się Krygier i Janek, ale w towarzystwie trzeciej, obcej osoby. Na jej widok „Zimna kokota”, blada jak chusta, wbiegła do innego pokoju.

Któż to był?

Osobliwy typ przestępcy, który po raz pierwszy zawitał do tej meliny. W świecie przestępczym przezywano go „Beczulką”. Przybył do Polski z Ameryki, z Chicago, zaledwie przed trzema dniami.

„Zimna kokota” od razu go poznała, chociaż upłynęło sporo lat od ostatniego ich spotkania. Nie mogła, widać, zapomnieć tortur, które jej zadawał.

Beczulka był za pan brat z jej ojcem i rzucił na nią „oko”³², gdy ukończyła lat czternaście. Pięćdziesięcioletni Beczulka uwziął się, by „Zimna kokota” należała do niego.

Mały, okrągły, o grubym brzuszku, na którym zwisała gruba, złota dewizka zegara, poruszał się żwawo niby rてć. Kilka blizn na łysej głowie mówiło za siebie, że niejedną miał w życiu awanturę. Obwisłe grube wargi uprzydadabniały³³ go do Murzyna. Mały, ruchliwe oczy nie odpoczywały. Cyniczny wyraz nie schodził z jego twarzy, ozdobionej czerwonym od pijaństwa, długim nosem. Beczulka był nawet dumny ze swego nosa i twierdził, że dzięki niemu cieszy się tak wielkim powodzeniem u kobiet...

Beczulka wodził policję rosyjską za nos. Był na tyle zuchwały i sprytny, że nigdy nie siedział w więzieniu. Nie było policjanta, który by nie wiedział, że Beczulka jest złodziejem, ale nie było też takiego, który by nie brał od niego łapówki. Beczulka to był artysta w swoim fachu. Wycinanie kieszeni żyłką — to było jego wynalazkiem. O jego kolosalnych zarobkach wśród ludzi nocy krążyły legendy.

Oprócz przydomka „Beczulka”, który tak charakteryzował jego zewnętrzny wygląd, znany on był jeszcze z innego przezwiska. Posługiwali się nim tylko nieliczni przedstawiciele świata podziemnego. Za jego chytrość i przebiegłość przezywali go „Liskiem”.

Lisek rzadko kiedy sam się narażał i ryzykował. Na ulicy operował śmiało, pewny siebie. Utrzymywał bandę „uczniów”, kandydatów do stanu złodziejskiego. Utworzył w swoim mieszkaniu coś w rodzaju „szkoły”, w której wygłaszał wykłady o sztuce złodziejskiej.

W 1905 roku, kiedy wybuchła zawzięta walka między proletariatem a światem podziemnym, Lisek odznaczył się jako wróg robotników. Lubił ludzi bogatych, u których można coś uszczknąć. Nie znosił „smoluchów”, jak nazywał wszystkich, którzy ciężko pracują na chleb. Zmienił jednak zdanie swoje o proletariacie. Stało się to po tym, gdy kilku silnych robotników dostało go w swoje ręce i dali taką „odprawę”, że ledwie z życiem uszedł. Od tego czasu zapowiedział swoim „konikom”, by nie zaczepiali robotników.

Rok 1905 na długo utkwiał mu w pamięci. Później niejednokrotnie przyznawał robotnikom rację, twierdząc, że złodzieje padli ofiarą łobuzów i alfonsów, którzy szukali okupu.

Teraz, gdy „Zimna kokota” zobaczyła go, odżyły w jej pamięci obrazki z domu rodzinnego, rodzice oraz Lisek, który przemocą zmuszał ją do uległości.

Było to tak:

Nie było w Warszawie złodziejaska, który by nie był zadłużony u Liska, gdyż udzielał on wszystkim pożyczek, bądź na zastaw, bądź na „słowo honoru”. Ojciec „Zimnej kokoty” nigdy nie mógł się od niego uwolnić. Nie zarabiał wiele, ale zawsze potrzebował dużo. Lisek umiał go wykorzystywać i chętnie mu podsuswał zaliczki. Podkreślał przy tym, że jest jego najlepszym przyjacielem. Ale na myśli miał co innego.

Pewnego razu „Zimna kokota”, którą w domu nazywano Wandzią, zjawiła się na polecenie ojca w mieszkaniu Liska po kilkorublową pożyczkę.

Lisek przyjął ją z rozwartymi ramionami. Dał młodej i niedoświadczonej dziewczynie do zrozumienia, jak przyjaźnie jest usposobiony do jej rodziców, którzy zginęliby z głodu, gdyby nie śpieszył w porę z pomocą. Częstował ją czekoladą i silnym trunkiem, od którego dostała zawrotu głowy. I wówczas...

Gdy odzyskała przytomność, czuła, jak Lisek pakuje do ręki dwa banknoty, nakazując, by przysłała następnego dnia o tej samej porze.

— Nie bądź głupia. U mnie niczego ci nie zabraknie. Sprawię ci futro karakułowe.

Przemilczała ten wypadek w domu. Nie zdawała sobie nawet dokładnie sprawy z tego, co z nią zaszło. Intuicyjnie wyczuła, że powinna to ukryć przed obcymi i nieproszonymi.

³²rzucił na nią „oko” — popr.: wpadła mu w oko. [przypis edytorski]

³³uprzydadabniały — popr.: upodabniały. [przypis edytorski]

Z drugiej strony kusila ją perspektywa lepszego życia. Zorientowała się, że Lisek może się stać dla niej źródłem zdobywania pieniędzy na stroje.

I następnego dnia znów zjawila się w mieszkaniu Liska. Gdy wchodziła tam, przejmowała ją odraza, ale... Wracała do domu złamana, przygnębiona. Anormalny Lisek oddziaływał na Wandzię deprymująco i demoralizująco. Cynizm i bezwstydnosc wycisnęły na tej młodej dziewczynie swoje piętno. Zobojętniała na zaloty Liska. Stała się zimną kobietą.

Lisek miał skłonności „pedagogiczne”. Chętnie nauczał innych sztuki wyrażania komuś krzywdy. Również Wandzi udzielał podobnych rad, by, jak się wyrażał, mogła lepiej poznawać życie. Dawał jej do zrozumienia, że takich wyrzutków społeczeństwa, jak on, nie brak na tym świecie.

— Ludzie — uświadamiał Lisek Wandzie — istnieją po to pod słońcem, by jeden drugiego deptał i trutował bezlitośnie. Silni niszczą słabych. Takim był i będzie nasz świat... — moralizował Lisek swoją uczennicę.

Pod wpływem Liska Wandzia nade wszystko uwielbiała pieniądze. Patrzyła oczyma Liska na świat i uwierzyła, że posiadając pieniądze, człowiek może posiadać wszystko...

Dopiero z ukończeniem lat siedemnastu, udało się Wandzi uwolnić od Liska, który ją prześladował. Naprawdę się zakochała, ale wybranek serca okazał się nie mniejszym wyrzutkiem społeczeństwa od Liska. Od tej pory straciła zaufanie do mężczyzn. Różne późniejsze przeżycia do reszty ją rozgoryczyły. Los nieustannie szykował jej przykre niespodzianki. A ostatnia jej miłość do Janka była największym niepowodzeniem życiowym. Janek kochał Anielę. „Zimna kokota” szukała pociechy i zapomnienia w kieliszku.

I teraz, gdy przed nią znów stanął Lisek, który pierwszy w jej życiu zdarł zasłonę z wielu potwornych rzeczy, przedtem dla niej nieznanych, wzdrygnęła się. Zapłonęła uczuciem zemsty.

Siedząc w drugim pokoju, podsłuchiwała jego rozmowę z kompanami. Wypytywał się o starych znajomych, w tej liczbie także o jej ojca, który już dawno zmarł. Wspomnił również jej imię.

„Zimna kokota” nie wytrzymała. Uchyliła drzwi. Utkwiła wzrok w jego starej, pomiętej twarzy, z której wyglądały dwa rzędy złotych sztucznych zębów. Słyszała, jak Krygier pytał go, czy nie chciałby zobaczyć urodziwej Wandy. Janek porozumiewał się przy tej okazji spojrzeniem z Reginą.

— Ależ to była dziewczynka! — rozkoszował się Lisek własnymi słowami i wspomnieniami. — Chętnie bym się teraz z nią spotkał. Na pewno stoczyła się na bruk, co?... Gdy liczyła lat dziesięć, niezgorzej już kokietowała.

Nie zdążył dokończyć zdania, gdy naraz do pokoju wpadła „Zimna kokota” i chwyciwszy butelkę, która stała na stole, zaczęła nią okładać Liska, aż krew zaczęła tryskać zeń w różnych miejscach.

„Zimna kokota” dostała ataku furii, tak że z trudem zebrani wciągnęli ją do innego pokoju.

Krygier i Janek chcieli się rozprawić z „Zimną kokotą”, ale gdy im wyznała wszystko, przyznali jej rację i oświadczyli Liskowi, że rezygnują z proponowanego przezeń interesu.

— Z degeneratami nie chcemy mieć nic wspólnego — rzekł Krygier.

ROZDZIAŁ VII

Pociąg pośpieszny z łoskotem zatoczył się na dworzec w Gdyni.

— Gdynia! — zawołał konduktor.

Stasiek Lipa powoli wstał z miejsca wagonu pierwszej klasy i wraz z córką Anielą szykował się do wyjścia.

Aniela zdjęła jedwabny płaszcz deszczowy z wieszaka, wzięła torebkę do ręki i wyszła z wagonu. Traagarz znosił dwie ciężkie walizki.

Stasiek Lipa zmienił swój wygląd nie do poznania. W eleganckim, sportowym ubraniu angielskim i z zawieszonym na pasku aparatem fotograficznym raczej wyglądał na zagranicznego turystę. Wysoki, przystojny, nieco przygarbiony, o lekko siwiejącej czuprynie wzbudzał respekt. Tylko oko doświadczonego znawcy ludzi dostrzegłoby, że do jego bladej twarzy nie bardzo odpowiadał przylepiony uśmiezek beztroski.

Również Aniela zmieniła się. Była jeszcze piękniejsza. Biały jedwabny kostium jakby był dobrany do majowej barwy jej pięknej twarzy. Jedyne oczy jej, przypominające błękit nieba, rozglądały się dokoła z niepokojem.

Stasiek Lipa wszedł z Anielą do taksówki, polecając szoferowi w języku angielskim, by go zawiózł do wytwornego hotelu. Tragarz, któremu wręczył banknot dolarowy, kłaniał się Staśkowi Lipie niżej pasa.

W kilka minut później Stasiek Lipa z córką zajęli w hotelu elegancki apartament, którego okna wychodziły na morze.

Ledwie drzwi zamknęły się w pokoju hotelowym, Aniela zawołała:

— Dokąd mnie uwozisz? Nie chcę jechać!...

— Poproszę cię, córko moja, abys się zachowała trochę spokojniej. Ojciec cię nie uprowadzi! Nic złego ci nie grozi!

Stasiek Lipa wypowiedział te słowa z chłodem, stanowczo, skandując każdą sylabę. Prawa szczęka drgała przy tym nerwowo. Oczy jego pokryły się dziwnym błyskiem.

Aniela opadła bezsilnie na kozetkę, zakrywając twarz rękami. Płakała.

— Dlaczego płaczesz? — zbliżył się do niej Stasiek Lipa, nagle zmieniony. Ból ojcowski targał jego sercem.

Przez kilka chwil przyglądał się jej i chociaż płacz jej sprawiał mu ból i cierpienie, postanowił za nic w świecie nie ustąpić³⁴ z raz powziętej decyzji.

Stasiek Lipa wybierał się z córką za granicę. Chciał w ten sposób raz na zawsze położyć kres jej nieszczęśliwej miłości. Zdawał sobie sprawę z tego, że i Aniela w duszy staczała boje ze swoim uczuciem, pragnąc zapomnienia. Obawiał się, by w decydującej chwili nie zabrakło jej odwagi i sił w walce z własnym uczuciem. To go właśnie skłoniło do natychmiastowego wyjazdu z Polski.

Zlikwidował swoje interesy. Nocny lokal przejął od niego Bajgele, który tam usadowił „Zimną kokotę”. Po incydencie z Liskiem zyskała ona na powadze. Liczono się z nią. Ale Bajgele miał oczywiście w tym swoje wyrachowanie: „Zimna kokota” nadawała się do naciągania gości.

Suma zadeponowana przez Staśka Lipę w pewnym banku angielskim zapewniała mu egzystencję. Całą myślą był pochłonięty Anielą. O przestępstwach i „zarobkach” wcale nie myślał. Przeciwnie, był zdecydowany na starość nawrócić się i odtąd prowadzić uczciwe życie.

Jeszcze jedna była przyczyna, dla której Stasiek Lipa zdecydował się opuścić Polskę. Dowiedział się przypadkowo, że matka Anieli przebywa w Polsce i czyni rozpaczliwe starania w kierunku odnalezienia córki. Tego nie chciał dożyć, by „ona” jeszcze mogła odzyskać swoje dziecko. Stasiek Lipa żywił do żony swej nienawiść i nienasycone uczucie zemsty, gdyż złamała mu życie rodzinne...

Dwie osoby kochał Stasiek Lipa w swoim życiu: żonę i córkę. Po ucieczce żony jedyną pociechą w życiu była dlań córka. Teraz, gdy po tragicznym rozstaniu odzyskał córkę, zrozumiał, że bez niej żyć nie potrafi. Tylko ona, Aniela, zdolna jest podtrzymywać go w życiu. A teraz właśnie zapragnął żyć, jak nigdy przedtem...

Całe życie upływało mu w ciągłej niepewności, w niepokoju, w strachu prześladowania przez policję i społeczeństwo. Życie jego było pasmem nieskończonych cierpień i udręki. Cierpiał głód, nędzę i chłód. Niejednokrotnie bity był i kopany na przesłuchaniach w policji carskiej. Małoż to razy wałęsał się w więzieniach? Gnany i ścigany niby wściekły pies, uciekał z jednej meliny do drugiej, niejednokrotnie lękając się własnego cienia...

Nawet później, gdy już mógł samodzielnie zarabkować i nie był zmuszony uciekać się do łaski paserów³⁵, to jest, kiedy już nie brakło mu pieniędzy — nawet wówczas nie znalazł spokoju.

Stasiek Lipa wszystko zawdzięczał sobie. Nikt się nim nigdy nie zajmował. Wychowywał się jako okrągły sierota na ulicy, która nauczyła go sztuki życia. Ulica była jego wychowawcą, a więzienie — domem rodzicielskim. W tym uniwersytecie życia nauczył

³⁴nie ustąpić z raz powziętej decyzji — popr.: nie odstąpić od raz powziętej decyzji. [przypis edytorski]

³⁵paser — pośrednik pomagający sprzedać skradzione przedmioty. [przypis edytorski]

się później manier wytwornych i kilku obcych języków. Podczas nocy bezsennych o chłódzie i głodzie, pod mostem lub w przewodzie kanalizacyjnym, na schodach lub w piwnicy, gdzie wałęsał się jako bezdomne dziecko, uczył się sztuki życia.

Nie miał nikogo, kto by mu zwrócił uwagę na niewłaściwość postępowania i wezwał do zmiany trybu życia. A później, gdy podrósł i zrozumiał, że kroczy złą drogą, pełną niebezpieczeństw, nie było już dlań odwrotu. Nie mógł się uwolnić od świata podziemnego, z którym się tak zrosł. Nawet po tym, jak już założył wytworny nocny lokal, nie stać go było na zupełne zerwanie ze światem podziemnym. Nie wiedział nawet, dlaczego tak było...

Największym ciosem w życiu był dlań fakt, że jego córka Aniela zakochała się w złodzieju. Sam z zawodu przestępca, Stasiek Lipa odnosił się z nienawiścią do kolegów po fachu. Walczył o uczciwość i honor swej córki. Dałby sobie krew wytoczyć, niżli pozwolić dziecku swoje skrzywdzić.

W duchu przyznał, że życie w ten sposób zemściło się na nim: Aniela, która nie mniej od niego nienawidziła ludzi nocy, zakochała się w Klawym Janku, wyrzutku społeczeństwa...

— Krew złodziejska nie przebacza!... — mawiał do siebie w zamroczeniu alkoholowym.

Miłość Anieli do Janka złamała Staśka Lipę i postarzała go. Najwięcej go bolało, że sam przyczynił się do zbliżenia córki do Janka. Trzymał dla swego egoizmu Anielę przy sobie i w ten sposób umożliwił jej poznanie Janka... Gdyby nadał przebywała za granicą, byłoby do tego nie doszło.

Aniela, nie wiedząc nic o prawdziwym życiu Janka, zakochała się w nim od pierwszego wejrzenia. Było to wkrótce po jej powrocie z Niemiec, gdzie się wychowywała. Nie wiedziała jeszcze wówczas prawdy o swoim ojcu. Tu prawda spadła na nią jak grom z jasnego nieba. W pierwszej chwili Aniela usiłowała popełnić samobójstwo. Łzy ojca wzruszyły ją. Pozostała przy boku ojca. Za ten egoizm drogo musiał płacić. Aniela jest zakochana po uszy...

Stasiek Lipa był przeciwnikiem miłości. Gdy miał lat trzydzieści, zakochał się w córce mieszczańskiej, o dziesięć lat od niego młodszej. Stasiek Lipa tęsknił za ogniskiem rodzinnym. Po długich naleganiach dziewczyna wyszła za niego za męża, wnosząc w dom tytułem posagu — teściową, która różniła potem małżonków...

W dziesięć miesięcy po ślubie na świat przyszła Aniela. Urodziła się we własnym czteropiętrowym domu Staśki Lipy, który również mieszkał w Odessie. W rocznicę ślubu żona Staśki, dowiedziawszy się przedtem od teściowej prawdę³⁶ o mężu, porzuciła go, uciekając z hrabią, pułkownikiem rosyjskim.

Aniela wychowywała się odtąd we wzorowym internacie w Niemczech na koszt ojca. Od czasu do czasu Stasiek Lipa odwiedzał swoją córkę, co miało miejsce po dłuższym pobycie za kratami. Z więzienia zawsze kierował się na dworzec lub do portu, by udać się z wizytą do Anieli.

Pieniądzy nigdy mu nie brakło. Jego adwokat, do którego żywił całkowite zaufanie, zawsze miał w swym depozycie znaczną sumę pieniędzy „na wszelki wypadek”.... Gdy przebywał w więzieniu, jego adwokat, który miał swoją siedzibę w Paryżu, odwiedzał od czasu do czasu Anielę, przedstawiając się jej za wujka.

Teraz, udając się za granicę, Stasiek Lipa oświadczył Anieli, że jada z wizytą do wujka...

Aniela obecnie orientowała się, co to za wuj... Ale nie pytała ojca o szczegóły. Wszystko, co przyjmowała od ojca, budziło w niej lęk, chociaż ufała ojcu. Był w jej oczach człowiekiem — zagadką. Pod presją ojca Aniela udała się w tę podróż w nieznaną.

Po wyrzeczeniu się myśli o samobójstwie, Aniela postanowiła opuścić ojca. Chciała odszukać hrabinę, która gotowa była ją zatrudnić u siebie. Ojciec był nawet zadowolony z tego, że Aniela szuka zajęcia. Wierzył, że w ten sposób wybije sobie z głowy różne „fantazje”. Ale gdy Aniela opowiedziała ojcu o nowej posiadzie u hrabiny, ten kazał jej natychmiast się spakować, by razem z nim wyjechać za granicę.

³⁶dowiedziawszy się przedtem (...) prawdę o mężu — dziś popr.: dowiedziawszy się przedtem prawdy (...). [przypis edytorski]

I jeszcze jeden był powód, dla którego Stasiak Lipa musiał czym prędzej opuścić Polskę. Przypadkowo dowiedział się, że policja jest na jego tropie. Londyński Scotland Yard po kilkuletnim poszukiwaniu wreszcie go wytropił i Staszek Lipa obawiał się, że go władze rosyjskie wydadzą w ręce Anglików. Na starość nie uśmiechał mu się pobyt w surowym więzieniu brytyjskim.

Przez długi czas Stasiak Lipa siedział w pokoju hotelowym w Gdyni, zatopiony w rozmyślaniach. Aniela zaś popłakiwała. Łzy — oto była jej odpowiedź na perswazje ojca, który usiłował wytłumaczyć córce, że źle postępuje.

Ojciec i córka to były dwa światy odrębne. Każdy z nich żył w swoim świecie uczuć i rozmyślań. Ale stan ojca zbliżył do niego córkę, która czyniła sobie w duchu wyrzuty, że z jej powodu cierpi. A głos sumienia nie mógł pokonać głosu serca, który przypominał jej o Janku i miłości do niego. Miłość do Janka wypierała z jej serca uczucie miłości do ojca.

Później oboje zeszli do restauracji hotelowej, gdzie Aniela swoją urodą ściągała powszechną uwagę, spojrzenia mężczyzn w stronę Anieli zatruwały duszę Staszka Lipy. Czym prędzej starał się spożyć posiłek i wrócić do numeru hotelowego. Następnie wyszedł na miasto, by załatwić formalności w biurze towarzystwa okrętowego, w którym zamówił dwa miejsca, by odbyć podróż morską. Stasiak nie zapomniał zamknąć pokoju na klucz przed wyjściem, wyjaśniając numerowemu, gdy się ten zdziwił, że pragnie, by córka się mogła lepiej wyspać...

Co prawda, Stasiak Lipa nie był na tyle naiwny, by nie wiedzieć, że i w tym hotelu, jak zresztą w każdym wielkomijskim hotelu luksusowym, są konfidenti i konfidentki, ale ufał swojej reprezentatywnej postawie i mniemał, że nikt w nim nie dopatry się przestępcy...

Aniela nie mogła długo spać. Nerwy były zbyt nadszarpnięte, by mogła zażywać spokoju i wytchnienia. Gdy przebudziła się na skutek ohydneho snu, była zła na siebie z powodu miłości, która doprowadziła ją do tak oplakanego stanu psychicznego.

Leżała z otwartymi oczyma i zastanawiała się z niepokojem nad tym, dlaczego ojciec jeszcze nie wracał. Pokój hotelowy napełniał ją uczuciem niewytłumaczonego strachu.

Naraz rozległo się zgrzytanie klucza przekręcanego w zamku. Drzwi się otworzyły.

Do pokoju wszedł Stasiak Lipa, zmęczony i zdenerwowany. Rzuciwszy kapelusz i płaszcz deszczowy na kanapę, zwałił się na fotel, ciężko sapiąc.

— Ojcze, co się stało? — krzyknęła Aniela przerażona.

Stasiak Lipa nie odpowiedział. Siedział sztywny, a twarz jego jakby zastygła w martwocie, oczy zaś, utkwione w suficie, znieruchomiały. Jedyne ramiona drgały nerwowo.

— Ojcze, ojcze!... Powiedz, co się stało? Co ci jest?

Stasiak Lipa ciężko westchnął. Jego twarz nabrała wyrazu życia. Oczy się rozpozodziły. Postawna figura nieco się wyprostowała.

— Siadaj przy mnie — rzekł do Anieli tonem na w pół rozkazującym..

Aniela spełniła polecenie ojca. Dygotała cała, trzęsąc się niby w febrze, aczkolwiek w pokoju było ciepło od promieni słonecznych.

— Czego chcesz, ojcze?

— Milcz! Milcz! — podniósł Stasiak Lipa pięści do góry.

Aniela odskoczyła na bok, jakby za chwilę miała rzucić się w stronę drzwi.

— Tu masz siedzieć! — syknął niby żmija, a twarz jego przyoblekła się w maskę zbrodniarza, tak że Aniela utkwiała przerażone oczy w twarzy ojca. Bała się nawet krzyknąć...

— Ojcze! Ojcze!... Boję się...

— Kogo? — roześmiał się Stasiak Lipa.

Aniela miała teraz stuprocentową pewność, że jej ojciec postradał zmysły. Bezsilna, trwała w biernym oczekiwaniu tego, co miało nastąpić. Staczała ze sobą bój wewnętrzny, by nie wzywać pomocy. Na myśl o tym, że krzykiem może zdradzić własnego ojca, którego poszukuje teraz zapewne policja, rezygnowała z pomocy z zewnątrz. Czuli, że nie przeżyłaby tego, gdyby miano ojca na stare lata zakuć w kajdany.

— Kim jestem dla ciebie? — zapytał Stasiak Lipa, a oczy jego skierowane były nie w stronę córki.

Aniela nie wiedziała, co ma odpowiedzieć.

Ojciec, Córka

— Gadaj! Kim jestem dla ciebie?
— Ojczy, nie rozumiem ciebie...
— Ojczy!... Ha, ha, ha. Ja jestem twoim ojczy? — śmiał się na całe gardło — I ty, znaczy się, jesteś moim dzieckiem?!...

Aniela nie orientowała się w tym, do czego ojczy zmierza, z przerażeniem zapytała:

— Ojczy drogi, co za myśli przychodzą ci do głowy?

— Tylko nie „ojczy”!...

Aniela przerażona zerwała się z miejsca i zaczęła się cofać plecami do drzwi. Stasiiek Lipa zmienił się nie do poznania.

Naraz runął, chwytając się obiema rękami za serce. Instykt samozachowawczy nakażywał jej ucieczkę. Ale już po chwili miłość do ojczy zwyciężyła. Wbiegła z powrotem do pokoju. Oczom jej przedstawił się straszliwy obraz. Stasiiek Lipa, leżąc na ziemi, rzucił się w konwulsji, a z ust ciekła mu piana. Aniela chwyciła słuchawkę telefoniczną do ręki.

W tym momencie Stasiiek Lipa przemocą wytrącił jej słuchawkę z rąk i z całych sił rzucił na łóżko.

Stasiiek Lipa, na wpół oszalały, przekręcił klucz we drzwiach i jednym skokiem stał już przy łóżku. Aniela była prawie nieprzytomna.

— Więć kim jestem?

Aniela nie odpowiedziała. Wybuchnęła płaczem. I to poskutkowało. Stasiiek Lipa opanował się. Niby golem³⁷ wolnym, niezgrabym krokiem potoczył się na drugi koniec pokoju i zwałił się na fotel...

W pokoju zaległa cisza, która napawała serca ojczy i córki zgrozą.

I słońce się skryło, jakby nie chciało być świadkiem ponurej tragedii między ojczy przestępcą a niewinną córką.

Nastrój w pokoju zmienił się. Niesamowite wizje ogarnęły mieszkańców tego pokoju.

Każdy człowiek miewa w życiu takie momenty, kiedy w ciągu krótkich chwil przeżywa na nowo minione lata, które ukazują się jakby na ekranie. Nawet przyszłość naraz odsłania się przed nim i w jasnowidztwie nagle człowiek z przerażeniem i obrzydzeniem spogląda na swe życie. W takich to chwilach myśli ludzkie biegną z gwałtowną szybkością. Człowiek, który przeżywa takie chwile, uchodzi za „wariata”... W takim stanie teraz znajdowali się Stasiiek Lipa i jego córka.

Stasiiek Lipa zobaczył siebie teraz na barłogu pierwszej nocy w areszcie, kiedy wzięto go w obroty jako „fajera”. A potem — w więzieniu berlińskim „Tegel”, gdzie go powitano z szacunkiem jako osobistość w świecie przestępczym.

Przez dłuższy czas poszczęściło mu się, że wymykał się z rąk policji i nie oglądał murów więzienia.

Wszyscy, którzy rabują i kradną tak długo, odnoszą korzyści w tym „zawodzie”, póki mogą z całą pewnością twierdzić, że „nie byli karani sądownie”. Ale ten, który już raz dostał się za kraty więzienne, nie może się już wykręcić z więzienia. Kraty więzienne przyciągają ich do siebie niby siłą magnesu. I gdzie by nie przebywał, jak by nie kombinował na wolności — zawsze się tak skończy, że prędzej czy później wpadnie do więzienia.

Stasiiekowi nie uśmiechała się „przeprowadzka” do więzienia. Życzył sobie teraz raczej śmierci, niżby miał wpaść do „żywego grobu”, za jaki uważał więzienie.

Zawsze ciągnęło go do wygodnego, wytwornego życia. Był znany w wielu nocnych lokalach miast o sławie międzynarodowej, jak: Paryż, Londyn, Nowy Jork, Berlin, Szanghaj, Moskwa, Buenos Aires i innych. Nigdy nie siedział zbyt długo w jednym mieście. Rozbijał się sleepingami, zamieszkiwał luksusowe apartamenty w najlepszych hotelach, bawił w wyszukanych kurortach, jednym słowem, był „raskim ptakiem” wśród ludzi nocy.

Cieszył się opinią „gwiazdora” w świecie przestępczym. Ale nie tylko „góra” tego światka obdarzała go zaszczytami, lecz i „dół”. Hojną dłonią udzielał pożyczek na kaucje lub na adwokata, gdy który z małych złodziejasków lub włamywaczy znajdował się w biedzie. I dlatego go tak bolał fakt, że człowiek z tej samej sfery — Klawy Janek —

³⁷golem — znana w tradycji judaistycznej postać człowieka bez duszy: utworzonego z gliny niczym pierwszy człowiek (bluźniercze powtórzenie boskiego gestu stworzenia), lecz pozbawionego duszy, a z nią zdolności rozumienia oraz mowy. Jednym z najbardziej znanych opracowań legendy o golemie jest powieść Gustava Meyrinka *Golem (Der Golem)* z 1915 r. [przypis edytorski]

usiłuje uprowadzić jego jedyną córkę. A teraz u schyłku życia — taki nowy cios! Wiadomość, którą teraz odebrał, wytrącała go z równowagi. Był złamany i zrozpaczony. Nie, z tym nie mógł się pogodzić!...

Raz po raz Stasiak Lipa podniósł wzrok na Anielę, jakby chciał przez bliższą obserwację ustalić coś, co go niepokoiło....

W pewnym momencie jego mózg przeszła dziwna myśl, do której doszedł po dłuższym przyglądaniu się Anieli... Tak, jakby ją po raz pierwszy zobaczył. Dostrzegł w jej twarzy rysów³⁸, których nigdy przedtem nie zauważył. Zbliżył się do niej i świdrował badawczym wzrokiem. Gwałtowne oburzenie opanowało jego umysł. Zbrodnicze myśli nurtowały jego mózg...

Stasiak Lipa umiał jednak opanowywać się, nawet gdy ból jego był silniejszy od wytrzymałości jego nerwów. Postanowił do końca życia pozostać dżentelmenem wobec tej dziewczyny, która siedziała teraz na *vis-à-vis* niego, a która naraz wydała mu się zupełnie obca.

Na dzień duszy czuł, że więzy życia, które połączyły go z Anielą, są zbyt silne, aby je mógł kiedykolwiek przeciąć.

— A-nie-lo!... — wyjąkał, odwracając głowę, jakby wstydził się przed nią.

Aniela także była pogrążona w myślach i rozpamiętywaniu nad przeszłością. Ale na myśl by jej nie wpadło to, co tak wstrząsnęło Staśkiem Lipą. Była tak pochłonięta myślami, że nawet nie zauważyła zmiany w wyrazie twarzy ojca. Głębokie westchnienie, które teraz wydarło się z piersi Staśka, wyrwało ją z zadumy.

— A-nie-lo!...

— Co, ojcze?

Słowo „ojciec”, które padło z jej ust, wywołało u Staśka Lipy ból, jakby mu wsadzono w żywe ciało ostrze noża. Postanowił, że będzie znosił ból po męsku.

„Ostatecznie, ona w niczym nie zawiniła! — pomyślał w duchu. — Dlaczegoż mielibyśmy się rozstać jak wrogowie?”

Przez chwilę milczał, po czym rzekł:

— Możesz już wracać do Warszawy.

— Co??? — Zerwała się Aniela z miejsca. — Coś powiedział, ojcze?

— Tylko nie nazywaj mnie „ojcem”... — odparł Stasiak Lipa z goryczą, patrząc w stronę podłogi.

— Nie rozumiem ciebie — rozglądała się Aniela bezradnie po pokoju. Zbliżyła się do ojca, by go ucałować w czoło, ale Stasiak Lipa odwrócił się od niej. Jej pocałunek jakby zawisł w powietrzu.

Po raz pierwszy wzbronił się przed pocałunkiem, który zawsze oddziaływał nań kojąco, niby balsam. Aniela była speszona, zdumiona, zaskoczona. Zrobiło się jej nieswojo. Jej nerwy były zbyt nadszarpnięte, by mogła spokojnie reagować na najmniejszy objaw. Toteż z jeszcze większym podnieceniem szukała w myśli wytłumaczenia naglej zmiany psychicznej u ojca.

Pokój tonął w ciemnościach. Był wieczór. Aniela bała się pozostać z ojcem sama w ciemnym pokoju. Chciała przekreślić kontakt elektryczny, ale Stasiak Lipa nie pozwolił jej na to. Wolał wypowiedzieć te słowa, które cisnęły mu się na język, nie przy świetle, by nie mogła go widzieć.

— Anielo! — rzekł — Muszę ci coś bardzo ważnego powiedzieć!

Słowa te wypowiedziane były nieswoim głosem, tak że na dźwięk głosu Aniela zaczęła drzeć ze strachu. Przemogła w sobie lęk i siłać się na spokój, odpowiedziała:

— Tatusiu, co się z tobą dziś dzieje? Mój Boże, co ci się stało? Strach mnie ogarnia na samo przypuszczenie, że mógłbyś postradać zmysły!...

— O, nie! Na razie jeszcze jestem przytomny i przy pełni władz umysłowych... Czy tylko tak będzie? Siadaj przy mnie i słuchaj uważnie, co ci powiem. Proszę cię tylko, abyś się zbytnio nie smuciła potem. Zresztą nie wiem, czy nowina, którą ci zaraz zakomunikuję, przerazi cię lub zmartwi. Kto wie, może cię uszczęśliwi!...

— Mów, ojcze, mów... Jestem tak zdenerwowana!

— Muszę ci coś wyznać, co legło mi ogromnym ciężarem na sercu...

³⁸dostrzegł w jej twarzy rysów — dziś popr.: dostrzegł w jej twarzy rysy. [przypis edytorski]

Głos jego załamywał się od bólu i płaczu.

— To kraje moje serce... — ciągnął dalej Stasiak Lipa. — Ból ustanie wraz z zakończeniem życia mego... Dziś udałem się na pocztę, by odebrać list *poste restante* — opowiadał Stasiak Lipa drżącym i podnieconym głosem. — I tam znalazłem list, który mi złamał resztę życia. Marzenia moje i dążenia rozwiały się w ciągu chwili. Tego nie przeżyję!... — zawołał naraz.

Krażył energicznym krokiem po pokoju.

— Zapal światło — odezwał się Stasiak Lipa, któremu duszno robiło się w ciemności.

— Mów, mów, nie męcz mnie dłużej — jęknęła Aniela, która intuicyjnie wyczuwała, że chwile te są dla niej przełomowe. — Ojczy, ja tego nie wytrzymam, ojczy!...

— Wiedz, że nie jestem odtąd twoim ojcem!...

Słowa te spadły na Anielę jak grom z jasnego nieba. Oszołomiona stała kilka chwil, jakby nie wiedziała, co robić.

— Ojczy drogi!... — rozkrzyczała się. — Nie jesteś przy zdrowych zmysłach!... Co za urojenie! Któż jest moim ojcem, jeśli nie ty?

Stasiak Lipa wymachiwał przed siebie zacisniętymi pięściami, jakby odgrażał się niewidzialnemu wrogowi. W głowie huczało. Pokój cały wirował przed oczyma. Gorycz miał w ustach. Chciał mówić, ale nie mógł. Dreszcze wstrząsały jego ciałem.

Aniela szlochała. Odnosiła wrażenie, jakby ją przemocą odrywano od pnia macierzystego. Krajano jej ciało żywcem.

— Ojczy, ojczy, co się z tobą dzieje? — rozpacziała. — Mamę nie znam, teraz i ty chcesz się mnie wyrzec jako ojciec?...

— Nie płacz, nie rozpaczaj, nie tracisz zbyt wiele: ojca-złodzieja... Właściwie powinnaś się czuć szczęśliwa, że tak jest!

W pokoju zapanowała niesamowita atmosfera. Ojciec, którego kochała i wiedziała, że nie był zdolny do tego, by ją w czymkolwiek skrzywdzić, teraz przyjął postawę groźną.

Uczucie miłości ojcowskiej naraz ulotniło się. Stał przed nią wróg, żądny zemsty za doznaną zniewagę, za cudze grzechy...

— Powiedz mi nareszcie, czego chcesz! — zawołała Aniela. — Serce mi już pęka!

Stasiak Lipa podszedł do niej, ujął jej głowę w swoje ręce, które mu się trzęsły i wpił się w jej twarz świdrującymi oczyma. Diabelski uśmiech wykrzywił jego usta. Z piersi Anieli wydarł się okrzyk przerażenia:

— Ojczy! Ojczy! Boję się!

— Milcz! Milcz! Bo...

Aniela wyrwała się z jego rąk i przywarła bliska obłądu do ściany. Rękami przysłoniła sobie twarz, jakby się spodziewała uderzeń. Była teraz gotowa na najokropniejsze...

— Urodziłaś się bękartem! Nie było ci do twarzy z tym, żeś była córką złodzieja. Ale sądzę, że już było lepiej mieć ojca złodzieja, niż przyjść na świat jako bękart... Jesteś wolna! Możesz jechać, gdzie chcesz. Możesz poślubić Janka! Możesz zostać ulicznicą! Nie obchodzą mnie odtąd twoje koleje losu!

— Kłamiesz! — zawołała Aniela. — Knujesz jakiś kawał złodziejski!

— Ha-ha-ha! — roześmiał się Stasiak Lipa. — Sądziłem, że będziesz zadowolona, a tymczasem zarzucasz mi kłamstwo i podstęp... Rozumiem cię: nie będziesz miała nikogo, kto by się troszczył o ciebie i strzegł, abyś nie wpadła w sieci, które ze wszystkich stron nastawia się na tak urodziwą kobietę, jak ty.

— Kiedy dowiedziałeś się o tym?

— To nieważne. Teraz będę mógł swobodnie odetchnąć. Nie będę musiał myśleć o tobie. Wychowałem ciebie. Dbałem. Nawet gdy przebywałem za kratami więziennymi, myślą i uczuciem byłem przy tobie. Ale teraz to wszystko minęło jak sen...

Stasiak Lipa westchnął ciężko, po czym ciągnął dalej:

— Ale życie na mnie srogo się zemściło! Nawet szczęścia ojcowskiego poskąpiło mi! Nawet nie pozwolono mi umrzeć ze świadomością, że ta, którą przez całe życie ubóstwiałem, jest moją córką!... Zbyt wielki to honor dla mnie być ojcem tak pięknej i szlachetnej dziewczyny jak ty!...

— Ale chcę wiedzieć, kto cię poinformował o tym? — zapytała stanowczo Aniela. — Może i tak jest, że nie jestem twoją córką, ale zbyt wiele przeżyliśmy w życiu razem,

abyśmy mieli teraz rozejść się jak wrogowie. Nie życzę ci przecież niczego złego. Przeciwnie, zaciągnęłam wobec ciebie wielki dług wdzięczności jako wobec człowieka, który mnie okazywał tyle dobrego!

Słowa te zrobiły swoje. Twarz Staśka Lipy rozpozodziła się:

— Chcesz wiedzieć wszystko? Po co denerwować się. To, co ci powiedziałem, jest faktem bezsprzecznym. Smutne, ale prawdziwe. I wszystkie moje nadzieje naraz się rozwiały. Czuję się teraz jak zbyt uczynna szmata. Moja piosenka jest skończona — dodał filozoficznie, a oczy pokryła wilgoć.

Aniela poczuła litość dla niego. Nie myślała teraz o sobie. Jak przedtem żałowała, że jej ojciec jest złodziejem, tak obecnie żałowała, że Stasiak Lipa nie jest już jej ojcem. Pół życia byłaby teraz gotowa oddać, gdyby mogła działać, by to, co teraz usłyszała, okazało się nieprawdą. Postanowiła sama zbadać tę sprawę.

— Ale powiedz mi, co cię naprowadziło na myśl sprawdzenia, czy jesteś moim ojcem? Mnie się jakoś nie chce w to wierzyć. Jesteśmy jednej krwi i kości. Czyż mało jest podobieństwa między nami? Czyż zewnętrznie nie jesteśmy podobni do siebie? Czyż z pozorów zewnętrznych nie widać, że jestem twoim dzieckiem? Niejeden chyba ci mówił o tym. Zresztą jesteś dość rozgarnięty, by samemu to stwierdzić. To źli ludzie chcieli cię unieszczęśliwić, wiedząc, jak bardzo mnie kochasz! Jestem twoim dzieckiem! — zawołała i objęła ojca, obsypując go gorącymi pocałunkami.

Stasiak Lipa, wzruszony odruchem Anieli, głaskał jej włosy, ale jednocześnie jakby ją odsuwał od siebie. Nie rozumiał, dlaczego nie chciała się pogodzić z myślą, że nie on jest jej ojcem. Przeciwnie sądził, że to ją ucieszy. Jego myśli biegły teraz w innym kierunku.

„Kto wie, może naprawdę prowadzą mnie na pasek?” — pomyślał teraz w duchu. Zbyt dobrze znał ludzi podziemi, by był wolny od podejrzeń. Wszak w tych sferach plotka i oszczerstwo idzie w parze z „przyjaźnią”. Poczul teraz do Anieli więcej sympatii niż przedtem. Czul się dumny, że walczy ona o to, że on jest jej ojcem, a nie kto inny.

Ale kto mógł wiedzieć o tym, czy Aniela jest „zarobiona”? Wszak przed nikim ze świata podziemnego nie zwierzał się ze swoich przeżyć osobistych.

List, który otrzymał, nie pochodził od ludzi nocy. Adwokat jego otrzymał polecenie od hrabiny, by pomógł jej w odnalezieniu córki.

W zadumie Stasiak Lipa wyjął z kieszeni list i kilkakrotnie go przeczytał, nie bacząc na to, że Aniela pochłaniała pismo oczyma. W pewnym momencie Aniela nie wytrzymała napięcia nerwowego i wyrwała ojcu pismo...

Litery i słowa wirowały przed jej oczyma. Stasiak Lipa nie spuszczał z niej oka. Śledził za zmianami na jej twarzy, chcąc w ten sposób odczytać jej myśli.

Aniela, aczkolwiek kilkakrotnie przeczytała pismo, nie rozumiała, o co chodzi. Jej myśli wybiegały daleko poza pokój hotelowy do nieznannej matki... Nie ulegało dla niej wątpliwości, że jej matka żyje.

Aniela odłożyła pismo. Jej wzrok skrzyżował się ze spojrzeniem Staśka Lipy.

— No, a teraz wierzysz w to?

— Nie! Nie! Nie wierzę! To chciano cię unieszczęśliwić, wiedząc, że mnie bardzo kochasz! — zawołała Aniela, tuląc się do ojca, jakby się obawiała, że ją opuści. Stasiak Lipa nie miał odwagi odtrącić jej od siebie.

Stasiak Lipa zabrał się do ponownego czytania listu. Badał każdą myśl, analizował każde zdanie. Może jednak doszuka się dowodu fałszu, kłamstwa, nieprawdy. Martwe litery niczego jednak nie zdradzały. I głosiły okrutną prawdę, nielitościwie niszcząc w nim resztki nadziei. Słowa te były pisane ręką jego adwokata, któremu nie miał powodu nie ufać.

List ten brzmiał:

„Drogi Panie!

Nowina, którą Panu teraz komunikuję, na pewno uderzy w Niego, niby grom z jasnego nieba. Sądzę jednak, że w życiu tyle Pana już spotkało, że i ten niespodziewany cios przeboleje z męską odwagą. Proszę sobie tego zbytnio nie brać do serca. Czynię to z obowiązku:

Hrabina, o której tylko ja jeden wiem, że była pańską żoną, zwróciła się do mnie do Paryża, abym zażądał od Pana zwrotu córki. Zaufała mi, że Aniela

List

nie jest bynajmniej Pańska córka. Jej ojcem jest tenże hrabia, z którym żyła jeszcze przed ucieczką od Pana.

Łączę pozdrowienia i życzę rychłego opanowania się.
Adwokat Fleur. ”

Oboje Stasiek Lipa i Aniela, byli pod silnym wrażeniem tych słów. Pierwsza przerwała milczenie Aniela.

— Ojczy, jestem przekonana, że mama moja tym razem mówi nieprawdę. Chce ona odnaleźć utracone dziecko. I dlatego zmyśliła taki powód. Powiedz mi, gdzie przebywa moja matka. Pragnę się z nią zetknąć i rozmówić.

— Ty z nią? Nigdy! Przenigdy! Ona nie dożyje tej chwili! Ode mnie nigdy się nie dowiesz, gdzie twoja matka przebywa. Takiej przyjemności jej nie sprawię! — oburzał się Stasiek Lipa.

— Ojczy drogi, najdroższy! — wybuchnęła Aniela spazmatycznym płaczem. — Wierzę święcie, że tylko ty jesteś moim ojcem. Ale dziecko ma prawo i do swojej matki! Powiedz mi, gdzie ona jest? Chcę ją zapytać, dlaczego cię porzuciła? Chcę wszystko wiedzieć! Wszystko!

Stasiek Lipa zerwał się ze swego miejsca. Niespokojnie począł krążyć po pokoju. W jego oczach skrzyły się złe błyski, które przejmowały Anielę zgrozą.

— Zapomnij o twojej matce! Zapomnij! Póki ja żyję, nigdy nie spotkacie się! Odtąd będzie to moim wyłącznym celem w życiu. Nawet gdybym miał cię zamordować i gnić potem w celi więziennej lub zawisnąć na szubienicy! Nie cofnę się przed niczym! Zapamiętaj to sobie!...

— Co ja zawiniłam w tym? — załamywała Aniela ręce. — Od siebie odpędzasz mnie, do matki mnie nie dopuszczasz. Dlaczego ja mam ponosić odpowiedzialność za to, że matka zawiniła wobec ciebie... Dziwi mnie bardzo postępowanie twoje: człowieka, który tyle cierpiał z powodu różnych „sprawiedliwości”. Stosujesz tu karę wobec mnie, która najmniejszą popełniła winę.

Stasiek Lipa, zastanawiając się nad słowami Anieli, naraz zawołał:

— Ach, co ze mnie za głupiec! Dopiero teraz połąpałem się, jaki sens jest ukryty w tym liście!

Objął ją i serdecznie przytulił do siebie:

— Nigdy i nikomu nie oddam ciebie! Nikomu, słyszysz?

— Ale jeszcze nie rozumiem, jak to naraz i bez nowej podstawy, zmieniłeś swoje zdanie o treści listu?

— Teraz wszystko jest w najlepszym porządku! Dziecinko, nie martw się!

— Ale jednak pragnę wiedzieć, co się przyczyniło do tak gwałtownej zmiany.

— Matka twoja wpadła na trop mego adwokata. Zwróciła się do niego z prośbą o odnalezienie swojej córki. Umyślnie zaufała mu „tajemnicę”, że nie jesteś moją córką. Liczyła ona na to, że adwokat o tym mnie poinformuje. Prowokacja jej nie udała się. Jesteś moim dzieckiem. Moja krew! — pokrywał jej twarz gorącymi pocałunkami.

Aniela przytuliła się do ojca, nie rozumiejąc sama, dlaczego teraz czuła się także szczęśliwa. Ale świadomość przywiązania do niego była teraz o wiele głębsza niż przedtem. Pojęła, że jest żrenicą w oku tego starego przestępcy.

Oboje zadowoleni udali się na wybrzeże morskie.

ROZDZIAŁ VIII

I znów minęło lato. Dni stawały się krótsze, a noce dłuższe.

Do miast powróciła dziatwa szkolna. Miasta wchodziły w okres ożywionego sezonu.

Ożywienie zapanowało także w światku przestępczym. Nadzieja lepszych zarobków świeciła w niejednej głowie.

Klawy Janek, Krygier i reszta kompanii witali nadejście jesieni ze szczególnym upodobaniem. Lato spędzili na marnotrawstwie. Mimo hulaszczego trybu życia, nie pozostali zupełnie goli. Zrabowane ze skarbcza pieniądze mogły im jeszcze starczyć na kilka lat beztróskiego życia.

Ojciec, Córka

Krygier należał do tego typu ludzi, którzy kują żelazo póki gorące. Chciał wykorzystać sytuację, póki Wołkow stał na czele Urzędu Śledczego. Wszak w tej sytuacji „roboty” była rzeczą prawie że bezpieczną.

Klawy Janek daremnie poszukiwał Anieli. Gdy dowiedział się, że wraz z ojcem wyjechała za granicę, popadł w stan silnej depresji. Szedł za Krygierem niby cień, bez życia i bez inicjatywy. Krygier wykorzystał tę sytuację, traktując Janka jako ślepe i posłuszne narzędzie.

Krygier miał dosyć czasu na obmyślanie swoich „kawałów”, jak nazywał swoje pomysły złodziejskie. Krygier traktował swój proceder jako sport nie bez domieszki hazardu. „Wyprawy” go raczej emocjonowały niż napawały uczuciem strachu.

Nadaremnie Janek nagabywał Krygiera, by opuścili razem granice Polski. Krygier znów tłumaczył Jankowi, że bezcelowe byłoby ściganie Staśka Lipy, nie wiedząc, gdzie osiadł.

Ale Janek nie miał więcej nic do roboty w Warszawie. Stare porachunki, które miał do załatwienia z hotelarzem na Pradze były bliskie zlikwidowania. Właściciel zajazdu wiedział, że Janek jest na wolności i trzymał się na baczności. Nie wpadło mu jednak na myśl podejrzewać, że sieci zostały już założone i że lada moment wpadnie w te sidła.

Uczucie zemsty jest święte w świecie ludzi nocy. Janek poprzysiągł w duszy, że zemści się na hotelarzu, a potem opuści Polskę. Nie rezygnował z nadziei odszukania Anieli. Intuicją wiedziony czuł, że ona tęskni za nim tak samo, jak on za nią.

Ale Krygier trzymał Janka mocno. Zresztą, kto mógł z ludzi nocy przeciwstawić się żelaznemu Krygierowi? Jego imię w świecie przestępczym było wymawiane z czcią. Był dla nich niedoścignionym wzorem bohaterstwa. Z zazdrością spoglądano na tych, którzy byli jego współnikami.

Ludzie nocy z natury są zabobonni. Wierzyli, że nie ma takiej siły, która by mogła unieszkodliwić Krygiera. Utrzymywali, że Krygier jest synonimem szczęścia. Jego rozkaz był dla nich święty. I Krygier potrafił tę sytuację wykorzystywać, by panować wszechwładnie nad tą halastrą.

Krygier miał także swój przydomek, który zdobi każdego bohatera światka podziemnego. Przydomek ten znali tylko nieliczni, którzy razem z nim współpracowali. Przydomek ten brzmiał „Rak” i wiąże się ściśle z osobą i karierą Krygiera.

Jako inżynier z wykształcenia, Krygier przywiązywał dużą wagę do narzędzi, którymi operował podczas pracy. Sam ostrzył i hartował stalowe raki, przy pomocy których krajał ogniotrwałe kasy. Jego raki cieszyły się światową sławą u międzynarodowych kasiarzy. Nikt z nich nie potrafił dobierać stali do raka jak Krygier. Tu leży źródło jego przydomku.

Krygier utrzymywał rozległe stosunki z całym światem przestępczym obu półkuli.

Międzynarodowa organizacja większych włamywaczy, której prezesem był Krygier, informowana była przy pomocy osobliwej poczty o wszystkich najważniejszych przestępstwach... Wiedziała ona o tym, gdzie kogo aresztowano. Kogo policja poszukuje. Macki tej organizacji były dobrze zakonspirowane i wszędzie docierały...

Krygier jako prezes tej światowej centrali, wiedział o tym, gdzie przebywa Staszek Lipa ze swoją urodziwą córką Anielą. Nie zdradzał się jednak przed nikim z tą wiadomością. Nie chciał, by Klawy Janek się o tym dowiedział. Żył się z Jankiem, który był jego prawą ręką. Obawiał się, że pod wpływem Anieli Janek zupełnie wycofa się z „roboty”.

Od pierwszego zetknięcia Krygier upatrzył sobie w Janku godnego współnika. Janek był urodzonym młodym mężczyzną. Przystojny, o dobrych manierach mógł się dostać do każdego środowiska bez przeszkód. Po raz pierwszy spotkali się w znanej kawiarni w Berlinie. Nieraz wspólnie wybierali się na „robotę”. Razem odsiadali kilka miesięcy w więzieniu śledczym na Moabicy.

Janek był przedsiębiorczy i ryzykant. Cenił go za to również, że nie kusiły go małe „zarobki”. Nie czekał również na to, by kto inny nadstawił plecy za niego. Kombinował często na własną rękę, a co najważniejsze — nigdy nie wracał z pustymi rękami. Nie tracił zimnej krwi, nawet gdy policjant go legitymował. Niewinny wyraz jego twarzy oraz zachowanie „własnej godności” dezorientowały nawet najprzebiegłego wywiadowcę.

Jak widać, Krygier umiał sobie dobierać współników.

Zwątpienie, Rozpacz

Zemsta

Zabobony, Złodziej

Teraz Krygier przebywał w luksusowym mieszkaniu, które sobie urządził w eleganckiej dzielnicy miasta zamieszkiwanej przez sfery arystokratyczne.

Rozparłszy się wygodnie w fotelu, w piżamie, siedział za biurkiem, pogrążony w pracy. Tego dnia bez przerwy pięć godzin spędził nad pisaniem swego życiorysu. Było to szeroko pomyślane dzieło, które miało rzucić światu wyzwanie.

W tym dziele Krygier zajął się odpadkami społecznymi, poczynając od żebraka, a kończąc na rozpruwaczu kas. Przedstawiał wszystkich, których życie spychało niżej — do rynsztoku — bez maski. Malował ich życie, uczucia, radości i żale. Przedstawiał maluczkiego złodziejaska z jego ideałem o szczęściu obok rekina, który w świecie uczciwym nie gorzej łupie skórę ludzką od zwykłych rabusiów, prostytutki stanowiły odrębny rozdział.

Dawniej Krygier inaczej spoglądał na życie ludzkie. Były to dawne czasy, kiedy Krygier był jeszcze studentem. Przypadek zrzucił, że stał się przestępcą. Nie żałował swej drogi życiowej. Był głęboko przekonany, że podłości, których dopuszczają się w świecie tak zwanym uczciwym, nie są lepsze ani gorsze od tych, które są udziałem świata podziemnego. W tamtym świecie — „na górze” — podłości są owijane w etykietę, w formę, a w jego świecie — na dnie — te pozory są zbyteczne...

Krygier górował nad swoim światkiem tym, że fach nie zabił w nim poczucia samokrytycyzmu, świat „góry” nie imponował mu. „Na dnie” czuł się wygodniej. Że zbyt daleko zabrnął, najlepiej o tym wiedział...

Krygier kończył właśnie swoje dzieło, które miał przesłać profesorowi Poznańskiemu, do którego od pierwszej chwili poczuł sympatię.

Wstał, wyprostował się. Ciężar spadł mu z głowy. Odłożył rękopis do skrytki w walizie, zaopatrzonej w podwójne dno. Tam przechowywał również gotówkę.

Wtem w drzwiach ukazała się pokojówka, która trzymała w ręku wizytówkę.

Krygier, przeczytawszy napis, poprosił do siebie przybyłego. Był to Józek „Zalewacz”, który nie szedł zbyt pewnym krokiem.

— Co, znów zrobiłeś „kojsę”? — zapytał go Krygier na powitanie. — Idź spać. Lubię rozmawiać z trzeźwymi.

— Piłem, ale pijany nie jestem.

— No, to siadaj. Co cię sprowadza do mnie?

Józek Zalewacz, siadając, potrącił nogą o mały stolik, na którym stał duży wazon kryształowy. Rozległ się brzęk tłuczonego szkła. „Zalewacz”, który przyszedł już zdenerwowany, stracił do reszty panowanie nad sobą.

— Uspokój się, to dobry znak — rzekł Krygier.

— A ja twierdzę, że to zły znak. Mam zresztą złą nowinę.

— Gadaj szybko — zawołał Krygier, zdjęty złym przecuciem.

— Policja jest na naszym tropie.

Krygier parsknął śmiechem.

— Idźże już spać, ty nicponiu — śmiał się Krygier beztróska. — Policji się nie boję. Mam Wołkowa w ręku! Jesteś pijany, więc strzeż się, abyś zbyt wiele nie wygadał i tym samym nie sprowadził na nas nieszczęścia.

— A ja ci powtarzam — rzekł pijanym głosem Zalewacz — że policja lada moment tu się zjawi! Ja jestem byłym adwokatem i wiem, co mówię!...

— Więc źle cię poinformowano. Idź do łóżka i wyśpij się. — Krygier usiłował się go pozbyć.

— Mnie nikt nie poinformował. Mam wdech.

— Ale dziś jesteś zakatarzony.

Józek Zalewacz opuścił mieszkanie Krygiera bardziej niezadowolony niż przedtem. Na odchodne zdążył tylko rzucić pod adresem Krygiera:

— Pamiętaj, że cię ostrzegłem! Masz jeszcze czas umknąć. Kto wie, czy za minutę nie będzie za późno...

— Wódka gada za ciebie...

A jednak Krygier stracił pewność siebie. Objął wzrokiem pokój, sprawdzając, czy czasem nie ma czegoś podejrzanego. Zebrał momentalnie szereg drobiazgów, które mogą wzbudzić podejrzenie, i zastanowił się przez chwilę, co z nimi począć. Kryjówki, które miał w ścianach i podłodze, stanowiły zbyt szczupłe miejsce.

Zwątpienie

Postanowił wprzódy wysłać pokojówkę na miasto. Wymyślił szereg spraw do załatwienia tak, by musiała spędzić poza domem kilka godzin czasu.

Wstydził się nawet uczucia niepokoju, które nagle zrodziło się w nim. Wszak nie miał żadnych podstaw do obawy, a jednak...

Pokojówka, która ślepo wykonywała zawsze zlecenia Krygiera, tym razem przed wyjściem na miasto zatrzymała się na chwilę, jakby miała coś do powiedzenia. Krygier podchwycił jej niepokój i zauważył dobrze markowaną wesołością:

— Co to tak trudno dziś z wyprawą na miasto?

Pokojówka podeszła bliżej i rzekła:

— Miałam dziś zły sen...

— Co znowu?

— Że policja tu była i pana oraz mnie zakąła w kajdanki.

— E, co tam za głupstwa opowiadacie... Któż to wierzy dziś w sny? — zbagatelizował Krygier słowa pokojówki, ale niepokój w nim wzrastał z minuty na minutę.

Ledwie pokojówka zdążyła zamknąć za sobą drzwi. Krygier zaczął gorączkowo ukrywać różne rzeczy.

Naraz ostry przenikliwy dzwonek przeszył powietrze. Po tym nastąpił drugi i trzeci przeciągły alarm.

„Aha, idą!” — przebiegła złowroga myśl przez mózg Krygiera.

Zimny dreszcz wstrząsnął nim. Ostatnio nie miał przy sobie broni palnej. Wiedział, że są chwile, kiedy bez wahania może zrobić użytek z broni. Nienawidził „mokrej” roboty.

Ale teraz machinalnie sięgnął do biurka po browning i schowawszy go do kieszeni, zbliżył się do drzwi, by zadać sakramentalne pytanie: „kto tam?”

— Otwórz czym prędzej! — krzyknęła w sieni Regina.

— Uciekaj! Ale już!

— Powiedz, co się stało?

— Nie ma czasu na gadanie. Cały Urząd Śledczy jedzie do ciebie.

I jednym skokiem Regina była już na klatce schodowej.

W kilka minut potem niedaleko domu, w którym mieszkał Krygier, zajęchało kilka aut policyjnych. Przed bramą domu zatrzymał się luksusowy wóz.

Pierwszy wysiadł z auta Wołkow. Za nim jego zastępca Szczupak. Stanowczym krokiem skierowali się do sieni, gdzie na parterze w ponurym korytarzu natknęli się na żebraka kalekę, który na ich powitanie wyciągnął rękę.

Wołkow krzyknął na żebraka:

— Precz stąd!

Żebrak okazał się posłuszny. Powoli, nie śpiesząc się, utykając na jednej nodze, wychodził z sieni.

Szczupak nawet miał ochotę polecić agentom, by zrewidowali żebraka, obwieszzonego torbami, ale Wołkow przynaglił go:

— Chodź pan, nie ma czasu, śpieszmy się!

Wołkow nawet w ciemnym korytarzu zdążył zamienić porozumiewawcze spojrzenia z żebrakiem...

Jednocześnie z rewizją w mieszkaniu Krygiera odbywały się obławy i rewizje w innych melinach.

Tylko, że... na kilka godzin przed tą generalną ofensywą policji na meliny świat przestępczy został o tym uprzedzony.

Głównym organizatorem nalotu na ludzi nocy był Szczupak. Był to energiczny komisarz, który postawił sobie za cel w krótkim czasie zlikwidować liczne bandy, które zagnieździły się w Warszawie. Przede wszystkim chodziło mu o likwidację bandy rozpruwaczy z Krygierem na czele. Jak z zewnątrz robił wrażenie niepozornego człowieczka, tak Szczupak w gruncie rzeczy był przebiegły i przedsiębiorczy... Potrafił w stroju nędzarza czy robociarza, albo ulicznego sprzedawcy gazet dostać się wśród ludzi nocy i niejedno się dowiedzieć...

Szczupak właśnie wytropił siedzibę Krygiera, ale musiał się ze wszystkiego zwierzyć przed Wołkowem, jako przed swoim przełożonym, bo bez jego zgody nie mógłby zarządzić tak generalnej ofensywy na kryjówki i meliny. Wołkow musiał o tych rzeczach

zadecydować. A Wołkow, dowiedziawszy się o tym, postanowił ratować Krygiera. Oczywiście, że nie chodziło mu o skórę Krygiera, którego wołałby się pozbyć na zawsze. Obawiał się, by nie znaleziono u Krygiera pisma, w którym Wołkow przyznał się do zabójstwa policjanta krytycznej nocy, kiedy dokonano włamania do mieszkania hrabiny.

Wołkow musiał bardzo oględnie działać, by nie wzbudzić podejrzania u Szczupaka, który stawał się dlań niebezpieczniejszy od poprzedniego przełożonego, tragicznie zmarłego Żarskiego. Szczupak wszędzie jakoś się dostawał i przenikał. Nie odpoczywał. Szperał, węszył, tropił. Wołkow od razu wyczuł, że Szczupak go wykończy.

Wołkow stwierdził, że Szczupak od pewnego czasu szpieguje go. Szczupak maskował się do tego stopnia, że Wołkow chwilami zarzucał sobie, że pomysł inwigilacji powstał w jego chorobliwej fantazji.

Szczupak bez szemrania wykonywał wszelkie zlecenia, wydawane mu przez Wołkova. Z przesadnym szacunkiem odnosił się do wszystkich jego zarządzeń. Ale w duchu i skrytości nie przestawał go śledzić. Zbierał poszlaki, notował najdrobniejsze wypadki, które nasuwały mu podejrzenia pod adresem Wołkova.

Pierwszy atut przeciw Wołkowowi to był, oczywiście, wypadek tragicznej śmierci Żarskiego. I Szczupak w duchu poprzysiął zemstę: Żarskiego uważał za swego przyjaciela.

Drugim wypadkiem podejrzania był nocny telefon Wołkova, kiedy to wrócił z mieszkania Reginy. Szczupak odszukał adres telefonu, z którego Wołkow otrzymał połączenie z Urzędem Śledczym...

Również teraz fakt niezatrzymania żebraka w ciemnym korytarzu zanotował Szczupak na niekorzyść Wołkova.

Nie miał jeszcze odwagi wypowiedzieć swoich zarzutów na głos. Pozycja Wołkova, jako naczelnika Urzędu Śledczego, była jeszcze zbyt silna.

Po obławie nieudanej Szczupak siedział w gabinecie Wołkova, składając dokładne sprawozdanie.

Wołkow był nachmurzony. Ciskał gromy, robił złośliwe uwagi, unosił się, oburzał, podkreślając liczne błędy w czasie obławy. Agenci policyjni, zdaniem Wołkova, nie przeprowadzili rewizji należycie. Nie było solidnej roboty; podniesiono hałas i wrzawę zbyt wcześnie, co było ostrzeżeniem dla świata przestępczego.

— Musimy raz na zawsze tę bandę zlikwidować! — stuknął groźnie Wołkow pięścią w stół... — Jak długo będą nas za nos wodzili?!

— Panie komisarzu! Możemy te ptaszki raz dwa upolować, ale trzeba to zrobić inaczej. Należy zastosować inną, całkiem nową metodę...

Wołkow przystanął na te słowa. Zmierzył Szczupaka spojrzeniem pełnym podejrzania i pogardy:

— Proszę bardzo, niech pan wyłoży swój plan. Ale mam wrażenie, że Ameryki po raz drugi już nikt nie odkryje...

— Moim skromnym zdaniem — odparł Szczupak, spoglądając na noski błyszczących butów — nigdy nie schwycimy tej bandy.

— Co? A to dlaczego? — udawał Wołkow, że tego nie rozumie. Nie potrafił się jednak tak opanować, by nagły przyływ krwi do głowy nie wycisnął rumieńców na jego policzkach.

— Z tej prostej przyczyny — ciągnął dalej flegmatycznie Szczupak — że banda jest o wszystkim, co u nas się dzieje, zbyt dobrze poinformowana. Zanim u nas zapada decyzja, jest ona już im znana. Oni nas skuteczniej szpiegują, aniżeli my ich. Albo wśród nas jest ich człowiek.

Ostatnie słowa Szczupak wypowiedział stanowczym głosem, jakby chciał wzmocnić swoje podejrzenia i zarzuty. Był jeszcze wciąż zapatrzony w noski swego błyszczącego obuwia, ale to mu nie przeszkadzało w stwierdzeniu silnego wrażenia, jakie wywarły na Wołkova³⁹ jego słowa.

— Ha, ha, ha! — zlekceważył Szczupaka. — O podobne głupie pomysły nigdy pana nie podejrzewałem. Co panu przyszło do głowy? — oburzał się Wołkow.

³⁹wrażenia, jakie wywarły na Wołkova jego słowa — dziś popr.: wrażenia, jakie wywarły na Wołkowie (...). [przypis edytorski]

Szczupak skurczył się w sobie, zmalął. Udawał poskromionego i jął się tłumaczyć:

— Przepraszam pana, panie komisarzu, ale między nami zaszło nieporozumienie.

Wółkow, odzyskawszy nad nim przewagę, zapytał:

— Powiedz mi pan, kogo pan podejrzewa o kontaktowanie się z tą bandą? To jest dla mnie bardzo ważne. Muszę pana jednak ostrzec, że podobnego podejrzenia nie można traktować lekko. Trzeba tu operować dowodami. Dowodami! Również nieboszczyk Żarski lubił zapędzić się w podobne ślepe uliczki podejrzeń. Nam policjantom nie wolno filozofować. To nas sprowadza z właściwej drogi.

Komisarz Szczupak postanowił natychmiast nadać swoim słowom innego znaczenia. Zdecydował się zatrzeć wrażenie, jakie wywołały jego słowa u Wółkowa.

— Panie komisarzu, czy wolno mi szczerze wyłożyć swoją opinię?

— Bardzo będę rad — zawołał Wółkow. — Nie lubię, gdy się operuje w mojej obecności półsłówkami.

— Moja konfidentka doniosła mi bardzo ważną nowinę. W związku z tym wypowiedziałem wprawdzie moje przypuszczenie.

— Dlaczego pan mi o tym wcześniej nie mówił — uczepił się tego Wółkow. — Naszym nieszczęściem jest, że każdy chce tylko pracować na własną rękę. I temu należy przypisać, dlaczego jeszcze bandy nie zlikwidowaliśmy. Musimy zrezygnować z osobistych ambicji i razem zmierzać do wspólnego celu.

— Słusznie. I ja jestem tego samego zdania, panie komisarzu.

— Dla nas jest bardzo ważne doniesienie pańskiej konfidentki, o ile tylko można jej słowem ufać. Proszę, słucham, cóż takiego ona panu mówiła?

— Konfidentka godna jest stuprocentowego zaufania — rzekł Szczupak. — Niejednokrotnie odbierałem od niej absolutnie pewne informacje. I ona właśnie zakomunikowała mi, że na kilka chwil przed naszym przybyciem do Krygiera zajechała tam taksówka z pewną kobietą i ostrzegła go przed naszą wizytą.

— A ma pan rysopis tej kobiety? — spytał Wółkow.

— Konfidentka moja zauważyła, że była to kobieta elegancka. Za wszelką cenę musimy tę kobietę odnaleźć. Jestem przekonany, że ma ona „przyjaciela” wśród naszych, który dobrze się orientuje w pracach Urzędu Śledczego. Wiadoma rzecz, że i policjant nie zawsze trzyma język za zębami, gdy znajduje się w objęciach kobiety. I ta właśnie kobieta stoi na przeszkodzie w likwidacji tej bandy.

— To możliwe — uchwycił się deski ratunku Wółkow, udając, że ta rewelacja bardzo go zainteresowała. — Chciałbym zobaczyć pańską konfidentkę, czy czasem nie odgrywa „podwójnej” roli. Trzeba zachować w takim wypadku ostrożność.

— Za moją konfidentkę ręczę w stu procentach — rzekł Szczupak.

— Ale czy mógłbym ją zobaczyć? — podtrzymywał Wółkow swoją propozycję.

— Mogę ją tu telefonicznie zawiadzać.

Tak się też stało. W pół godziny potem do gabinetu weszła... Regina, elegancko ubrana z papierosikiem w rękach.

Wółkow siedział nieruchomo, jakby został sparaliżowany. Regina zauważyła to. Wyciągnęła ona rękę do Wółkowa, czyniąc to w ten sposób, by zasłonić go swoją osobą.

— Pan komisarz mnie nie poznaje? — zawołała Regina kokieteryjnie — Proszę sobie przypomnieć ten wypadek, kiedy dzięki mojej pomocy udało się panu wykryć znaczną kradzież na Nowym Świecie?

— Ach tak, przypominam sobie panią — opanował się Wółkow. — Nie poznałem pani.

Szczupak był zadowolony, że komisarz Wółkow zna jego konfidentkę.

— Na takiej współpracownicy można polegać, co? — zapytał Szczupak.

— Przypuszczam — odparł Wółkow, uśmiechając się pod wąsem, a w duchu pomyślał:

„Jakże ten Krygier jest przebiegły!... Z nim walka jest beznadziejna. Mocno mnie trzyma! Jestem zgubiony!”

A na głos Wółkow rzekł:

— Skoro mamy do naszej dyspozycji tak urodziwą i uzdolnioną konfidentkę, nie wszystko jeszcze stracone.

— Dziękuję za komplement — odpowiedziała z filuternym uśmiechem Regina. — Jestem na każde zawołanie do dyspozycji...

Szczupak nie zauważył ironicznych spojrzeń, które od czasu do czasu rzucała na niego Regina, porozumiewając się w ten sposób z Wołkowem.

Mimo swej przebiegłości Szczupak wpadł... Nawet nie połapał się, że dzięki Reginie zmałał w oczach Wołkowa jako groźny przeciwnik.

Wołkow nie wątpił, że Krygier wykorzysta swoje stosunki, by zniweczyć plany Szczupaka. Był przekonany, że to Krygier świadomie podsunął Reginę Szczupakowi, by go w ten sposób unieszkodliwić. Nawet mu nie wpadło na myśl, że Krygier o tym wszystkim nie wie i że to Regina przypadkowo poznała Szczupaka, wykorzystując tę znajomość dla jego ocalenia.

Regina kochała się w Krygierze na zabój. Nie zdradziła się przed nim słowem z ofiary, którą składa dla jego dobra. Znała go i wiedziała, że nie pozwoliłby jej na to. Intuicją wiedzona, doszła Regina do wniosku, że największe niebezpieczeństwo grozi teraz od strony⁴⁰ Szczupaka. Zrobiła wszystko, by nawiązać z nim kontakt, aż udało się jej.

Zaofiarowała Szczupakowi swoje usługi jako konfidentka, oświadczając mu, że zna wielu z bandy Krygiera i że pragnie ich wydać z zemsty w ręce policji. I na dowód uczciwej współpracy podała Szczupakowi prawdziwy adres mieszkania Krygiera. Uprzedziła jednak Krygiera, by się w porę usunął.

— Na tę panią⁴¹ można polegać — wziął Szczupak Reginę w obronę. — Dzięki tej pani dowiedziałem się, gdzie Krygier mieszka.

Teraz Wołkow już nie rozumiał, o co chodzi. Wołkow nie wierzył własnym uszom. Regina przejmowała go dziwnymi spojrzeniami, wtrącając się do rozmowy:

Przez chwilę zapanowało milczenie. Wszyscy byli pogrążeni w rozmyślaniach. Pierwsza odezwała się Regina, która zwróciła się do Szczupaka:

— Czy ma pan dla mnie jakieś polecenie?

Wołkow wstał i niecierpliwym gestem oświadczył:

— Dlatego tu panią wezwano, by jej oświadczyć, że jest aresztowana!...

— Co?... Co?... — odezwali się jednocześnie Regina i Szczupak.

— Zdaje się, że powiedziałem dość wyraźnie? Pani jest aresztowana!

Wołkow podniósł słuchawkę telefoniczną, po czym rzekł:

— Halo? Tu komisarz Wołkow. Proszę do telefonu panią komisarz Anyżową... To pani? Dzień dobry!... Poproszę o natychmiastowe skierowanie do mego gabinetu dwóch zdolnych policjantek... Dziękuję!

Regina nie zmieszła się, słuchając słów komisarza Wołkowa. Badała go uważnie oczyma, ale Wołkow unikał jej spojrzeń.

— Co to ma znaczyć? — zapytał Szczupak.

— Kobieta ta — odpowiedział Wołkow — jest właśnie ową panią, o której pan mi mówił, że nas śledzi. Musimy raz na zawsze położyć kres wszystkim prowokacjom i nieporozumieniom. Dosyć! Do licha!...

Komisarz Szczupak stracił tupet. Wszystkie jego podejrzenia naraz się rozwiały. Już żałował tego, że podejrzewał Wołkowa o różne nieczyste sprawy.

Regina usiłowała odcyfrować z jego twarzy i ruchów istotne zamiary i czy naprawdę chce ją uwięzić. Ale Wołkow w tej chwili był dla niej nieprzeniknioną zagadką.

— Pan chyba żartuje, panie komisarzu! — żaliła się Regina z uśmiechem.

— Nigdy nie żartuję — odparł Wołkow stanowczo i surowo, zatapiając wzrok w papierach, które leżały przed nim na stole.

Szczupak siedział jakby na rozżarzonych węglach. Spoglądał to na Reginę, to na Wołkowa, nie mogąc zrozumieć, co zaszło. Naraz przyszła mu myśl:

— Ta pani nie zasłużyła na to, by ściągnąć na siebie podejrzenie, a tym bardziej na rozkaz aresztowania.

— To śledztwo wykaże. Ta pani jest w moich oczach podejrzana nie od dziś.

⁴⁰grozi teraz od strony — dziś popr.: grozi jej teraz ze strony. [przypis edytorski]

⁴¹na tę panią można polegać — dziś popr.: na tej pani można polegać. [przypis edytorski]

Regina już nie wątpiła teraz, że Wołkow gra w otwarte karty. I ona zapragnęła otwartej gry. Ale wtem Wołkow zatrzymał w jej twarzy ostre spojrzenie, które nakazywało milczenie.

Szczupak nie chciał jeszcze rezygnować:

— Wszak i panu już okazała usługę, o której tu wspomniała. Dlaczego tedy pan komisarz tak bezwzględnie z nią postępuje?

W tej chwili do pokoju weszły dwie policjantki.

Wołkow wydał polecenie zaprowadzenia Reginy do aresztu oraz poddania jej szczerogółowej rewizji.

— Proszę się tylko mieć na baczności. Nie wątpię, że ta kobieta jest niebezpieczną przestępczynią — dorzucił Wołkow wywiadowczyiom.

Regina niezdecydowanym krokiem opuściła gabinet Wołkowa pod konwojem dwóch strażniczek. Nie orientowała się w sytuacji.

Obaj komisarze pozostali w gabinecie, spoglądając na siebie. Jeden chciał wyczytać myśli drugiego. Szczupak odezwał się pierwszy:

— Do czego pan zmierza, panie komisarzu? Obraża mnie pan osobiście swoim postępowaniem! Pan aresztował moją konfidentkę bez żadnej podstawy.

Komisarz Wołkow przyjął poważny wyraz twarzy i kładąc po przyjacielsku rękę na ramieniu Szczupaka, rzekł:

— Powiedz mi pan, jak długo już pan służy w policji?

— Co to ma wspólnego z tą sprawą?

— Bardzo wiele, przyjacielu.

— Z górą siedem lat — odparł Szczupak zdenerwowanym głosem.

— A ja o wiele dłużej — odparł Wołkow. — Nie zapominaj pan, że wysoki ten urząd piastuję po przebyciu wszystkich szczebli kariery policjanta: od posterunkowego do komisarza! Zapewne mam za sobą dość zasług, że dopiąłem tak wysokiego szczebla w mojej karierze. Natomiast pan, przyjacielu, zawdzięcza godność komisarza wyższemu wykształceniu i... protekcji — zakończył swoje uwagi Wołkow ironicznym docinkiem.

— Nie wszyscy, którzy piastują wyższe godności, warci są ich stanowiska⁴² — mruknął Szczupak pod nosem.

— Skoro pan tak sądzi, tkwi w błędzie. Przyjacielu, jestem urodzonym detektywem i widzę to, czego pan nie widzi. Kobieta⁴³, którą kazałem aresztować, od dawna poszukuję. I mnie ma pan okazać wdzięczność, że w porę ją unieszkodliwiłem, udaremniając jej zamiary... Powiedz mi pan, ale tylko uczciwie: czy była dla pana tylko konfidentką?

I Szczupak zaskoczony nie wiedział w pierwszej chwili, co odpowiedzieć. Wołkow domyślił się, że natrafił na najboleśniejsze miejsce. Ciągnął tedy dalej:

— Odgadłem. Już opętała pana. Oho, ona jest mistrzynią pod tym względem. I mnie usiłowała dostać w swoje sieci podstępne. Była wówczas o wiele młodsza i powabniejsza. Ale mam dość silną wolę i przeciwstawiłem się jej zakusom. Powinien mi pan być wdzięczny za to, że go wyzwolił z jej sieci.

— Ależ panie komisarzu! — zawołał Szczupak. — O czym pan mówi? Nigdy nie łączyły mnie z nią bliższe stosunki. Poza służbowym stosunkiem między nami nic nie było.

— A więc nie chce się pan do tego przyznać?... Zresztą to rzecz pańska. Wiem, że gra pan podwójną rolę. Ona więcej dba o dobro swojej bandy aniżeli o nasze. A tego panu udowodnię⁴⁴.

— Nie wierzę w to — bronił się niezbyt pewnym głosem Szczupak.

— I ja w wiele rzeczy nie wierzyłem, a jednak stały się one faktem — rzekł Wołkow w zadumaniu, świetnie grając swoją rolę. — Nikt nas tu nie podsłucha i mogę wypowiedzieć moje uwagi bez obawy: teraz wydaje mi się, że ten nędzarz z tobołami, to był nie kto inny, jak herszt bandy Krygier!

Te słowa trafiły w Szczupaka niby kula w mózg. Wołkow nie zdejmował z niego oka i kontynuował swoje wynurzenia:

⁴²Nie wszyscy (...) warci są ich stanowiska — dziś popr.: Nie wszyscy (...) warci są swego stanowiska. [przypis edytorski]

⁴³Kobietę, którą kazałem aresztować, od dawna poszukuję — dziś popr.: Kobiety, którą (...). [przypis edytorski]

⁴⁴A tego panu udowodnię — dziś popr.: A to panu udowodnię. [przypis edytorski]

— My sami popełniamy największe błędy. Podobne błędy popełniają również przestępcy i dzięki temu dostają się w nasze ręce. Jestem przekonany, że nędzarzem był bądź Krygier osobiście, bądź jego kompan, albo też ten, który ich uprzedził o naszym przybyciu.

— Konfidentka moja mówiła mi, że to była kobieta.

— I to niewykluczone. Nie będę przysięgał, że to ona była ową kobietą. Ale niech mi pan tak powie z ręką na sercu, czy pan czasem sam nie wyrwał się przed nią słowem o naszych zamysłach?

— Nigdy! — odpowiedział Szczupak osobiście dotknięty tym pytaniem.

— Możliwe. Ale dziwi mnie to, w jaki sposób zapoznał ją pan.

— W bardzo prosty sposób. Byłem na dancingu. Po cywilnemu. Poprosiłem ją do tańca i od tego czasu znamy się.

Chytry uśmieszek zakwitł na ustach Wołkova.

Chciał kontynuować rozmowę z zastępcą, bawiąc się z nim w mysz i kotkę, gdyż po tym, co zaszło, Szczupak już nie miał o co podejrzewać Wołkova, ale wtem zapukano do drzwi.

— Proszę — odezwał się Wołkow.

We drzwiach ukazała się jedna z dwóch policjantek, które konwojowały Reginę do aresztu. Z triumfem na twarzy położyła na biurko Wołkova „zdobycz” — brylantową kolię.

— Znaleźliśmy ją zaszytą w kołnierzu palta tej „damy”.

Bez słowa Wołkow wziął kolię do ręki i obejrzał ją z wszystkich stron. Napiął nerwy, by niczym nie zdradzić się przed zastępcą. Ale Szczupak nie wytrzymał i zawołał:

— To kolia brylantowa żony ambasadora!

— Tak, to ta sama — powiedział pewnym głosem Wołkow. — Kto z nas ma rację?

Szczupak milczał. Był zmieszany. Nie wiedział, co teraz powiedzieć.

Wołkow polecił umieścić Reginę w pojedynczej celi.

Potem gdy znów zostali we dwójkę, Wołkow i Szczupak spoglądali na siebie przez chwilę. Wołkow zadzwonił do poselstwa:

— Tu komisarz Wołkow! Proszę sekretarza poselstwa do telefonu. Odnaleźliśmy brylantową kolię pani ambasadorowej... Nasza policja działa skutecznie, tym bardziej, że chodziło o tak wysoko postawioną osobistość... kolia jest w moim gabinecie do odebrania.

Wołkow z triumfem w oczach odłożył słuchawkę. Dumnie spoglądał na Szczupaka, który siedział jak nieprzytomny. Z twarzy Wołkova biło zadowolenie, ale w sercu kłuło niby szpilkami. Był bliski ataku sercowego. Ale musiał grać rozpoczętą rolę do końca.

Niedługo potem do Urzędu Śledczego zajechał sekretarz poselstwa. Zaprowadzono go do gabinetu Wołkova. Gdy odebrał kolię brylantową, wielokrotnie dziękował, przyrzekając, że cały świat dowie się o zasłudze tak utalentowanego komisarza policji.

— W naszej odpowiedzialnej służbie musimy być gotowi na wszystko. Pan jest zdolnym policjantem — rzekł do Szczupaka — ale kobiety są zdolniejsze od najgenialniejszego detektywa. Musimy się mieć na baczności.

— O tak, ten wypadek utkwi mi w pamięci — przyznał się w pokorze Szczupak. — Pan okazał się bardziej doświadczony ode mnie. Dziękuję panu, panie komisarzu. Gdyby nie pan, kto wie, w jaką aferę byłbym się wkopał!...

Wołkow udawał, że nie słyszy komplementów i słów uznania, których Szczupak teraz nie szczędził.

— Pan nie powinien zbyt ufać temu, co mówią — rzekł Wołkow. — Konfidentki i konfidenti po większej części rekrutują się z podejrzanych gości. Należy wiedzieć, jak ich wykorzystywać, nie zarazem i unieszkodliwić. Teraz pan naocznie się przekonał o słuszności mojej teorii.

— Kto by się tego spodziewał po niej, że jest przestępczynią! Teraz nie wątpię, że chciała mnie dostać w swoje sieci.

— Pewnie, że tak chciała. Ją już mamy w naszym ręku. Teraz kolej na pozostałych członków bandy. Pojedynczo, aż do skutku. Przed panem otwiera się szerokie pole działania — schlebiał Wołkow Szczupakowi.

— Uczynię wszystko, co będzie w mojej mocy — odparł Szczupak.
— Tylko pod jednym warunkiem: Nie działaj pan na własną rękę. Proszę pana zawsze się mnie przed tym poradzić lub ze mną porozumieć. Oni, przestępcy, idą ręką w rękę i z tego powodu trudno ich wytropić.

— Cóż mam teraz czynić?

— W tej chwili: nic. Idź pan na dobry obiad, a potem na drzemkę. Jutro z całą energią zabierzemy się do pracy.

— Rozkaz! — wyprostował się Szczupak. — Sądzę, że fakt, iż okazałem się takim pechowcem, pozostanie tylko naszą tajemnicą.

— Naturalnie — rzekł Wołkow, wyciągając doń po przyjacielsku dłoń, którą Szczupak z wdzięcznością i respektem uściśnął. — Co rozgrywa się wśród przyjaciół, pozostać winno tylko wśród przyjaciół.

— Pan jest bardzo rozsądnym i wyrozumiałym człowiekiem. Nigdy nie zapomnę wyrządzonej mi przysługi — oświadczył Szczupak.

— Czy zawsze był pan o mnie takiego zdania? — spytał Wołkow, nie zdejmując oka z rozmówcy.

— Byłbym niezmiernie wdzięczny, gdyby mnie pan uwolnił od tej odpowiedzi — rzekł błagalnym tonem Szczupak.

— Jest pan tedy wolny. Ale mam wrażenie, że od tej chwili nie żywi pan do mnie antypatii. Zresztą miał pan teraz dowód koleżeńskości.

Rozstali się w serdecznym nastroju.

Gdy drzwi za odchodzącym Szczupakiem się zamknęły, Wołkow zaczął sobie wyrzucać postępowanie:

— Com uczynił? Co teraz będzie? Któż by się mógł spodziewać, że akurat będzie przy sobie miała kolię brylantową?...

Przez dłuższą chwilę Wołkow siedział zrozpaczony. Różne przykre myśli przechodziły mu przez głowę. Przypomniał sobie, jak zamordował policjanta. Jego oczom ukazała się trupioblada twarz policjanta, który jakby stanął przed nim z niemym wyrzutem. Od pewnego czasu dręczyły go wyrzuty sumienia. Nadaremnie tłumaczył się przed samym sobą, że morderstwo popełnił w momencie zaćmienia świadomości.

Niejednokrotnie Wołkow myślał o samobójstwie, ale zawsze brakło mu do tego sił. I to go jeszcze więcej bolało.

Teraz rozumiał postępowanie Reginy wobec niego. Nienawidził jej bezgranicznie. Przekonał się, że nie mniej tkwiło w niej fałszu niż w „Zimnej kokocie”.

Już na drugi dzień po podarowaniu jej brylantowej kolii przekonał się, że Regina to uczyniła w porozumieniu z Krygierem. A zatem jej wyznanie miłosne było dobrze zaaranżowaną komedijką. Łamał sobie teraz głowę nad tym, w jaki sposób brylanty znalazły się u Reginy. Był pewien, że są one w posiadaniu Krygiera.

Z jednej strony, Wołkow był zadowolony, że brylanty trafiły do prawowitego właściciela, co go osławiło⁴⁵ jako uzdolnionego policjanta, ale z drugiej strony zdawał sobie sprawę z tego, że wplął się w wyjątkową intrygę, z której nie tak łatwo mu będzie wybrnąć.

Głowa go do tego stopnia rozboleła, że nie mógł zebrać myśli, by spokojnie nad tym wszystkim, co zaszło, się zastanowić. Aresztując Reginę, przysporzył sobie wiele kłopotów. Jak tu znaleźć wyjście z sytuacji?

Pałał uczuciem zemsty do wszystkich kobiet, które kokieterią zdobywają ufność mężczyzn i dostają ich w swoje sieci, by sprowadzić ofiarę na drogę występku. Jego pobory policjanta zawsze mu wystarczały na życie spokojne i szare, do którego przyzwyczajono go od lat dziecińczych. Dopiero kobiety skusiły go do innego trybu życia, do hulanki, które wymagały pieniędzy. I zaczął brać łapówki... Później stał się zabójcą...

Wołkow siedział z przymkniętymi oczyma, pogrążony w tych rozmyślaniach i wspomnieniach.

— Małaż to była dla mnie nauczka dana przez „Zimną kokotę”? Jakże mogłem się dać tak podstępnie zwieść pięknym słówkom Reginy, a nawet jej podarować skradzioną przez Janka kolię brylantową?... Ale ona teraz jest w mojej mocy!...

⁴⁵co go osławiło — dziś: co go rozślawiło; osławić: okryć złą sławą. [przypis edytorski]

Zbrodnicza myśl błysnęła w jego głowie. Odpędził ją od siebie z odrazą, bojąc się samego siebie. Ale nadaremnie chciał o tym zapomnieć. Żądza zemsty była silniejsza od niego.

Resztkami siły woli wymógł na sobie opuszczenie gabinetu i gmachu Urzędu Śledczego. Wsiadł do dorożki, by pojechać do domu. Tam czekała na niego żona, chłopka ze wsi, z którą się pobrał, będąc jeszcze posterunkowym bez widoków zrobienia tak zwrotnej kariery. Na żonę teraz wylał całą złość, żywioną do ludzi nocy, Reginy, „Zimnej kokoty” i wielu, wielu innych...

Z krzykiem powitał żonę, matkę jego dwojga dzieci, chłopczyka i dziewczynki, za to, że nie oszczędza światła w domu, za które płacić potem musi większe rachunki. Ciskał gromy na żonę, że jest niewłaściwie uczesana i ubrana, że nie znosi widoku jej czerwonych chłopskich policzków...

Nie mógł długo siedzieć w domu. Gnało go na ulicę. Udał się nad Wisłę, gdzie przechadzał się wybrzeżem, paląc papierosa za papierosem. Około północy znów pojechał do Urzędu Śledczego.

Dwie godziny tłukł się ze swoimi myślami. Wiedział, że tej nocy musi skończyć z Regina. W jedną lub w drugą stronę...

Regina zbyt wiele rzeczy wiedziała o nim. Dziwił się, że do tej pory siedziała cicho w celi odosobnionej, nie szukając na nim odwetu.

„Ona chyba wierzy w to, że przyjdę i ją uwolnię”.

Diabelski uśmiech wykrzywił jego usta.

Otworzył szufladę, w której nagromadził niezliczoną ilość narzędzi złodziejskich, jak wytrychy, klucze, zamki i inne „pomocze”, które w ciągu dłuższego czasu konfiskował ludziom nocy.

Wółkow, gdy był chłopcem, praktykował u ślusarza. Służba policyjna uzupełniła jego fachowe wiadomości w tym kierunku. Orientował się doskonale, czym i jak można otworzyć każdy zamek. Wybrał pęk kluczy i wytrychów, który ukrył w kieszeni.

Spod biurka wyciągnął parę lekkich pantofli, które włożył na nogi. Z latarką elektryczną w ręku ześlizgnął się ze schodów w dół, do ciemnego korytarza podziemi Urzędu Śledczego. Na chwilę przystanął przed żelaznymi drzwiami. Nadsłuchiwał. Uderzenia jego serca zmieszały się z echem kroków Reginy, która krążyła, mimo późnej nocy, po celi...

Odsunął „wizyterkę”. W tej chwili Regina przystanąła i zatopila wzrok we drzwiach.

— To ja, to ja, Wółkow!... — wołał szeptem do „wizyterki”.

Regina ucieszyła się na jego widok. Radośnie podbiegła do drzwi.

Wółkow przy pomocy wytrycha otworzył drzwi i wszedł do celi. Regina powitała go z otwartymi ramionami:

— Cicho. Nie mogę tu długo zabawić. Zaczekamy dwadzieścia minut czasu i wyprowadzę cię stąd. Musimy to tak urządzić, by to wyglądało, żeś stąd uciekła.

— Ale dlaczego kazałeś mnie aresztować?... Kolia brylantowa...

— Uspokój się. Kolię mam. Zwrócę ci ją.

Regina przytuliła go do siebie. Tym razem uczyniła to szczerze. Po raz pierwszy w życiu była za kratami. Zdawała sobie sprawę z tego, że był jedynym, który mógł ją stąd uwolnić.

W celi panowały ciemności. Jedynie przez kraty przesączało się z podwórza światło, co ułatwiło poruszanie się w wąskiej, wilgotnej celi.

Wółkow zmienił się nie do poznania. Gdyby mogła teraz dokładnie zobaczyć jego twarz, na pewno nie tuliłaby go tak do siebie z takim spokojem i serdecznością.

— Ale dlaczego kazałeś mnie aresztować?

— Szczupak szpiegował mnie. Musiałem to zrobić.

— W taki sposób?

— Akurat wpadłem na taki pomysł. Przepadło.

— Ale będziesz symulował, że uciekłam?

— To już moja rzecz. Pozostaw to mnie.

Przytulił ją mocno do siebie i rzucił na posłanie. Regina nie broniła się. Przeciwnie, pragnęła jego pieścioty.

— Zimno ci, droga moja?

Mąż, Żona, Gniew, Władza,
Przemoc, Słowo

— Tak. Boję się...

— Nie lękaj się. Za pół godziny będziesz wolna... — Sadystyczny uśmiech wykrzywił jego twarz. Jego ręce poszukiwały czegoś po ciemku.

— Czego szukasz? — zapytała Regina.

— Nic, nic... Uspokój się...

— Puść mnie! — zerwała się nagle Regina.

— Odrącasz mnie od siebie? — wyrzucił z siebie słowa, oddychając z trudem. — Narazam moją karierę dla ciebie, a ty mi się tak odwdzięczasz?... Rozczarowałem się co do ciebie...

— Boję się... Boję się...

— Uspokój się. Wnet wyprowadzę cię stąd. Musimy zaczekać na zmianę warty. Teraz nie możesz stąd pójść.

Zapanowało milczenie.

Pierwsza odezwała się Regina:

— Kolię brylantową chciałam ci zwrócić. Kiedy mówiłam, że ją zgubiłam, chciałam cię tylko wypróbować.

Wypowiedziała te słowa niezbyt pewnym głosem, jakby się chciała przed nim wytłumaczyć.

— Wierzę ci, ufam ci, droga moja — wyszeptał cicho, a jego oczy przy tym nabrały dziwnego połysku.

Regina oparła się o wilgotny mur. Ciężko westchnęła. Ujrzała teraz w myśli swoje dzieci z wyciągniętymi rękami, które wołają:

— Mamo!... Mamo!...

Myśli chaotycznie przebiegały jej mózg. Podejrzliwie przyjęła teraz wizytę Wołkowa. Żałowała, że się wdała w tę awanturę ze Szczupakiem. Akurat dziś zamierzała wyjechać do Berlina, by zobaczyć się tam ze swoimi dziećmi. Dała się złapać na wędkę Szczupaka i poszła do Urzędu Śledczego.

— Nad czym się tyle zastanawiasz? Będziesz miała więcej czasu w domu...

Regina broniła się. Prosiła, by przyszedł do niej do domu.

— Pragnę teraz dowodów twojej miłości.

— Ale teraz nie mogę...

Naraz krzyknęła:

— Zapal światło... Boję się!...

Wołkowa ręce uniosły się do góry:

— Cicho! Chcesz tu zwabić moich ludzi, aby zastano mnie w twojej celi?

— Wypuść mnie stąd! — wybuchnęła płaczem. — Co trzymasz tam w ręku?

Naraz Wołkow chwycił ją za gardło. Z całych sił rzucił ją na posłanie. Dusił ją. Regina czyniła nadludzkie wysiłki, by wyzwolić się z potwornego uścisku. Pociemniało jej w oczach. Zdawała sobie sprawę, że jej sekundy są policzone.

Wołkow zarzucił dokoła jej szyi jedwabny szal, który ścisnął teraz z całej mocy. Z jej ust dobył się charkot:

— Moje dzieci!...

Przed jej oczyma z błyskawiczną szybkością przewinęły się oderwane fragmenty życia, niby na taśmie filmowej. Oto jest studentką... Jest na plaży... Złodziej... Zakochuje się w nim... Potem zjawił się Krygier... Kławy Janek... „Zimna kokota”... Anieli... Taniec diabelny... Wir... I wszystko znikło...

Wołkow wyprostował się. Odsapnął. Przywłócił ciepłe zwłoki Reginy do kraty więziennej i „fachowo” ją powiesił...

Z latarką w ręku rozglądał się dokoła, usuwając najmniejszy ślad tego, co zaszło. Zataił wszystko, co mogło by nasunąć podejrzenie zabójstwa i upozorował sytuację, która nie wykluczała pod żadnym pozorem samobójstwa...

Wołkow szybko się z nią „załatwił”. Kilka minut wszystkiego trwał mord. Z całych sił dusił ją, nie dotykając jej sukni, na której nie było śladu szamotania się. Wygląd zewnętrzny samobójczyni nie budził podejrzeń, by mógł tu zachodzić wypadek zabójstwa.

Dokonawszy potwornego dzieła, Wołków wyslizgnął się z celi, zamykając za sobą drzwi. I odszedł, jakby tu wcale nie był.

Morderstwo

Szczęście mu dopisało. Wślizgnął się po schodach niedostrzeżony przez nikogo. I znów znalazł się w swoim gabinecie. Osunął się na fotel bez sił. Teraz poczuł, jak jest wyczerpany.

Nerwy miał tak nadszarpięte, że bliski był wybuchu płaczu histerycznego.

Wstydił się przed samym sobą i nie zapalił światła, choć miał ochotę przejrzeć się w lusterku.

— Już drugie zabójstwo mam na sumieniu — rzekł do siebie. — Czym to się skończy?

Obleciał go śmiertelny strach. W tej przejmującej zgrozą ciszy myśli o morderstwie napawały go dręczącymi wizjami. W ciemności uczucie strachu spotęgowało się wielokrotnie. Wydawało mu się, że ktoś czyha na niego w gabinecie i że lada moment wyskoczy z ukrycia i schwyci go z tyłu. Zrobi z nim to samo, co uczynił przed chwilą z Reginą.

Zerwał się z miejsca i przekręcił kontakt. Światło zalało jego gabinet. Odwrócił się od lustra. Nie chciał teraz spojrzeć sobie w twarz.

W pośpiechu umył ręce i twarz przy umywalce.

Światło zaczęło go więcej boleć i męczyć niż po przednio ciemności. Wyłączył światło i szykował się do odejścia.

Pół życia gotów był teraz ofiarować za to, by wyjść z Urzędu Śledczego niespostrzeżony przez nikogo. O niczym innym nie był teraz w stanie myśleć. W mózgu huczało niby w młynie, a głowa ciążyła mu niby duża kula ołowiana. Czuł się złamany, wyczerpany, jakby wiele nocy bezsennych spędził na męczącej pracy. Świadomość popełnionej zbrodni hamowała jego ruchy i przyciągała go do ziemi.

Aczkolwiek był pewny, że nikt nie śmie jego, komisarza i naczelnika Urzędu Śledczego, posądzać o zbrodnię zabójstwa osadzonej w celi aresztantki, pragnął jak najwcześniej stąd się wydostać i być jak najdalej od miejsca mordu.

Niejednokrotnie wypadało mu pozostawać do późnej nocy w gabinecie. Jego obecność w Urzędzie o tej porze nie mogła wzbudzić podejrzania. A jednak targano nim uczucie niewymownego strachu, od którego kurczył się, stawał się taki mały...

Cicho otworzył drzwi gabinetu i nadsluchiwał, co się dzieje na korytarzu... Ciężkie kroki wartownika rozbrzmiewały deprymującym echem. Odnosił wrażenie, że ciężkie buty posterunkowego lada moment będą uderzały o jego głowę, jak teraz stąpają po podłodze. Suchy, stłumiony kaszel przedzierał się przez ciszę nocną. Wółkow drgnął. Zimny pot zrosił jego rozpalone czoło.

Z bijącym sercem Wółkow cofnął się do gabinetu. Przeżegnał się, a usta szeptały modlitwę. Z pochodzenia chłop, był wierzącym człowiekiem. Nawet po zabójstwie dusza jego zanosila modły do Boga...

I naraz zdawało mu się, że stłumiony, suchy kaszel rozległ się tuż przy nim, bardzo blisko...

Błysnęła mu okropna myśl:

„Kto wie, czy ją całkiem wykończyłem”...

Włosy mu dębem stanęły. Każde uderzenie serca odczuwał z wielkim bólem.

Niesamowity strach porwał go w swoje szpony. Instynktownie przywarł do ściany. Potworne wizje przesuwaly się teraz przed jego oczyma. Nerwy nie wytrzymały koszmarnych wizji.

Oczy wybaluszone szukały kogoś. Wydawało mu się teraz, że zamordowany policjant Michał stoi przed nim. A za nim Janek maszeruje, trzymając Reginę pod ramię. Wszyscy śmieli się z niego, szydzili.

Bliski obłędu Wółkow głucho jęknął. Resztkami sił sięgnął po kontakt. Drżącymi palcami przekręcił go. Światło przepędziło te okropne wizje.

Otarł chustką pot z czoła. Wzrok jego padł na duży hak w suficie, do którego dawniej była przymocowana lampa.

— Powiesić się — szepnął mu głos wewnętrzny. — Powiesić się! — rozkazywał natarczywie głos tajemniczy. — Zdjąć pas skórzany i powiesić się na nim!

Wółkow machinalnie wykonywał rozkazy. Zdjął pas. Stał na krześle. Gotów był zawiązać pętlę.

Naraz szyderczo zakpił z samego siebie.

Strach

Strach

— Życ chcę! — rzekł do samego siebie. — Życ! Mścić się na wszystkich, którzy mnie do zbrodni popychali...

Ale nie na długo mógł utrzymać nerwy na uwięzi. Myśli gnały z gwałtowną szybkością.

— Siadaj! — rozkazywał wewnętrzny głos. — I pisz! Co? Akt oskarżenia przeciw sobie!

Już usiadł za biurkiem. Wziął pióro do ręki. Chciał już wyszczególnić wszystkie zbrodnie, których się dopuścił.

Ale naraz ogarnęła go inna myśl: zejść na dół, do celi i przekonać się, czy Regina nie żyje. Mógł przecież omylić się w pośpiechu.

Nie mógł się uwolnić od natrętnej myśli: ponownego zobaczenia ofiary.

Przypomniał sobie suchy, stłumiony kaszel. Kto wie, czy to nie ona?...

Zeszedł na dół. Do suteryn. Nie bał się nikogo. Otworzył drzwi celi. Przyświecił sobie latarką. Prawą ręką pociągnął trupa za włosy... Teraz już nie wątpił, że jego robota jest całkowita... Jeszcze raz objął wzrokiem celę i skierował się ku wyjściu. Szczęście mu sprzyjało. Znow nie natknął się na nikogo...

Nie natknął się na nikogo...

ROZDZIAŁ IX

I znow minęło kilka tygodni. Jesień ustąpiła miejsce zimie.

Ludzie nocy przywitani zimę z otwartymi ramionami. Zbliżał się dla nich upragniony sezon.

Krygier nie rezygnował ze swoich planów. Nie mieszkał w Warszawie. Przeniósł się do jednego z luksusowych pensjonatów podmiejskich, gdzie zamieszkał w charakterze gościa. Również pozostali członkowie jego bandy ulokowali się każdy w jednym z pensjonatów na „linii”.

W tych pensjonatach uchodzili za rekonwalescentów. Wśród rozleniwionych gości pensjonatów trudno było rozróżnić członków bandy Krygiera.

Zbierali się od czasu do czasu pod osłoną nocy u Bajgele, który przejął po Staśku Lipie jego nocny lokal. Bajgele robił świetne interesy. „Zimna kokota” nadawała się do roli kierowniczkę interesu.

Nikt, z wyjątkiem Krygiera, nie zwracał uwagi na fakt nagłego zaginięcia Reginy. Na myśl mu, oczywiście, nie mogło przyjść przypuszczenie, że Regina już nie żyje i że mogła ona zginąć w tak fatalnych okolicznościach. Krygier był przekonany, że Regina po prostu uciekła od nich, mając dość takiego życia.

Pewnego poranka zimowego przed pomnikiem Mickiewicza na Krakowskim Przedmieściu przechadzał się młody człowiek w futrze z podniesionym kołnierzem i nasuniętym mocno kapeluszem. Co pewien czas wyjmował złoty zegar, dając w ten sposób wyraz swemu zniecierpliwieniu. Był to Kławy Janek.

Na *vis-à-vis*, drugim chodnikiem przechadzał się Krygier. Obaj oczekiwali kogoś z niecierpliwością. W pewnym momencie na rogu ulicy zatrzymała się taksówka, z której wysiedli Antek i Felek. Antek miał w ręku małą walizczkę. Janek dał im dyskretny znak ręką, by odeszli, a sam dobiegł do taksówki i rzucił rozkazująco:

— Aleje Jerozolimskie Nr... Panie prędzaj!... Matka mi zachorowała!... Pędzę po doktora!...

Szofer odrzekł z uśmiechem:

— Niech się pan uspokoi... Jestem swój człek...

— Co?

— Nie poznaje mnie pan?... No?... To przecież ja was wyprowadziłem ze skarbcza...

Janek zbliżył się, by lepiej spojrzeć szoferowi w twarz. Po „wsypie” z Wołkowem, wołał się mieć na baczości.

— Pokaż no swój cyferblat!

Szofer odwrócił się do niego i rzekł z uśmiechem:

— No, teraz mnie pan poznaje?

Jankowi jego twarz spodobała się. Chociaż wówczas, podczas ucieczki ze skarbcza nie widział twarzy szofera, wierzył jego słowom.

— Skoro jesteś nasz człek, to jedź szybciej — rzucił Janek.

— Czy doktor jeszcze potrzebny?

— Nie. Jedź za miasto.

Wprawny wzrok Janka dostrzegł z daleka taksówkę, która jechała za nim. Gdy znaleźli się za rogatkami miasta, Janek zawołał do szofera:

— Dostaniesz sto dolarów, ale jedź pełną parą!...

Szofer zwiększył szybkość jazdy. Taksówka mknęła jak strzała. Ale również auto pędzące w ślad za nią zwiększało szybkość.

— Prędeż, prędeż, prędeż! — wołał Janek. — W pewnym momencie podskoczył do szofera i ujął w swoje ręce kierownicę. Janek umiał kierować maszyną.

Szofer, blady jak chusta, uprzedził Janka:

— Jedziemy na złamanie karku! Pamiętaj, że lada moment wpadniemy w przepaść!... Zwariowałeś chyba!...

Janek nie odpowiedział ani słowem. Mocno trzymał kierownicę w swych rękach, nie zważając na niebezpieczeństwo. Patrzył teraz czyhającej na niego śmierci prosto w oczy.

Życie mu już dawno obrzydło. Od czasu, gdy Aniela go porzuciła, szukał śmierci. A teraz nasunęła się okazja. Nie obchodził go teraz los szofera.

Naraz auto podskoczyło i wywróciło się.

Janek stracił przytomność.

Gdy otworzył oczy, Janek poczuł ostry ból w boku. Szofer, który wyszedł z katastrofy cało i bez najmniejszego szwanku, stał nad nim pochylony i uśmiechał się.

— Podnieś się!

Janek podniósł się, nie zważając na ostry ból. Poleciał szoferowi, by podpalił taksówkę, leżącą w rowie.

— Oszalałeś? — zawołał szofer. — Można ją będzie naprawić!

Janek wyciągnął z kieszeni garść banknotów i wręczył je szoferowi. W chwilę potem taksówka stała w płomieniach, a Janek i szofer oddalili się od miejsca pożaru.

— I ja już odsiedziałem karę pięć lat więzienia⁴⁶ — rzekł szofer po drodze. — Antek i Felek dobrze mnie znają.

— Bardzo dobrze. Ale trzymaj język za zębami. Nie rozumiem tylko, gdzie się podziała taksówka, która nas ściagała!

— Musiał się kierowca pomylić i pojechać szosą lubelską. To nas uratowało.

— Jestem przekonany, że to nas policja ściagała — oświadczył Janek. — Mogą się jeszcze natknąć na nasze ślady. Bądź zdrow i idź sobie, gdzie oczy cię powiodą. Ja pójdę w innym kierunku. Po co masz się wysypać z mego powodu?

Janek uściśniętą rękę szofera na znak wdzięczności:

— Bądź zdrow. Jesteś naszym przyjacielem. Nie zapomnę ci tej przysługi.

— Znasz także i moją siostrę — rzekł na pożegnanie szofer.

— Twoją siostrę?

— Tak: „Zimną kokotę”.

— O, tak. Znam ją. A teraz — do widzenia.

Szybkim krokiem Janek oddalał się od tego miejsca. W drodze rozmyślał nad tym, co zaszło.

Naraz podchwycił echa podejrzanых kroków. Ledwie zdążył zorientować się, że tuż w pobliżu znajdują się ludzie, padły słowa:

— Stać! Stać! Bo strzelamy!

Wezwanie policyjne rozbrzmiewało w ciszy leśnej wielokrotnym echem. Janek widział już siebie w ręku policji.

Zorientował się, że wpadł w zasadzkę. Nie miał nic do stracenia. Postanowił za wszelką cenę uciec. Pogoń nastąpiła natychmiast.

Wybiegłszy z lasu znalazł się na szosie. Tu rzucił z siebie futro, które przeszkadzało mu w ucieczce. Nadto chciał zmylić prześladowców, by przyjęli go za postrzelonego człowieka... Zanim sprawdzą i przekonają się o pomyłce, będzie już daleko... Każda sekunda decydowała.

⁴⁶odsiedziałem karę pięć lat więzienia — popr.: odsiedziałem karę pięciu lat więzienia. [przypis edytorski]

Jankowi pomysł ten udał się znakomicie. Słyszał, jak policjanci wołali, biegnąc w kierunku porzuconego futra: „poddaj się”. Sądzi, że to uciekinier padł ranny. W międzyczasie Janek pędził co tchu w przeciwnym kierunku.

Szczęście mu sprzyjało. Akurat przejeżdżał gospodarz na furze, zaprzężonej w parę dobrych koni. Janek wskoczył na wóz i pod groźbą zabicia steroryzował go rewolwerem. Przepędził chłopca z wozu, a sam pognął koni⁴⁷ z całych sił. W dwadzieścia minut potem był już bardzo daleko od urządzonej nań zasadzki.

Janek porzucił wóz z końmi, kierując się do pobliskiego miasteczka. Tam wsiadł do taksówki, której polecił jechać w kierunku linii podmiejskiej, gdzie zamieszkał w jednym z pensjonatów.

Niespostrzeżony przez nikogo, Janek wszedł do swego pokoju, umył się, przebrał i zadzwonił na pokojówkę, której polecił przynieść posilek.

Gdy minęły pierwsze wrażenia niespodziewanej przeprawy, Janek zaczął się zastanawiać nad wypadkami, które się wydarzyły tego dnia.

— Kto wie, jak skończyli moi współnicy? Czy czasem nie wpadli w ręce policji? — zapytywał siebie w duchu.

Janek nie był zadowolony z interesu ubitego przez Krygiera z Wołkowem, gdyż podejrzewał ostatniego o dwulicową grę. Zbyt często policja następowała im na pięty. Szczególnie podejrzana wydawała mu się dzisiejsza obława. Mieli wyjątkowo ważną robotę do wykonania. Nie szło tyle o „zarobek”, ile o wypróbowanie nowej metody pracy przy pomocy wynalazku Krygiera.

Janek poczuł w boku silny ból. Gdy auto wywróciło się, doznał licznych uderzeń. Wówczas ból szybko ustąpił. Teraz ból ten się odezwał. Janek starał się nie myśleć o tym w nadziei, że dokuczliwe uczucie minie.

Przypomnił sobie Aniełę. Tęsknota za nią w tej chwili była tak silna, że gotów był wiele oddać, gdyby mógł choć raz spojrzeć w jej oczy i choć raz przytulić ją do siebie.

— Śmierć wzgardziła mną — pomyślał. — Cóż mam z takiego życia?

Był znużony i ciągnęło go do wygodnego łóżka w ciepłym pokoju. Myśl o niepewnym losie współników nie dała mu spokoju. Włożył ciepłe palto i wyszedł na willę, by stamtąd udać się na dworzec kolejowy. Postanowił pojechać do Warszawy i dowiedzieć się, co zaszło z jego kompanami.

W willi natknął się na jedną z wielu pań, które przebywały w tym pensjonacie. Jej przenikliwe spojrzenie zastanowiło go. Pani ta odezwała się:

— Jak widzę, pan lubi odbywać, tak jak ja, samotne spacerunki z dala od tych pustych głów, których tu nie brak. Gości tu jest wiele, ale ludzi mało.

Wypowiedziała te słowa na wpół ironicznie, na wpół serio. Ale przebijała z jej słów chęć nawiązania znajomości i rozmowy.

Janek nie miał teraz ani czasu, ani ochoty na rozmowy i flirty. Chciał już rzucić kilka opryskliwych słów i uwolnić się od natrętnego towarzystwa. Ale wbrew woli nie mógł przemóc w sobie uczucia, a raczej wrażenia, że przed nim nie stoi obca kobieta. Wydawało mu się, że to Anieła z nim teraz rozmawia. Przez chwilę wpił się w jej twarz oczyma. Naraz potrząsnął głową, jakby chciał odpędzić od siebie dziwne myśli.

— Czy mogę pani służyć? — zapytał oschle.

— Ha, ha, ha! — rozbrzmiewał echem w willi jej śmiech. — Pan musi nienawidzić kobiety⁴⁸.

— Tak... tak... Nawet bardzo...

— Pan jest oryginalnym mężczyzną. — Nie rezygnowała przygodna nieznajoma. — Po raz pierwszy w życiu słyszę podobne słowa. A ja o panu byłam innego zdania. — Zabrzmiała w jej głosie nuta niezadowolenia.

Janek nie wiedział, jak dalej postąpić. Księżyc wysunął się spoza chmur i rzucił jasne światło na twarz rozmówczyni.

— A jednak sądzę, że możemy ze sobą trochę porozmawiać na miłym spacerku — ciągnęła dalej przygodna znajoma. — Księżyc pięknie świeci. Piękna noc! Czuję się dziś jak nowo narodzona — rzekła sentymentalnie.

Flirt

⁴⁷ *a sam pognął koni* — a sam pognął konie. [przypis edytorski]

⁴⁸ *Pan musi nienawidzić kobiety* — dziś popr.: Pan musi nienawidzić kobiet. [przypis edytorski]

Janek chciał się od niej uwolnić, ale nieznajoma była kobietą, która przykuwa do siebie od pierwszej chwili.

Bez ceregieli ujęła go pod ramię i prowadząc go przed siebie, rzekła:

— Już od dawna chciałam pana poznać.

— Ale, pani wybaczy, teraz nie jestem usposobiony do flirtu. Księżyc na mnie od-
działywa mniej rozczulająco niż na panią.

— Fe, fe — roześmiała się nieznajoma. — Po raz pierwszy widzę tak brutalnego
mężczyznę.

— Niestety, taki jestem: zimny drań...

— I zawsze pan jest taki?

Janekowi błysnęła pewna myśl:

— Z kim mam przyjemność?

— Po co ta formalność? — odrzekła tajemniczo. — Chcę zapomnieć, kim jestem,
byłam i będę. Teraz nie chcę o niczym wiedzieć...

Janek był już całkowicie pod jej zdobywczym wpływem...

Ciepło, które biło od tej kobiety, przejmowało go niby prąd elektryczny.

Nadaremnie Janek staczał z sobą wewnętrzną walkę. Nieznajoma kusila go i intrygo-
wała.

— Ale ja teraz naprawdę nie mam czasu i muszę jechać do Warszawy — bronił się
Janek coraz słabiej.

— Ja pana wcale nie zainteresowałam? — z wyrzutem rzekła nieznajoma. — Czy pan
nie widzi, jak księżyc nas namawia do tego, byśmy się zapomnieli... Nie chcę nic wiedzieć
o panu i jego pilnych sprawach, które go gdzieś wzywają.

Nieznajoma przywarła do niego. Janek był mniej nastrojony poetycznie od przygod-
nej znajomej, która szukała emocji pod pretekstem pięknej nocy księżycowej. Ale był
mężczyzną, który w podobnych wypadkach zawsze należy do pokonanych... Już nie był
teraz zdolny myśleć o Krygierze i o swoich obowiązkach wobec towarzyszy. Targała nim
teraz wielka namiętność. Nieznajoma tuliła się do niego pod pretekstem, że jej zimno.
Zaprowadziła go do swego pokoju. Tam zrzuciła z siebie futro karakułowe. Janekowi uka-
zała się młoda, dwudziestokilkuletnia, wygimnastykowana kobieta. Nie mógł oderwać
oczu od jej wspaniałej figury. Nie była piękna na twarzy, ale miała w sobie coś takiego,
co powoduje wybuch zmysłów u mężczyzn i doprowadza ich do białej gorączki...

Na widok jej namiętnych ust, które nie dawały spokoju, Janek doznał uczucia, jakie
u niego zrodziło się w obecności Anieli. Wyczuł w niej ową potęgę kobiecości, która
łamie nawet najsilniejszych mężczyzn. Z każdego jej ruchu bił czar niewypowiedzianych
rozkoszy, które kusily i porywały.

— A jak się panu tutaj podoba? — Obróciła się na nodze.

Przed jego oczyma na sekundę zawirowała jej postać. W obcisłej, wełnianej spódniczce
sportowej kibić jej zarysowała się z gracją. Z jej twarzy nie zniknął wiele przyrzekający
uśmiech.

Janek był odurzony. Nie mógł z nadmiaru szczęścia wydobyć głosu. Pożeracz kobiet
stracił naraz mowę i zachowywał się jak żak.

— Siadaj pan... ale bliżej, tu obok mnie — rzekła rozkazująco i kokieteryjnie, zaj-
mując na kozetce pozycję na wpół leżącą.

Janek był oszołomiony. Nie mógł jeszcze wierzyć w to, że nowa znajoma poważnie
go traktuje, chociaż niejednokrotnie miał dowody, że cieszy się powodzeniem u kobiet.
Pożerał ją wzrokiem.

Dotychczas Janek unikał kobiet, jakby chciał tym dać dowód wielkiego uczucia, ja-
kie żywił do Anieli. Przygodę z Reginą już dawno wymazał z pamięci. Poprząsił sobie
w duszy, że więcej nie da się naciągnąć. Mimo woli wypłynął w jego wyobraźni obraz
Reginy i Janekowi błysnęła myśl: „dlaczego jej nie widać?”

Ale teraz miał przed sobą o wiele piękniejszą i bardziej ponętną osóbkę od Reginy.

Nowa znajoma leżała na kozetce w prowokującej pozie. Jej lśniące jedwabne poń-
czoszki uwytatniały piękny i powabny kształt nóżek. Ładnie uczesaną główkę zdobiła
para mądrych, żywych oczu.

W pewnym momencie zerwała się ona z kozetki i zaczęła Janekowi pomagać w zdejm-
owaniu palta.

Pożądanie

— Pan mnie się coraz mniej podoba. — Groziła mu filuternie paluszkami. — Nie znoszę tego!

Rzuciła jego palto i kapelusz na krzesło i pociągnęła go ku sobie.

Nie miał czasu na rozwiązywanie zagadki, do jakiego typu uwodzicielki należy przygodna sąsiadka w pensjonacie...

Dotychczas, żadna z kobiet nie narzucała mu się w podobny sposób... Nie rozumiał niczego. Była młoda, powabna, zgrabna, pełna wdzięku, zapewne niebiedna oraz niegłupia.

„To nie jest takie gładkie” — odezwał się w nim tajemniczy głos.

Postanowił trzymać się na baczności.

— Filozofie, o czym myślisz teraz? — rzuciła mu prosto z mostu pytanie, przechodząc jednocześnie na „ty”. To go jeszcze więcej intrygowało.

Janek nie wierzył własnym uszom i oczom. Odsunął się, instynktownie wykorzystując ten ruch.

Przygodna znajoma wybuchnęła śmiechem i jeszcze bliżej do niego się przysunęła.

Janek stanowczym głosem zapytał:

— Kim pani jest i czego żąda pani ode mnie?

— Idiota! — krzyknęła przygodna znajoma. — Miałam o panu inne zdanie. Teraz może sobie pan już pójść!

Podobnej odpowiedzi Janek się nie spodziewał. Ta kobieta trzymała go teraz w swej władzy, a jednak kazała mu iść.

— Czemu pan jeszcze tu sterczy? — zawołała mocnym głosem. — Może zapomniał pan, gdzie drzwi się mieszczą? Proszę, oto one są! — wyciągnęła ręce w odnośnym kierunku.

— Pani mnie stąd wypędza?

— Broń Boże. Nienawidzę głupców.

Janek od razu znalazł się „w formie”. Z uśmiechem bezczelnym na ustach zbliżył się do niej. Ale udawała oburzoną.

Gdy po kilku godzinach Janek opuścił pokój przygodnej przyjaciółki, z którą spędził chwile rozkoszy, nie wiedział jeszcze, z kim miał do czynienia. Odpowiedziała mu tylko:

— Jestem cudzoziemką. Kobieta, która lubi radość i uciechę. Spodobałeś mi się od pierwszego wejrzenia. Będiesz tak długo moim kochankiem, aż zastąpi cię kto inny. Zawsze się znajdzie chętny...

Janek postanowił na własną rękę zbadać tajemnicę, jaką otoczyła się przygodna przyjaciółka.

Nazajutrz Janek dowiedział się od pokojówki, że jego nowa znajoma pochodzi z Ameryki i że przybyła do Polski w odwiedziny do pewnego pana, który w Polsce bawi już dłuższy okres czasu. Tyle tylko mógł się dowiedzieć.

Rano Janek nie pojechał do Warszawy, by dowiedzieć się, co spotkało jego współników. Cały dzień był zajęty szpiegowaniem przygodnej przyjaciółki. Nie spuszczał jej z oka. Wspólnie odbywali przechadzki, razem spożywali posiłki.

Pozostałe panie z pensjonatu nie kryły niezadowolenia z tego powodu. Bolał je fakt, że cudzoziemka „sprzątnęła im” najprzystojniejszego mężczyznę, za którego uchodził Janek w pensjonacie.

W pensjonacie już kursowała plotka, że „między nią a nim coś jest”...

Janek szedł za nią niby cień. Zapomniał o Anieli, o współnikach, o przeszłości i przyszłości. Nowa przyjaciółka zdobyła go przebojem. Gotów był teraz dla niej uczynić wszystko. Już nie mógł ścierpieć myśli, że ma gdzieś przyjaciela i że ona może mieć kochanka poza nim. Ledwie doczekał się zmroku, by w nocy znów znaleźć się w jej objęciach.

Przygotowywał się w duchu do rozmowy, którą zamierzał z nią odbyć. Był nawet gotów wypowiadać się przed nią i opowiedzieć jej wszystko ze swojej przeszłości, ale pod warunkiem, że ona to uczyni pierwsza, bo musi przecież wiedzieć, czy jest godna zaufania.

Co prawda dręczyło go sumienie, że dopuścił się zdrady wobec Anieli. Ale zdołał zgłębić w sobie te wyrzuty sumienia. Wytłumaczył się nawet przed samym sobą:

„Teraz natrafiłeś na właściwą kobietę. Aniela zapewne zdążyła już zakochać w sobie kogo innego. Kobietom nie wolno zbyt ufać”.

Należał do tego typu mężczyzn, którzy uważają za rzecz zupełnie naturalną, iż mężczyzna musi mieć przewagę nad kobietą. Uważał, że nie wszystko, co wolno mężczyźnie, wolno także i kobiecie...

Aniela wszak była gdzieś bardzo daleko. Kto wie, czy Stasiek Lipa nie postarał się o to, by Aniela była na zawsze odseparowana od niego.

Janek nie zdawał sobie teraz sprawy, że nowa miłość jego pachnie niebezpieczną awanturą. Jedyne, co go jeszcze powstrzymało przed tym, by na ślepo iść za tą kobietą, było podejrzenie, czy czasem nie wpadł w sieci sprytniej konfidentki.

Po kolacji, gdy ona udała się do pokoju, by przebrać się, wszedł Janek.

— Już znowu jesteś przy mnie?

— Kocham cię. Od dziś tylko ciebie będę kochał — wyrzucił z siebie te słowa jednym tchem.

Przywarł do niej i obsypał ją płomiennymi pocałunkami. Zwinnym ruchem wyślizgnęła się z jego ramion:

— Zbyt wcześnie stajesz się nudny. Zachowujesz się jak żak. Następujesz mnie na pięty. Nie wypada, jak na dorosłego mężczyznę.

— Nie wiesz, z kim masz do czynienia! — rzucił groźnym tonem.

— I nie chcę wiedzieć. My, Amerykanie, nie zwykliśmy, jak wy Europejczycy, interesować się każdym szczegółikiem. Szukamy nowych wrażeń, które nas pociągają.

— Teraz widzę wyraźnie pani sylwetkę. Oho! Jakże pani inaczej wygląda teraz niż onegdaj przy świetle księżycy. Oho, z pani wcale niesentymentalna kobieta.

— Ach, pan ma na myśli nasze spotkanie w willi wieczorem? Wówczas pragnęłam nawiązać z panem kontakt. Księżyc był najlepszym pośrednikiem, a raczej łącznikiem... Zaledwie jeden dzień naszej przyjaźni upłynął, a już zaczynasz mną rządzić — przeszła w trakcie rozmowy na „ty”. — Wiedźże o tym, że my Amerykanki nie znosimy władzy nad sobą. Nie pozwalamy sobie pętać.

— Po co zawróciłaś mi głowę? Pokochałem cię gorąco i mocno!... Tak, jak żadną kobietę przedtem! Gotów jestem wszystko uczynić dla ciebie!

— Wszystko? — uśmiechnęła się filuternie.

— Dla ciebie: wszystko! Nawet skoczyć w ogień i wodę! Tylko zostań przy mnie.

Przez dłuższą chwilę spoglądała na niego, po czym rzekła:

— Przecież, gdybym cię nie zaczepiła, nie pokochałbyś mnie.

— Widziałem cię tylko raz jeden i to pobieżnie. Ale teraz po nocy upojnej... Życie moje składam ci w ofierze!

Spojrzała mu prosto w oczy:

— Prawdę mówisz?

— Tak! — zawołał w uniesieniu i porwał ją w swoje ramiona.

— I spełniać będziesz wszystko, co ci rozkażę?

— Tak, tylko nie odtrącaj mnie od siebie!

— I nie zapomnisz o tym ślubowaniu?

— Przez całe życie będę pamiętał o tym. Będę ci wierny jak pies.

— Dziękuję — rzekła poważnie. — Wiedźże, że jestem szczęśliwa, słuchając twoich pięknych słów. W gruncie rzeczy jestem sentymentalna. Najlepszy dowód, że oddałam ci się, nie wiedząc nawet, z kim mam do czynienia. Nawet nie wiem, do jakiej sfery należysz.

— Mogę ci zaufać wszystkie moje tajemnice — wyrwało mu się naraz.

— Nie chcę tego. Nie obchodzą mnie twoje tajemnice. I przeciwnie, tajemniczość, którą wyczuwam w twoim otoczeniu pociągnęła mnie ku tobie i rzuciła w twoje objęcia. Gdy poznam twoją rzeczywistość, kto wie, czy będziesz mnie interesował.

— Dlaczego nie chcesz mi nic mówić o sobie?

— O sobie? — naraz posmutniała. — Teraz nie...

— A kiedy?

— Musimy się najprzód lepiej poznać — rzekła nowa przyjaciółka Janka. — A potem opowiemy sobie nawzajem, co na dnie duszy leży.

— Opowiedz już... Teraz... Gotów jestem każdego uprzątnąć z drogi, który by ciebie zamierzył skrzywdzić — zawołał Janek.

— Uspokój się, mój drogi!...

Pociągnęła go za sobą na kozetkę... Zatopiła w nim niebieskie swoje oczy, jakby chciała go przejrzeć do cna. Nos jej lekko drgał, a ręce nerwowo dygotały. W tej chwili sprawiała na niego⁴⁹ niesamowite wrażenie. Oddziaływała na niego odurzająco. Była piękna. Cudowna.

W chwilę potem błysnęła mu myśl, że nowa przyjaciółka musi być wyrafinowaną pożeraczką serc męskich.

Nie pomylił się.

Niejedno serce mężczyzny już zdążyła złamać w swym młodym życiu. Prowokowała mężczyzn i dostawszy w swoje sieci, czyniła z nich bezwolne narzędzie.

— Lubisz oglądać filmy?

— Dobrze, tak.

— Jakie uważasz za dobre lub złe?

— Dobry film ukazuje nam szmat prawdziwego życia.

— Nic więcej? A filmy z udziałem pięknych kobiet?

— Przyjrzyj się mnie dobrze. Czy już widziałeś mnie kiedyś na ekranie?

Janek uprzedzony przez pokojówkę, że jego znajoma uchodzi za artystkę filmową, odparł:

— Tak. Był to nawet wspaniały film!

— Kiedy? Gdzie? — twarz jej zdradzała zadowolenie.

— Tu. Wczoraj... Odegrałaś swoją rolę cudownie!

— Z tobą nie grałam. W życiu prywatnym nie jestem artystką — rzekła z urazą.

— Wiem, że jesteś artystką filmową, moja droga.

— Kto cię już zdążył poinformować?

— Goście w pensjonacie o tym wiedzą.

— Skoro tak — oświadczyła po pewnym namyśle — jeszcze dziś się stąd wyprowadzę. Wyraźnie zastrzegłam się, by nikt nie miał dostępu do meldunku, gdyż nie chciałam, aby tu wiedziano... Tfu!... Tu mało kto jest dżentelmenem...

Podeszła do stolika, na którym stała flaszką wina szampańskiego. Napelniła szklanek.

— Pij — rzekła.

— A ty?

— Ja potem wypiję, przed snem.

Janek spoglądał na nią pytającym spojrzeniem.

— Dzisiejszą noc spędzisz w swoim pokoju. Muszę wypocząć. Nie będzie dziury w niebie, gdy rozstaniemy się na jedną noc — dodała z takim uśmiechem, od którego dreszcz przebiegł po ciele Janka.

— Ja tu pozostanę — oświadczył Janek stanowczym głosem i przytulił ją do siebie. — Jak się nazywasz?

— Po co ci to potrzebne? — zapytała naraz po angielsku.

— Chcę wiedzieć, czyją ofiarą jestem — odparł Janek w tym samym języku.

— Skoro o to tylko chodzi — roześmiała się filuternie — nie oburzam się. Z ciebie, jak widzę, jest nie lada gagatek. Nie rozczarowałam się co do ciebie. *All right!* Podobasz mi się.

— Ty mnie jeszcze więcej! — Uściskał ją z całych sił. — Jakże jestem szczęśliwy, że cię pozna! Powiesz mi, jak ci na imię, które pragnę pieścić w myśli, we śnie i na jawie.

— Nazywaj mnie tak, jak chcesz.

— Zgoda. Będę cię nazywał Aniela.

Ledwie wypowiedział to imię, przed jego oczyma ukazała się wizja postaci ukochanej. Aniela czyniła mu wyrzuty.

— Nie, nie! — zawołał Janek... — Tylko nie Aniela!

Przyjaciółka uwolniła się z jego ramion:

— Już kochałaś kobietę, której było na imię Aniela?

— Nie wspominaj jej imienia! — krzyknął, będąc jeszcze pod wrażeniem obrazu Anieli. — To nie była kobieta! — przesłonił sobie ręką twarz.

⁴⁹sprawiała na niego niesamowite wrażenie — dziś popr.: sprawiała na nim niesamowite wrażenie. [przypis edytorski]

— Kimże była twoja poprzednia kochanka, jeżeli nie kobietą? — zapytała nowa przyjaciółka. — Może aniołem? — zaśmiała się szyderczo.

— Nie śmieję się! — zawołał, przyjmując groźną postawę. — Nie jesteś jej godna.

— Co?!... Precz stąd!... I marsz do swojej Anieli!...

Raptownie otworzyła drzwi i krzyknęła na głos:

— Precz stąd! Uprzedzam, że w przeciwnym wypadku zadzwonię na służbę, by pana stąd przemocą usunęła!

Janek podbiegł do drzwi, zamknął je i rzekł:

— Oszalałaś? Wszyscy goście się tu zbiegną!

— Nikt mnie tutaj nie obchodzi!... Wynosić się stąd!... A ja przypuszczałam, że jesteś dżentelmenem!...

Janek objął ją i ugłaskał. Dała się przeprosić.

— Za karę nocujesz dziś w swoim pokoju — uśmiechnęła się. — Nazywają mnie Ada. To łatwe imię do zapamiętania.

— A ja.... ja... Jak mnie na imię?... Już wiem: Franciszek. Podoba ci się?

— Niech będzie Franek. Reszta z twojej przeszłości jest mi obojętna.

— Ale za to ja pragnąłbym poznać twoją przeszłość, bo cię kocham!

— Dowiesz się! I na to przyjdzie kolej. A teraz: spać.

— Masz męża? — Janek spytał niespodzianie.

— A gdy mam, to co?

— Chcę, byś była tylko moja. Nigdy nie będę mógł się żyć z myślą, że nie będziesz tylko moją wyłącznie.

Ada posmutniała. Podniosła głowę i przez dłuższą chwilę zaglądała mu w twarz.

— O sobie nieraz z tobą będę rozmawiała. Muszę się najpierw przekonać, czy naprawdę mnie tak kochasz. Żeś się mnie od razu spodobał, dałam ci już dowód...

— Dla mnie to nieprzekonywujący dowód. Kobiety mają różne kaprysy. Niektóre z was oddają się dlatego obcym mężczyznom, gdyż sądzą, że w ten sposób stopień zdrady jest mniejszy. Znałem pewną kobietę, która zdradzała męża z innym, bo jego szelki były ładniejsze...

Ada wybuchnęła śmiechem:

— Amerykanki zwracają uwagę na inne zalety mężczyzn...

Janek nie miał ochoty ruszyć się z pokoju Ady, która go oczarowała i trzymała w swej mocy, była dla niego zagadką. Z doświadczenia jednak wiedział, że przyjdzie czas, kiedy ona zażąda od niego zapłaty. Jaka to będzie zapłata?

W tej chwili Janek nie mógł udzielić odpowiedzi na to pytanie. Nie mógł sobie jednak wytłumaczyć przyczyny, dlaczego nie zainteresowała się jego przeszłością. Ta okoliczność budziła u niego podejrzenia. Może ona jest konfidentką? Umyślnie nie chce nic wiedzieć o mojej przeszłości, by uspić moją czujność.

— Wracajże już do swojego pokoju — nagabywała go Ada. — Muszę się ułożyć do snu, a jutro rano wyjadę stąd.

Janek zerwał się z miejsca:

— A mnie tu zostawisz?

— Ty, kochanie, jedziesz ze mną.

— Dokąd?

— O tym jeszcze pomyślę. A teraz dobrej nocy... Bo jutro jedziemy razem.

— Świetnie, doskonale! — zawołał uradowany. Obsypał jej ręce namiętymi pocałunkami. Jego zmysł krytyczny przesłoniła mgła, którą wyczarowała nowa przyjaciółka. Kochał ją do nieprzytomności.

— Idź już, idź! — nalegała coraz słabszym tonem, jednocześnie tuląc jego głowę do swoich piersi coraz silniej.

Janek był szczęśliwy. Chciał, by te chwile nigdy się nie kończyły i zamieniły się w wieczność.

Ale Ada w pewnej chwili uwolniła się z jego ramion i rzekła:

— Teraz wrócisz do swego pokoju; zobaczymy się jutro.

Janek milczał chwilę, jakby się zastanawiał nad tym, czy ma coś powiedzieć, czy lepiej przemilczeć. Wreszcie zapytał:

— Masz męża? Powiedz! Muszę wiedzieć wszystko!...

Twarz jej naraz zarumieniła się. Oczy utkwiała w suficie i cedziła każde słowo:

— Męża nie mam — mówiła spokojnym głosem — ale przyjaciół miałam i mam wielu.

Wypowiedziawszy te słowa, utkwiała wzrok swój w twarzy Janka, chcąc się przekonać, jakie wywarły na nim wrażenie.

Zazdrość targała teraz Jankiem w silniejszym stopniu niż przedtem. Krzyknął w uniesieniu:

— Ale od dziś będziesz należała wyłącznie do mnie! Będziesz tylko moja, bo w przeciwnym razie...

Nie dokończył zdania, ale za to oczy jego mówiły więcej, niżli to wypowiedzieć mógł głos ludzki.

W odpowiedzi na jego pogrożki roześmiała się dźwięcznym głosem:

— Gdy nabiorę przekonania, że naprawdę tylko mnie kochasz, stanie się wedle twego życzenia. A teraz idź! Czas najwyższy!

Popychała go lekko w stronę drzwi, a spojrzeniem przyrzekała mu wiele, gdy będzie posłuszny.

Janek zatrzymał się pośrodku pokoju. Nie miał sił, by stąd odejść. Błagał ją:

— Nie wypędzaj mnie! Oszaleję w oczekiwaniu na dzień jutrzejszy!

Tajemniczy głos podszeptnął mu, że Ada chce się go pozbyć, by przyjąć kogo innego. Uczynił ruch, jakby chciał coś zrobić na przekór. Ale Ada zwinnie odskoczyła w bok i oświadczyła:

— Musisz w tej chwili opuścić mój pokój!

Gdy pozostała sama w pokoju, przejrzała się w lustrze i rzekła półszepem:

— Podobam się ludziom i moją urodą dopnę wreszcie celu...

Położyła się do łóżka. Już nie myślała o Janku. Myślą wybiegała dalej, do swoich planów, które starała się za wszelką cenę zrealizować.

ROZDZIAŁ X

W świątku podziemnym ludzie byli zajęci sezonowymi robotami. Wielu się obłowiło, wielu powędrowało za kraty.

Krygier i Janek nie mieli powodów być zadowolonymi z tego sezonu.

O Reginie utwierdziło się przekonanie, że ich zdradziła i uciekła. Nie ulegało dla nich wątpliwości, że uczyniła to dla koliai brylantowej, którą przechowywała u siebie. Jedyne Krygier nie mógł się z tą myślą pogodzić. Intuicyjnie wyczuwał, że nie jest tak, ale fakty przemawiały za ogólnie przyjętym przypuszczeniem zdrady i ucieczki Reginy.

„To zagadka, to tajemnica — mawiał w duchu — ale kto ma klucz do jej rozwiązania?”

Zuchwałość Wołkowa dochodziła do tego stopnia, że kilkakrotnie dopytywał się Krygiera o Reginę. Rzucił nawet świadomie słowa:

— Boi się mnie czy co...

Ryzykowne przedsięwzięcie nocne Wołkowa w lochach Urzędu Śledczego udało mu się z powodzeniem. Pierwsze doniesienie o samobójstwie Reginy złożyła dozorczyńni, która weszła do celi, by podać aresztantce śniadanie.

Lekarz więzienny stwierdził samobójstwo przez powieszenie... Jedyńm człowiekiem, który miał wątpliwości, był Szczupak. Dla niego nie było to tajemnicą, co się kryje za niektórymi wypadkami „samobójstwa”. Nie ważył się jednak na głośne wypowiedzenie swych podejrzeń. W duchu jednak poprzysiął wykryć zabójcę.

Wołkow wyczuł myśli Szczupaka i postanowił go do reszty unieszkodliwić. Okazja ku temu akurat się nadarzyła i Wołkow postanowił jej nie pominąć.

Wołkow był inicjatorem obławy zarządzanej na Krakowskim Przedmieściu akurat w momencie, kiedy Krygier wraz z Jankiem i pozostałymi członkami bandy wybierali się na „robotę”. Wołkow, który był o tej robocie uprzednio poinformowany przez Krygiera, świadomie zarządził tę obławę. Wysłał umyślnie Szczupaka wraz z kilkoma wywiadowcami na Krakowskie Przedmieście... Wiedział, że banda Krygiera w obliczu niebezpieczeństwa nie będzie się ceregieliła z Szczupakiem i wpakuje mu „pulpecik” do główki... A tego właśnie pragnął jak najgoręcej.

Wółkow obserwował z pewnego oddalenia przebieg obławy, by na wszelki wypadek móc w odpowiednim momencie interweniować... Był gotów w razie zamieszania wystrzelić do Szczupaka, o ile sytuacja dopisze... Wszyscy będą przekonani, że to strzelał bandyta...

Ale Szczupak miał więcej szczęścia niż rozumu...

Auto policyjne, którym Szczupak ścigał Janka, pomknęło innym szlakiem. Janek ocalał, a plan Wółkova nie udał się. Szczupak wrócił cały i zdrowy.

Gdy powrócił do Urzędu, Szczupak dowiedział się, że ścigał Janka, o czym przedtem nie miał pojęcia. Dowiedział się o tym dzięki „dowodowi” w postaci futra i szkieletu spalonego auta.

Wółkow ubolewał z powodu nikłego wyniku obławy. Oczywiście mniej go obchodził fakt ucieczki członka bandy Krygiera. Nie mógł sobie wybaczyć tego, że Szczupak wyszedł z tej całej awantury bez szwanku. Ale, by nie zbudzić podejrzeń u Szczupaka, niczym nie zdradzał swego niezadowolenia z nieudolnej obławy.

Wółkow miał teraz duże troski, które go nie opuszczały: w jaki sposób pozbyć się Szczupaka i Krygiera. Ostatniego uważał za najniebezpieczniejszego przeciwnika, nie dając tego po sobie poznać. Przeciwnie, utrzymywał z Krygierem jak najserdeczniejsze stosunki, radząc się z nim nawet w takich sprawach, które mało mogły Wółkova dotyczyć.

Wtajemniczył Krygiera w różne plany policji śledczej. Jednym słowem — Wółkow uchodził za „swego” człowieka.

W postawie Janka zaszła wielka zmiana. Od czasu zbliżenia się do Ady Janek stale domagał się od Krygiera urządzenia nowych włamań. Potrzebował coraz więcej pieniędzy. Miłość do Ady była wyjątkowo kosztowna.

Następnego dnia po rozstaniu Ada przyjęła Janka z zimną obojętnością, jakby go po raz pierwszy widziała. Na próżno Janek przypominał jej przeżycia pełne rozkoszy i radości. Ada miała na wszystko jedną odpowiedź:

— Nigdy nie pamiętam, co ze mną było wczoraj...

Janek był gotów rzucić się na nią pięściami, zadusić jak gada. Ale wystarczyło jej jedno spojrzenie, by skurczył się jak robak, który drży, by nie zdeptano go nogą.

Zadała kłam przyrzeczeniu, rzekomo mu danemu, że razem opuszczą ten pensjonat. Utrzymywała, że Janek usiłuje jej wmawiać rzeczy, o których nie śniła. Janek przyznawał w duchu, że z podobnie wyrafinowaną kobietą jeszcze nigdy nie miał do czynienia.

Tego dnia przywiózł jej z Warszawy w upominku brylantowy pierścionek. Jakże wielkie było jego zdumienie, gdy Ada, po obejrzeniu kosztownego pierścionka z wszystkich stron, odezwała się:

— Mój drogi, nie masz gustu. Innym razem postaraj się o lepszy wybór.

Jankowi chciało się w tej chwili splunąć jej w twarz i krzyknąć coś ordynarnego.

Ale w tej chwili zbliżyła się do Janka, objęła go i zawołała:

— Twoją miłość cenię wyżej od brylantów. Chciałam cię tylko wypróbować — pokryła jego usta pocałunkami, które budziły w nim pożogę zmysłów.

Od tego dnia obsypywał ją cennymi podarunkami. Uderzał go fakt przyjmowania tych klejnotów z uczuciem niezadowolenia, jakby to wszystko jej się należało i jakby się tych upominków z góry spodziewała. Czyż naprawdę przypuszczała, że ma niewyczerpane źródło bogactw na stałe obwieszanie jej klejnotami?...

W ciągu jednego tygodnia Ada zdążyła ogołocić go z pieniędzy... Janek musiał zdobywać pieniądze.

Nadaremnie Krygier uprzedzał go, że czyni źle. Krygierowi nie trzeba było kłaść łopaty do głowy... Domyślił się, że Janek jest bezwolnym narzędziem w rękę przebiegłej kobiety. Krygier usiłował nawet wytłumaczyć mu, co to za kobieta. Ale Janek za każdym razem zmieniał temat rozmowy. Stał się chorobliwie zazdrosny, nie pozwalając nawet wymieniać jej imienia.

Nadaremnie Krygier przypominał Jankowi o istnieniu Anieli... Janek był we władzy demonicznej Ady. Im była kapryśniejsza, tym uleglejszy był wobec niej Janek.

Dnie i noce spędzał w jej pokoju, nie odstępując na krok. Ale nastał wieczór, Janek musiał się wybrać na „robotę”, którą zresztą sam uplanował... Ada zdążyła go kompletnie ogołocić z pieniędzy. A tymczasem przyszedł jej wyjazd do Sopotu, nad morze.

Była piękna, mroźna noc, kiedy Janek w towarzystwie Krygiera szedł jedną z głównych ulic warszawskich. W niedalekiej odległości za nimi kroczyli Antek i Felek. Mieli „obrobić” tej nocy pewien kantor wymiany.

Właściciele kantoru oświetlali lokal przez całą noc, a nadto co kilka minut przed kantorem przystawał nocny dozorca, który miał pod swoją pieczę szereg sklepów na tym odcinku. „Miotła” przystawała przed oświetloną wystawą, by sprawdzić, jak się ma stalowa kasa ogniotrwała, po czym oddalała się do dalszych punktów całonocnej obserwacji.

W pewnym momencie „miotłę” minęli dwaj eleganccy panowie z cygarami w ustach. Nie mieli „akurat” ognia, a dozorca nocny ćmił papierosa. Jeden z wytwornych panów w łamanej polszczyźnie, charakteryzującej cudzoziemca, poprosił dozorcę nocnego o ogień, wręczając mu wielkopańskim gestem suty napiwek w postaci dwóch cygar.

„Kawał” udał się Krygierowi. Dozorca nocny zaciągnął się cygarem i po kilku minutach spał snem kamiennym na stopniu przed jednym ze sklepów.

Niedługo trwało i banda Krygiera znalazła się w upatrzonym kantorze wymiany. W szybkim tempie załatwiła się z zamkami i ściankami kasy pancernej. Ledwie kasa została otworzona, z piersi Janka wydarł się okrzyk rozczarowania: w kasie znajdowały się tylko weksle protestowane oraz księgi handlowe. Krygiera wyprawa ta ubawiła. Wybuchnął śmiechem:

— Po raz pierwszy mi się coś podobnego wydarza! Nie ma co, ładną robotę wybrałeś...

Janek był wściekły. Jego mózg przebiegła myśl:

— Skąd teraz wezmę pieniądze na wyjazd z Adą do kasyna sopockiego?...

Gdy Janek był zajęty własnymi myślami, Krygier rozejrzał się dokładnie w sytuacji, po czym, dokonawszy pewnego odkrycia, ujął Janka za rękę:

— Widzisz to?

Janek skierował wzrok w stronę palca Krygiera. Zobaczył żelazne drzwi, przepasane dwiema sztabami, które prowadziły do drugiego przyległego pokoju.

Przystąpiono energicznie do roboty i wnet drugi „Sezam” został zdobyty. W drugim pokoju znajdowała się większa kasa.

— Oto tu leży skarb! — zawołał radośnie Janek.

Gdy zbliżyli się do niej i przyświecili latarką, zauważyli karteczkę przyczepioną, Krygier znów wybuchnął śmiechem.

„Szanowni Panowie Złodzieje! Prosimy uprzejmie o nierozpruwanie kasy, gdyż jest pusta”.

Janek pienił się ze złości.

— Ja ich nauczę! — wrzeszczał i przystąpił do dzieła.

— Oszalałeś? — zapytał go Krygier.

— Tę karteczkę umyślnie przyczepiono, by nas wprowadzić w błąd. Gotów jestem przysiąc, że tam jest grubszy pieniądz.

Ale Krygier oświadczył kategorycznie:

— Ruszamy stąd! I to natychmiast!

— Tobie nie trudno tak mówić, ale ja muszę mieć pieniądze.

Krygier spojrzął ostro na Janka i rzekł tonem rozkazującym.

— Natychmiast wynosić się stąd!

Janek musiał ustąpić. Skierowali się ku wyjściu. Felek przez cały czas stał „na cyngu”, obliczając w duchu, ile może mu przyspaść w udziale. Nie wątpił na chwilę, że tej nocy zarobek będzie suty...

Oddalając się, Krygier polecił Felkowi, by dał znać policjantowi, że na stopniu leży jakiś pan, który zasłabł.

Chodziło o dozorcę nocnego, który spał jeszcze, a mógł zmarznąć. Krygier nie znosił „mokrej” roboty...

Taksówką pojechali do Bajgele, który niecierpliwie oczekiwał ich powrotu. W domu Bajgele kompanowie po raz pierwszy wszczęli kłótnię. Janek biegał zdenerwowany i wściekły.

Krygier flegmatycznie prawił mu morały:

— Janku, nie poznaję cię. Twoje zachowanie napawa mnie niepokojem. Muszę wiedzieć, co to za kobieta wzięła cię w obroty.

Janek podskoczył do Krygiera i zawołał:

- A może mi nie wolno kochać na własną rękę?
- Wolno ci. Ale pamiętaj, że od kobiety do więzienia dzieli nas tylko jeden krok.
- Twoja w tym wina, że Aniela mnie porzuciła — oburzał się Janek. — Teraz nie uda ci się mnie oderwać od ukochanej.

Bajgele zbliżył się do Janka i z szelmowskim uśmiechem na ustach rzucił:

- Już kochasz inną? Miał wszak rację Stasiek Lipa, gdy twierdził, że nie potrafisz naprawdę kochać.

Krygier bębnił palcami po stole, po czym rzekł:

- Jutro wyjeżdżam stąd. Opuszczam Polskę.
- Co? — zadrżał Janek.
- Tak, kochany przyjacielu. Dłużej nie możesz być moim współnikiem.
- Skąd to nagłe postanowienie wyjazdu z Polski?
- Powziąłem tę decyzję po tym, gdy przekonałem się, że więcej nie nadajesz się na współnika.
- Od kiedy nabrałeś tego przekonania? — ironizował Janek.
- Nienawidzę ludzi, którymi rządzą kobiety. Od niedawna zmieniłeś się nie do poznania. Nie mogę nadal prowadzić z tobą wspólnych spraw. Mogę głowę dać za to, że kobieta, którą ukrywasz przed moim okiem, jest przebiegłą wywiadowczynią. Nasłano ją na nas, aby tym pewniej nas ujęto. Powiadam ci po raz ostatni: masz do wyboru albo ją, albo mnie, gdzie twój charakter złodziejski? Zawsze sądziłem, że będziesz mnie zastępował, ale teraz rozczarowałeś mnie.
- Widzę, że umiesz prawić morały. Nadawałbyś się na kaznodzieję — ironizował Janek. — Wara ci od mego intymnego życia.
- Nie chcę więcej wtrącać się do twoich spraw osobistych. Daję ci na to moje słowo. Jutro wieczorem jadę do Berlina, a stamtąd do Hamburga, gdzie wsiądę na okręt i wyjadę do Ameryki.
- Szczęśliwej podróży, miły towarzyszu. Tylko na odjezdne zostaw mi pięć tysięcy dolarów. Odczuwam brak gotówki.

Krygier spojrział na niego i rzekł:

- Aha!... Potrzebujesz pieniędzy. Rozumiem. Nowa kochanka potrzebuje pieniędzy?... Masz rację, nie należy w niczym odmawiać ukochanej. Ale, niestety, ode mnie grosza nie otrzymasz.

Janek w uniesieniu podskoczył do Krygiera i zagroził:

- Popamiętaj sobie, stary, że tego pożałujesz!

Krygier, jak gdyby nigdy nic, nie zareagował. Przylepiony uśmiezek nie zniknął mu z twarzy.

- To wszystko z twojej winy! — awanturował się Janek. — Gdyby nie ty, byłbym dziś najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi.
- Z kim byłbyś tak szczęśliwy? Z tą uczciwą dziewczyną? I ty ważysz mi się jeszcze o niej wspominać, szelmo?

Janek rozwścieczony podbiegł go Krygiera, wymachując pięścią przed nosem. Krygier siedział niewzruszony. Zimny. Opanowany.

Naraz stała się rzecz nieoczekiwana. Felek uderzył Janka od tyłu stołkiem w głowę. Strumień krwi trysnął z głowy Janka.

- Na kogo śmiałeś się zamierzyć? — unosił się stary Bajgele.

Krygier, nie tracąc zimnej krwi, zwrócił się do Felka:

- Ty, łachudro, kto cię prosił, abyś się wtrącił do naszej rozmowy? Zbliź się do mnie!

Felek chwiejnym krokiem podszedł do Krygiera, który wymierzył mu doraźnie dwa siarczyste policzki i dorzucił:

- Przeproś Janka w tej chwili!

Ale zanim Felek zdążył wymamrotać, że sam nie wie, dlaczego to uczynił, Janek dobył rewolweru i dwukrotnie wystrzelił. W ogólnym zamieszaniu Felek runął na podłogę, zalany krwią.

- Co to za „bohaterstwo”? — spytał Krygier lekceważąco Janka.

Janek stał zmieszany i blady. Z trudem oddychał. Błędnym wzrokiem wodził po twarzach obecnych.

— Oddaj rewolwer — rozkazał Krygier Jankowi.

Rozkaz został bez szemrania wykonany. Janek żałował teraz swego czynu. Wstrząsał nim widok przestrelonego kolegi, który leżał w kałuży krwi.

Janek, widząc, że stan Felka pogarsza się, padł na kolana i zaczął go błagać o przebaczenie.

Felek resztkami sił odpowiedział:

— Kapusiem nigdy nie byłem...

— Wybacz mi, wybacz!... — płakał Janek na głos. — Nie chciałem cię zabić!... Ach, po com to uczynił?...⁵⁰

— I ja niepotrzebnie porwałem się na ciebie... Bądźcie zdrowi... Umieram...

W pokoju zaległa grobowa cisza. Janek stał przykuty do miejsca zbrodni, zatopiwszy wzrok w zwłokach Felka. „Zimna kokota” szlochała, rzucając nienawistne spojrzenia na Janka.

W pewnym momencie Krygier odezwał się:

— Nie ma nad czym się zastanawiać: umarł, więc trzeba go pochować... Trzeba go stąd uprzątnąć.

Bajgele, odgrazając się pięściami Jankowi, wołał:

— Zamroziłeś go, zajmij się nim. Ja za to nie będę ponosił odpowiedzialności.

Milczek, który także był obecny przy tym zajściu, nie wypowiedział ani słowa, zdjął obrus, którym stół był nakryty i owinął nim zwłoki.

— Co zamierzasz uczynić? — spytał Krygier.

Milczek bez słowa przygotował się do wyjścia z „bagażem”.

*

W czasie, kiedy rozegrał się dramat w mieszkaniu Bajgele, Szczupak przebywał w tej dzielnicy. Miał oczy utkwione w jednym kierunku.

Po śmierci Reginy Szczupak nie odpoczywał. Trawiły go wyrzuty sumienia, że z jego powodu Regina zginęła w tak tajemniczych okolicznościach. Postanowił za wszelką cenę wykryć tę aferę. Nie wątpił teraz przez sekundę, że Wołkow omotany jest gęstą siecią niezbadanych tajemnic.

Szczupak ukrył się we wnęce bramy pewnego domu, przed którym przechadzało się kilku wywiadowców. Oczekiwali oni umówionego znaku od swego szefa.

Także i Szczupak niecierpliwił się. Czekał tu od dwóch godzin. Był dobrze poinformowany o wszystkich lokatorach tej dużej kamienicy, gdyż nikogo nie zatrzymywał ani spośród wchodzących, ani z wychodzących. Ukradkiem tylko spoglądał każdemu w twarz.

Jego drobna postać nie odrzynała się od bramy. Zresztą ludzie nocy nie byłiby go teraz poznali. W cywilu wydawał się jeszcze mniejszy i nie wzbudzał zainteresowania przechodniów.

Szczupak oczekiwał hasła od swego konfidenta, którego nasłał do tego domu. Szczupak zaczął się niepokoić brakiem wiadomości od swego wysłannika.

Współpracownik Szczupaka, jego najwierniejszy agent, znany w światku przestępczym z przydomka „Wątróbka”, krążył w pobliżu bramy, pogwizdując sobie na nutę znanej piosenki. Ostrożnie zbliżył się on do komisarza Szczupaka i szepnął cicho:

— Sprawa przestaje mi się podobać. Zdaje mi się, że nasza „Mesalka” zawiodła lub wprowadziła nas w błąd. Kto wie, czy ona nie należy do tej samej bandy tak samo jak tamta, która popełniła samobójstwo przez powieszenie w celi aresztu? Dziś nie można nikomu wierzyć, a w szczególności kobietom.

— Uspokój się. Konfidentkę tę znam dobrze. Niejedną bandę wykryła i wtrąciła do więzienia. Oho, ta szelma ze swoją urodziwą buzią i przebiegłością wszystko potrafi. Jestem przekonany, że jeszcze dziś w nocy banda będzie zlikwidowana.

— Gdzie ona teraz jest? — zapytał Wątróbka poufnie.

— Gdzież ma być, jeżeli nie w pensjonacie swoim. Janka mogliśmy już dawno pochwycić. Ale nam chodzi o zlikwidowanie całej bandy za jednym zamachem. Janek jest

⁵⁰ach, po com to uczynił?... — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: po co to uczynilem. [przypis edytorski]

w niej tak zakochany, że naprowadzi ją na ślady kompanów. Oho, ona potrafi trzymać go w szponach!

— Oby to się sprawdziło! — rzekł Wątróbka.

Wtem zbliżył się do Szczupaka jeden z wywiadowców, zasalutował i zameldował:

— Panie komisarzu, melduję posłusznie, że komisarz Wołkow delegował mnie tutaj, aby was wezwać do natychmiastowego przybycia do Ogrodu Zoologicznego na Pradze, gdzie ma być powzięta doniosła decyzja.

Szczupak po chwili zastanowienia się odparł:

— Nie możemy stąd się ruszać. Powiedz komisarzowi Wołkowowi, że nie mogę stąd odejść i by wezwał innych ludzi do pomocy.

Po oddaleniu się wywiadowcy, Szczupak znów ukrył się we wnęce bramy. Pomyślał w duchu:

„Dziś jeszcze będę miał konkretne wyniki. Nie rozumiem powodu, dla którego Wołkow chce nas koniecznie stąd uprzętać. A może on także...”

Potrząsnął głową dla odpędzenia tej myśli, która wydawała mu się herezją. Ale to nie przeszkadzało w utwierdzeniu się jego podejrzeń co do roli Wołkowa. Podejrzliwość jego wzrosła po próbie Wołkowa odciążenia go od jego punktu obserwacyjnego.

Naraz pewien mężczyzna wyslizgnął się z bramy. Szczupak jeszcze silniej przywarł do muru.

„Gdzieś widziałem już tę twarz? Gdzieś już widziałem tego gościa?...” — przebiegły mózg Szczupaka pyta.

Przechodzień przystanął, odchrząknął, jakby nadśluchiwał, po czym zapukał do drzwi prowadzących do sklepu frontowego.

W tej chwili z rozwartych drzwi wysunął się jegomość z ładunkiem na plecach. Światło latarni ulicznych padło na twarz jegomościa. Szczupak ledwie nie podskoczył z radości. Od razu rozpoznał Milczka, którego przed wielu laty zatrzymał, ale ten zdążył uciec z więzienia.

Szczupak aż skurczył się w ciemności, a jego pomocnik Wątróbka szedł krok w krok za Milczkiem, nie spuszczać go z oka.

Taksówka z pogaszonymi światłami zatrzymała się przed Milczkiem. Wyglądało to tak, jakby wszystko było umówione z góry. W mgnieniu oka Milczek wrzucił bagaż do taksówki, do której też wsiadł. Auto natychmiast ruszyło i z niebywałą szybkością pomknęło.

Wątróbka dobył gwizdka, by uderzyć na alarm. Ale Szczupak podskoczył doń i przeszkodził mu w tem.

— Teraz nie wolno nam wszczynać hałasu. Ptaki mogą wyfrunąć z klatki. Wiem, kto to był. Bądź spokojny.

— Ale ta paka... Ten ładunek — rwał się Wątróbka do pościgu — zawierał ludzkie zwłoki... Zdaje mi się, że dostrzegłem sterczące ludzkie nogi!...

— Spokojnie, towarzyszu — odparł Szczupak. — Nie mamy do czynienia z bandytami. Oni unikają mokrej roboty. To było złudzenie.

Nieznanym, który wyszedł z bramy i którego Szczupak zauważył, nie mogąc sobie przypomnieć, gdzie już tę twarz widział, był Bajgele. On stał na „cynk” i dał znać Milczkowi, że może wyjść. Bajgele nie zauważył agentów i spokojnie wrócił do swego mieszkania.

— Wszystko jest w najlepszym porządku — oznajmił Bajgele, powróciwszy do mieszkania. — Złoty chłopak był z tego Felka. Ryby w Wiśle będą miały pożywkę. Na płacz wzbierało, gdy patrzałem na jego nogi.

Janek siedział nieruchomo, jakby skamieniał. Krygier i Antek nie zdejmowali zeń oka.

W pewnej chwili Krygier wstał i, zbliżywszy się do Janka, rzekł:

— Chodź!

Janek, jakby przebudzony, zawołał:

— Dość mam podłego życia! Dziś zrobię ze sobą koniec!

Krygier wybuchnął śmiechem:

— To byłoby największe głupstwo z twojej strony.

— Nie, ja tego przeżyć nie mogę!... Felek, kochany Feluś!... Com uczynił z tobą?...

— tłukł Janek głową o ścianę.

— Zrobileś z nim to, co powinniśmy teraz uczynić z tobą — rzekł Krygier poważnie.

— Ale tego nie uczynimy, a wiesz dlaczego? Bo jeszcze jesteś nam potrzebny.

Janek spojrzał pytająco na Krygiera, jakby chciał coś wyczytać z jego twarzy.

— Jesteś nam potrzebny — ciągnął dalej Krygier — dla sfinalizowania naszych planów do końca.

— Jakich planów?

— Już zapomniałeś, widzę.

— To były urojenia. Jestem zgubiony.

— Tylko bez przesady. Nie trać nadziei, ani odwagi. Jeszcze jedną robotę wykonamy i jedziemy za granicę.

— Wszak już postanowiłeś opuścić Polskę beze mnie.

— Zamierzałem tak postąpić, ale pomyślałem, że lepiej będzie, gdy wykonamy wspólnie jeszcze jedną robotę. Wszak pozostałeś bez pieniędzy...

— Nie uważam cię wcale za tak dobrego, abyś się miał zatroszczyć o mnie... Gdy poprosiłem cię o pożyczkę, odmówiłeś... Na tym tle dopuściłem się zabójstwa Felka... To wszystko przez ciebie...

— Otóż dlatego... — rzekł Krygier. — Wziąłem to pod uwagę i nadal będziesz przy mnie. Tylko musisz mi dać słowo, że zerwiesz z tą kobietą, o której mi mówiłeś. Wybaczymy ci nawet zabójstwo Felka... Przepadło... Przypadek...

— Ale ja sobie tego nigdy nie wybaczę. — Przesłonił sobie Janek ręką twarz. — Taki dobry chłopak...

Antek, który przez cały czas był obecny i nie odzywał się słowem, krzyknął teraz pod adresem Janka:

— Wyrzutek!

Janek nie odpowiadał.

Bajgele wtrącił się do rozmowy:

— Umarłego się chowa i koniec. Po co o to teraz wszczynać spory? Musimy się teraz zająć żyjącymi.

Bajgele wraz z „Zimną kokotą” zmyli ślady krwi z podłogi, zacierając wszelkie ślady po zbrodni.

— Chodźcie! Musimy stąd odejść — rzekł Krygier do Janka i Antka.

— Nie zaczekamy na powrót Milczka? — spytał Antek.

— On będzie wiedział, gdzie jesteśmy.

Naraz zapukano dyskretnie do drzwi.

Zebrani zamienili ze sobą spojrzenia.

— Kto tam? — zapytał spokojnie Bajgele.

— Policja! Otworzyć!

— Ach, proszę bardzo! — zawołał Bajgele radosnym głosem, jakby go spotkał wyjątkowy zaszczyt, po czym otworzył drzwi.

Szczupak ze zdziwieniem spojrzał na zgromadzonych. Krygier z uśmiechem go powitał. Janek i Antek siedzieli przy stole, jakby nic szczególnego nie zachodziło.

— Co pan komisarz powie dobrego? — zapytał wesoło Bajgele. — Proszę niech pan siada, wszak jesteśmy starymi znajomymi.

Szczupak nie spodziewał się podobnego przywitania. Przez sekundę nie wiedział, co począć, ale wnet sięgnął ręką do kieszeni, skąd dobył gwizdka i chciał już uderzyć na alarm. W mgnieniu oka znalazł się w kleszczach żelaznych ramion Janka. Jakby na dany rozkaz wszyscy rzucili się na komisarza. Krygier przyłożył Szczupakowi rewolwer do głowy.

— Moi ludzie strzegą wyjścia. O ucieczce nie macie co marzyć.

— To nasza rzecz — odparł z zimnym, chytrym uśmiechem Bajgele. — Uprzedzamy cię tylko, że o ile tylko piśniesz słówkiem nawet, natychmiast będziesz wykończony na zimno. Nam już wszystko jedno. Zresztą ty na naszym miejscu postąpiłbyś nie inaczej.

Momentalnie skrzypowali Szczupaka powrozami, owinęli go w duży koc i ułożyli go tak na stole.

Bajgele zaczął się dowcipkować⁵¹ na temat Szczupaka.

— Po pierwsze, wielce szanowny panie komisarzy, musimy się ze sobą porozumieć. W dowód, że jesteśmy gościnni, chcemy pana czymś uraczyć.

Mówiąc to, otworzył mu siłą usta i wysypał garść czekoladek. Szczupak zaczął się dusić.

— Za suche?... Proszę wody — zawołał Bajgele i wlał mu z karafki trochę wody do ust.

Komisarz krztusił się jeszcze bardziej. Zbladł ze wstydu i strachu. Gorąco żałował w duszy, że odważył się sam przekroczyć ten próg.

— Kogo tu szukasz? — ciągnął Bajgele dalej. — Znaleźć tu możesz śmierć, a nie nas. Jesteśmy mądrzejsi od was. Powiedz, jacy konfidenci naprowadzili cię na nasz ślad?

— Co chcecie uczynić ze mną? — wybełkotał komisarz.

— To samo, co tyś zamierzał zrobić z nami. Wytransportujemy cię wnet na tamten świat.

Na twarzy Szczupaka ukazał się ironiczny uśmiech, zbladł jednak bardziej niż przedtem.

Krygier obserwował go przez chwilę, po czym zapytał:

— Czy wiele osób otoczyło nasz dom?

Szczupak kiwnął potakująco głową.

— A co wolisz: zostać przy życiu, czy wtrącić nas do więzienia?

Szczupak nie odpowiedział.

— Zaraz otworzę mu usta — krzyknął Bajgele.

Krygier odtrącił go w bok.

— Panie komisarzy — zwrócił się doń Krygier poważnym tonem. — Nigdy nie dopuściliśmy się mordu, jesteśmy dalecy od tego. Ale w obronie wolności popełnię wszystko.

— Wolę was zlikwidować. Nie lękam się śmierci.

— Czyli natychmiast po naszym odejściu podniesiesz alarm?

— Tak.

— Skoro tak, postaramy się już o to, byś nie mógł krzyczeć.

— Nie zdołacie jednak uciec. Cała ulica jest obstawiona moimi ludźmi.

— Pozostaw to nam. Poradzimy sobie...

— A gdzie jest naczelny komisarz Wołkow? — zapytał naraz Bajgele. — On jest mądrzejszy od ciebie. Nie łaziłby dzikiej bestii do paszczy.

Szczupak nie odpowiedział. Zamierzał wydobyć z siebie donośny okrzyk, by ludzie jego usłyszeli. Zresztą liczył na to, że sami przyjdą mu z pomocą, widząc, że tak długo nie wraca.

Bajgele zorientował się, co Szczupak ma zamiar uczynić. Więc nie zastanawiając się długo, mokrym ręcznikiem zakneblował mu usta...

„Źle ze mną — pomyślał Szczupak. — Ta banda mnie tu zakatrupi”.

W chwilę później kilka mocnych ramion uniosło go ze stołu i zrzuciło do otwartej piwnicy. Szczupak potoczył się ze wszystkich schodów...

Po czym wszyscy z Bajgele na czele opuścili lokal i pobiegli schodami na strych. Na czworakach czołgali się po dachach, aż znaleźli się na innej ulicy. Bajgele był specjalistą od podobnych wypraw, toteż wnet znaleźli się w pewnym miejscu, z dala od niebezpieczeństwa.

Szczupak leżał tymczasem pokaleczony i pokrwawiony w zimnej piwnicy. Ale żył. Wiedział, że nie grozi mu z ich strony poważniejsze niebezpieczeństwo, zastanawiał się tylko nad tym, jak się uwolnić od krępujących go więzów i zimnej piwnicy.

Szczupak natężył wszystkie mięśnie, sądząc, że powrozy pękną pod naporem jego siły, te jednak wpiły się tylko bardziej w jego ciało, sprawiając niewysłowiony ból.

Znosił katusze bez jęku. Myśl jego zaprzątnięta była tylko jedną sprawą: jak się stąd wydostać.

Po dłuższym wysiłku udało mu się wyrzucić z ust mokrą szmatę, którą mu wepchnął Bajgele. Mógł teraz krzyczeć i wzywać pomocy. Zdawał sobie jednak sprawę, że byłby to bezowocny wysiłek. Nikt by i tak nie usłyszał jego głosu.

⁵¹ zaczął się dowcipkować — dziś popr.: zaczął dowcipkować. [przypis edytorski]

Znów spróbował uwolnić się ze sznurów, którymi miał spętane nogi. Uczepił się o jakiś drąg żelazny i w pewnej chwili poczuł, że sznur na nogach pękł! Zerwał się z ziemi i uwolnił z krępującego koca oraz pozostałych sznurów. Po czym szczęśliwy wyprostował członki i wspiął się po drabinie, by się wydostać na zewnątrz. Okazało się jednak, że piwnica była od zewnątrz zamknięta.

Na próżno krzyczał z całych sił i wzywał pomocy. Głos jego ginął w grubych, kamiennych, pokrytych pleśnią murach piwnicy. Chłód przejął go na wskroś.

Naraz natknął się po ciemku na jakąś szafę. Sam nie wiedząc czemu, zaczął ją z całych sił odsuwać z zajmowanego miejsca.

Dokoła panowała cisza. Tylko od czasu do czasu wydawało mu się, że słyszy jakieś podejrzane szmery w piwnicy.

Na próżno szukał, jak się stąd wydostać...

Naraz usłyszał silne uderzenie od zewnątrz. Szybko wydobył rewolwer i wystrzelił kilkakrotnie raz po razie. Na próżno: nikt się nie odzywał.

Podejrzany szmer w ciemnej piwnicy stawał się coraz wyraźniejszy, coraz bardziej donośny. Szczupakowi wydawało się, że ktoś skrada się do niego. Cały zamienił się w słuch.

Stał z zapartym tchem. Oczy biegały dokoła, starając się coś rozpoznać w ciemności.

Wtem usłyszał głośny śmiech. Komisarzowi wydało się, że to drwi ktoś z jego bezradności. Uczynił krok naprzód, ale potknął się o ciężką skrzynię i upadł. Ogarnął go niesamowity strach. Serce waliło jak młotem. Ręce opadły ociężałe. Leżał na wpół żywy, dysząc ciężko.

Znów rozległ się śmiech w mroku piwnicy. Szczupakowi wydawało się, że słyszy obok siebie kroki.

Zerwał się z miejsca i krzyknął głośno. Odpowiedziało mu szczekanie psa. Włosy stanęły komisarzowi na głowie z przerażenia. Bał się poruszyć.

„To dopiero banda — pomyślał w duszy. — Mają tu wytresowanego psa, który czuwa nadę mną”.

Szczupak żałował, że wystrzelił wszystkie naboje i nie miał teraz czym się pozbyć surowego strażnika.

Szczupakowi wydawało się, że się już nie wydostanie z tego grobu. Miał ochotę krzyknąć, ale całą siłą woli zmuszał siebie do opanowania. Zdawał sobie sprawę, że wszelka agresywność z jego strony spotęguje tylko niebezpieczeństwo. Pies, którego nie widział, ale którego obecność czuł, przykuwał go do miejsca.

Wreszcie się zdecydował. Powoli zaczął się poruszać. Coraz odważniej. Dziwił się, że pies nie reaguje na jego swobodne ruchy. A jeszcze bardziej był zdumiony, gdy obmacał już całą piwnicę i nie natrafił na żaden ślad żywej istoty.

„To złudzenie... Nerwy... — pomyślał Szczupak w duszy. — Nikogo tu nie ma w piwnicy, prócz mnie”.

W tejże chwili światło zablęskotało w piwnicy. Oczy komisarza, przyzwyczajone do ciemności, nie widziały nic, co się dokoła dzieje. Światło natychmiast zgasło.

Szczupak nie wątpił już teraz, że jest strzeżony.

Obudził się w nim instynkt policyjny. Postanowił wy badać, co się tu dzieje. Powoli, ostrożnie rozglądał się dokoła. W kącie, tuż obok sufitu wymacał lampkę elektryczną. Zrozumiał, że musi się też w piwnicy znajdować kontakt, który przekręcono, by sprawdzić, co on porabia.

Rozległ się śmiech kobiety. Przyłożył ucho do wilgotnej ściany i usłyszał kilka głosów prowadzących rozmowę. Zorientował się, że grają w karty.

Zmęczony, wyczerpany, przybity fizycznie i moralnie opadł na skrzynię, która stała w kącie. Dygotał z zimna.

Naraz usłyszał, że auto zatrzymało się tuż obok piwnicy. Natężył wzrok. Słyszał wyraźnie, jak wynoszą ciężkie skrzynie z tamtej strony ściany, skąd przedtem doszły go głosy.

„Tam widać mieści się magazyn cennych kradzionych rzeczy — pomyślał — i teraz robią porządek...”

Jeszcze mocniej przywarł głową do muru. Wśród rozmawiających rozróżnił głos Bajgele.

„Jacy moi ludzie są głupi! — miotał się Szczupak w bezsilnej rozpacz. — Dlaczego nie domyślają się, że musiało ze mną coś zająć, skoro bawię tak długo. Ta banda tymczasem wyniesie się ze wszystkim, nie pozostawiając po sobie ani śladu. Wołkow będzie mógł słusznie pokpiwać ze mnie, że dałem się porwać złudzeniu i wydrwi moje opowiadania jako wykwit bujnej wyobraźni...”

Szczupak znał dobrze Wołkova. Wiedział, że lubi bagatelizować wszystkich. Przerwał każdemu opowiadanie lekceważącą uwagą:

— To zwykle romanse, nie ma co robić historii.

Szczupak czuł szum w głowie, dzwoniło mu w uszach. Bezwładny opadł na ziemię. Miotła nim febra. Usychał z pragnienia.

„Pół życia oddałbym za kroplę wody” — szeptał w duchu.

Piwnica zaczęła mu wirować przed oczyma... Zdawało się, że się stacza gdzieś w przepaść... Stracił przytomność.

Gdy odzyskał świadomość leżał w innej piwnicy. W kącie palił się koks w piecyku. Dwóch mężczyzn siedziało obok niego i przyglądało mu się uważnie.

Szczupak leżał na żelaznym łóżku z na wpół przymkniętymi oczami. Zdawało mu się, że śni. Powoli zaczynał sobie zdawać sprawę, gdzie się znajduje, w czyich rękach.

— Co zamierzacie ze mną uczynić? — zapytał swych strażników z wyrzutem.

Milczek powstał z miejsca i cicho odpowiedział:

— Nie uczynimy ci nic złego.

— Po co mnie więzicie?

Milczek wyjął zegarek i odpowiedział tym samym spokojnym tonem:

— Jeszcze godzinę cię tu przetrzymamy. Potem będziesz wolny.

Przez dłuższą chwilę panowało milczenie. Szczupak śledził Milczka wzrokiem.

— Czy mogę wam ufać?

A mózg jego przebiegła myśl:

„Czyż to możliwe, by mnie wypuścili? Zbyt wiele się dowiedziałem, leżąc w tej piwnicy...”

Milczek podchwycił jego myśli i odparł:

— Nie obawiamy się ciebie. Bądź spokojny. Dotrzymam słowa.

— Więc po co zamknęliście mnie w tej piwnicy?

— Musieliśmy wyprzątnąć stąd wszystko, by zaoszczędzić policji pracy.

Milczek roześmiał się dobrodusznie z własnych słów i poczęstował komisarza cygarem.

— Dziękuję. — Nie mógł się Szczupak nadziwić zimnej krwi Milczka. — Nie palę.

— Może pan się napije, panie komisarzu. To bardzo dobrze robi na uspokojenie nerwów. Proszę nam wybaczyć, żeśmy pana nabawili strachu. Musieliśmy wypełnić nasz obowiązek!

Milczek nalał szklankę wódki i podał ją Szczupakowi. Widząc, że komisarz waha się, dodał:

— Może pan spokojnie wypić, panie komisarzu. Jesteśmy spokojnymi, uczciwymi złodziejami. Nie uznajemy trucizny ani mokrej roboty.

Szczupak roześmiał się mimo woli. Po raz pierwszy w życiu znajdował się w podobnej sytuacji. Nie mógł się nadziwić uprzejmości Milczka, jego spokojowi, gdy go namawiał do wypicia wódki. Żenowała go jego gościnność. Milczek zachowywał się jak spokojny obywatel, który podejmuje gościa, nie wroga.

Szczupak zapomniał na chwilę po prostu o tym, co przeżył w tej piwnicy. Bawiła go nawet obecna sytuacja. Duszką wychylił szklankę wódki i wnet poprawił mu się humor.

— Która godzina? Czy długo jeszcze będę waszym jeńcem? — zapytał komisarz, usiłując podnieść się z łóżka.

— Jeszcze trzydzieści minut, panie komisarzu.

Drugi z dwóch strażników, którym był Antek, grzał się spokojnie przy piecyku i czytał gazetę.

— Czy nie obawiacie się — zapytał komisarz — że lada moment mogą tu wpaść moi ludzie i was związać?

— Nie, panie komisarzu. Pamiętamy o wszystkim i zabezpieczyliśmy się też przed tą ewentualnością.

— A jednak. Jesteście tylko poszczególnymi jednostkami. A my, policjanci, mamy do pomocy wojsko, broń, armaty, więzienia. Mamy przeciwko wam całą opinię publiczną. Jesteście wobec nas jak robactwo, które można wytępić każdej chwili.

— Panu się wydaje, panie komisarzu. W rzeczywistości sprawa przedstawia się zupełnie inaczej. Gdyby nie zdrajcy, nigdy byście nie natrafili na nasze ślady. Nigdy. Rozumie pan?

Milczek utkwiał wzrok w komisarzu. Przez chwilę zaigrały w jego oczach dziwne płomyki. Cała otchłań nienawiści, jaką czuł do tego typu ludzi co Szczupak, odmalowała się w jego spojrzeniu. Ale po chwili opanował się i twarz jego przybrała dotychczasowy wyraz uprzejmej gościnności.

Antek odłożył gazetę i spojrzał wrogo na Szczupaka. Milczek dał mu znak, by się nie unosił. Komisarz żałował w duchu postawionych pytań.

— Jednak radziłbym wam zmienić dotychczasowy tryb życia — przybrał Szczupak ton ojcowski.

— I my byśmy panu radzili nas dłużej nie prześladować — odpowiedział Milczek tym samym tonem. — Innym razem może pan wpaść w takie ręce, które się nie powstrzymają przed mokrą robotą.

Antek, który nigdy nie widział Milczka tak elokwentnego, uważnie przysłuchiwał się jego słowom.

Szczupak przechodził katusze. Każda chwila wydawała mu się wiecznością. Chciałby się czym prędzej znaleźć po tamtej stronie piwnicy i odetchnąć świeżym powietrzem. W duszy podziwiał ludzi nocy i ich postępowanie. W pewnym momencie pomyślał nawet, że, gdyby go teraz puścili na wolność, nie prześladowałby ich, bo nie wyrządzili mu krzywdy. Nie rezygnował jednak i nie wspominałby przed nikim o tej przygodzie. Gotów był tak postąpić z wielu względów. Przede wszystkim dlatego, że nie wypadało by mu przyznać się, że w tak głupi sposób dostał się w ich ręce.

Po drugie, chciałby w ten sposób odwdziżyć się swoim oprawcom za to, że mając go w ręku, nie z myśli dalszego ich tropienia...

Antek, który przez cały czas obserwował Szczupaka z dziwnym uśmiechem na ustach, zbliżył się do Szczupaka i przemówił doń:

— Przepraszam pana, panie komisarzu, ale mam wrażenie, że pan ściska prawą ręką w kieszeni rewolwer. Proszę mi go oddać. Zimna stal w kieszeni zbytnio pana denerwuje. Kto jak kto, ale my się znamy na tym, co to znaczy znaleźć się w cudzym ręku i staczać jednocześnie walkę, czy stosować terror. To paskudne uczucie, nieprawdaż, panie komisarzu?

Szczupak zatopił swój wzrok w twarzy rozmówcy, jakby chciał ją dobrze utrwalić w swojej pamięci i odrzekł:

— Byłbym już dawno zrobił użytek z rewolweru, tylko, że już zdążyłem wystrzelić wszystkie kule. Dziwię się właśnie, że pozwoliliście na to, abym zachował rewolwer...

— To był z naszej strony wielki błąd — wtrącił się Milczek do rozmowy. — Gdybyśmy nie popełniali błędów, nigdy byśmy nie wpadali w wasze ręce. Jesteśmy tylko ludźmi, a zatem i omylnymi.

Szczupakowi nie brakło odwagi i energii w obliczu niebezpieczeństwa. Rzeczywiście tak było, że zimna stal broni parzyła jego palce. Buntował się przeciw samemu sobie, że może z takim spokojem przebywać w towarzystwie przestępców i być przedmiotem ich kpin oraz złośliwych uwag: On, komisarz policji, na zew którego stanęłyby liczne zastępy policji do boju, igraszką w ręku bandy, którą postanowił za wszelką cenę wytropić.

Milczek ciągnął dalej:

— Wydaje mi się, że gdyby nawet pan miał przy sobie drugi magazyn kul, nie ważyłby się pan na stawianie oporu. Pan nie jest na tyle naiwny, by nie mógł zrozumieć, że z tej nierównej walki wyszedłby przegrany.

Naraz Szczupak dobył rewolweru i zawołał:

— Ręce do góry!

Milczek i Antek cofnęli się instynktownie o krok w tył. Twarze ich pokryła śmiertelna bledość.

— Ręce do góry!!! — krzyknął z całych sił Szczupak, zbliżając się powoli w kierunku przerażonych kompanów.

Ale wnet Szczupak roześmiał się i rzucił rewolwer w kąt.

— A jednak obleciał was strach przed śmiercią — ironizował Szczupak. — Wasze szczęście, że naprawdę nie mam czym strzelać. Ale przekonałem się, że z was niewielcy bohaterowie. Wasza odwaga wyraża się w tym, że chwyacie przeciwnika w swe ręce niespodzianie. Dokonujecie cudów, gdy przeciwnik śpi. W gruncie rzeczy jesteście tchórzami.

Rozmówcy Szczupaka czuli się tymi uwagami dotknięci.

Milczek zareagował:

— Skoro przypuszczasz, żeśmy się obawiali, jesteś w błędzie. Śmierci się nie boimy. Bolało nas tylko, że nie pozbawiliśmy ciebie broni przedtem. A teraz czas na nas. Musimy się rozstać.

Przy tych słowach Milczek przyłożył lufę rewolweru do skroni komisarza.

— Aha! — zawołał Milczek z satysfakcją. — Zbladłeś nie gorzej od nas.

Szczupak odparł:

— Jeżeli mnie zabijecie, potwierdzicie swoim czynem moje słowa, że jesteście tchórzami.

— Ani słowa więcej, bo będę strzelał! — zagroził Milczek.

Szczupak zsiniał z przerażenia.

Milczek i Antek parsknęli śmiechem:

— Uspokój się pan, panie komisarzu, włos z głowy mu nie spadnie. Jesteśmy gościnni. Zwracam panu tylko uwagę, że, o ile pan tylko się zastosuje do naszych życzeń, wszystko będzie w najlepszym porządku. Ale, pamiętaj pan, że... możemy pana wykończyć każdej chwili. Chcemy, aby nasze rozstanie było takie, jak przystoi na przyzwoitych rozpruwaczy i inteligentnego komisarza policji.

Szczupak, uśmiechając się, pokiwał głową.

— Postąpimy z panem po ludzku — ciągnął dalej Milczek — chociaż pan czatuje na nas, by zamknąć za kratami. Mamy nadzieję, że po tym, co między nami zaszło, przestanie pan nas prześladować. Człowiek winien być wdzięczny za okazane mu względy.

— O ile mnie dziś zwolnicie, będę na przyszłość ostrożniejszy. Daję wam słowo, że w ciągu krótkiego czasu wasza banda będzie zlikwidowana.

— Jeżeli tak — zaperzył się Antek — obejdziemy się z panem nie po dżentelmeńsku. Może pan pożegnać się z tym światem!

Milczek chwycił go za rękę:

— Nie uczynisz tego. Otrzymaliśmy rozkaz niekrzywdzenia komisarza. Rozkaz ten musi być wykonany. Mam na komisarza inną radę.

Milczek wyciągnął ze skrzyni grube powrozy.

— Panie komisarzu, poproszę o rączki....

— Proszę. Nie mam zamiaru bronić się. Jestem przekonany, że stąd nie wyjdziecie. Moi ludzie strzegą wejścia i wyjścia.

Milczek związał Szczupakowi ręce sznurem. Ułożył go na ziemi, po czym rozglądał się po kątach.

— Czego szukacie? — zapytał Szczupak. — Może wam mogę dopomóc?

— Szukamy czystej szmaty dla zatkania panu ust, by krzyczeć nie mógł.

— A gdy wam dam słowo honoru, że krzyczeć nie będę?

— O ile pan się zobowiąże, że w ciągu dwudziestu minut nie będzie się ruszał z miejsca, zdejmę panu nawet powrozy.

— Czyż mam co innego do wyboru? — odparł Szczupak.

— A więc pan przystaje na moje warunki?

Antek nie wytrzymał i zawołał:

— Co zamierzasz uczynić? Czy zdajesz sobie sprawę z ogromu odpowiedzialności, jaką bierzesz na siebie? Postępujesz wbrew otrzymanym rozkazom!

— To moja rzecz. Nie cofam słowa — rzekł Milczek.

Uwolniwszy Szczupaka, Milczek zapytał:

— Możemy iść?

— Tak. Ale pamiętajcie, że po upływie 20 minut uczynię wszystko, aby was dostać w swoje ręce.

— Do widzenia! — rzekli dwaj towarzysze Krygiera na pożegnanie. — Zostawiamy panu drzwi otwarte. Ale musi tu pan pozostać 20 minut czasu. Sądzymy, że pan dotrzyma słowa.

— Naturalnie. Do widzenia! Moi ludzie oczekują was na ulicy!

Szczupak nerwowo przechadzał się po piwnicy, spoglądając co chwila na zegar. Wreszcie upłynęło 20 minut...

ROZDZIAŁ XI

W jednym z najelegantszych pensjonatów pod Nowym Jorkiem panował ruch ożywiony. Goście poruszali się z dystynkcją, nie zważając na siebie. Wszystko tu odbywało się w nastroju sztucznym, sztynnym. Służba murzyńska stała na umówionych miejscach, pełna oczekiwania na najmniejszy rozkaz wyfraczonych panów i wydekoltowanych pań.

Większość gości rekrutowała się z posażnych, ale starszych pańien i podtatusiałych kawalerów, którym interesy nie pozwalały na to, by w porę zainteresować się zmianą stanu cywilnego. Goście tu sprawiali wrażenie, jakby byli pokłóceni z całym światem i nawzajem się nie znosili.

Jedynie dwie osoby wyróżniały się w tym towarzystwie, ściągając powszechną uwagę. Byli nimi Stasiek Lipa i jego córka Aniela.

Oboje podróżowali po całym świecie, a gdy dotarli do Nowego Jorku, Stasiek Lipa umyślnie wybrał ten osobliwy pensjonat w przeświadczeniu, że w tym towarzystwie jego urodziwej córce nic grozić nie może...

A Aniela rozkwitała i promieniała swoją urodą, budząc wszędzie powszechny zachwyt dla swej osoby.

O Janku nie mogła zapomnieć. Im bardziej oddalała się od Warszawy, tym silniejsza trawiła ją tęsknota.

Stasiekowi nie był obcy jej stan psychiczny. Nie spuszczał jej z oka. Na okręcie Aniela dostawała silnych ataków nerwowych i była bliska obłądu. Pozostawała pod opieką lekarza okrętowego. Imię Janka nie schodziło z jej ust. Z biegiem czasu opanowała wybuchy płaczu. W duszy przywiązanie do Janka wzmacniało się z każdym dniem.

Stasiek Lipa robił w pensjonacie wrażenie starszego przemysłowca, który odbywa podróż w towarzystwie córki. Wszędzie panowie oprowadzali Anielę poządlivymi spojrzzeniami, nie mogąc sobie wybaczyć, że Stasiek Lipa nie opuszcza córki ani na chwilę.

Anieli me zależało na towarzystwie mężczyzn. Przeciwnie, starała się zapomnieć o nich.

Pewnego razu Aniela próbowała nawet uciec do Europy, do swego ukochanego. W ostatnim momencie przed ucieczką opanowała się, zdając sobie sprawę z tego, że byłoby to dobiło jej ojca do reszty.

W oczach Staśka Lipy Aniela nie była dorosłą panną, kobietą dojrzałą, lecz małym dzieckiem, którego nie można zostawić na chwilę bez opieki. Razem spędzali czas, przy jednym stole spożywali posiłki, w jednym nocowali pokoju.

W czasie długich spacerów Stasiek opowiadał córce dzieje swego życia. Aniela nie czuła teraz do niego urazy, ani nie żywiła do niego nienawiści lub pogardy. Przeciwnie, słuchając tych straszliwych historii, budziło się w niej współczucie⁵². Nikt jak ona nie mógł zrozumieć jej ojca. Była przekonana, że jej ojciec byłby zupełnie innym człowiekiem, gdyby los inaczej pokierował jego życiem.

Stasiek Lipa postanowił zabawić dłużej w tym pensjonacie, by oddać córkę dłuższej kuracji nerwów.

Po kilkudniowym pobycie w pensjonacie, gdy Aniela siedziała wieczorem w pokoju, u okna naraz zauważyła młodego człowieka, który jej się uklonił z elegancją.

Anieli utkwiła wzrok w przybyłym, który żywo przypomniiał jej Janka.

Naraz Aniela odskoczyła od okna. Po chwili Aniela znów podeszła do parapetu okna. Nieznajomy stał na tym samym miejscu, zapatrzony w okno pokoju Anieli. Teraz przyjrzała mu się bliżej. Był to mężczyzna lat dwudziestu ośmiu, wysoki, wysportowany, o niebieskich oczach. Blond czupryna ozdabiała jego głowę.

⁵²*słuchając tych straszliwych historii, budziło się w niej współczucie* — popr.: gdy słuchała tych straszliwych historii, budziło się w niej współczucie. [przypis edytorski]

Aniela odeszła od okna zawstydzona, że tak długo obserwowała nieznajomego. Serce jej z niewiadomej przyczyny zabiło mocniej.

Usiadła zadumana. Nawiedziły ją marzenia. W wyobraźni ujrzała ukochanego Janka i zagrały w niej namiętności. Naraz odżyła w jej pamięci scena w pokoju hotelowym, kiedy przed przybyciem policji Janek rzucił się na nią.

A po chwili ujrzała siebie w objęciach komisarza Żarskiego. Uczucie strachu przejmowało ją teraz na myśl, że Żarski już nie żyje. Nie wątpiła, że komisarz kochał ją prawdziwie. Niejednokrotnie przeżywała wyrzuty sumienia, że z jej powodu popełnił samobójstwo.

Również niegodziwiec Moryc wypłynął teraz w jej wyobraźni. Przypomniła sobie pobyt w willi Krygiera w Poznaniu oraz nocną nieproszoną wizytę Moryca w jej pokoju. Była zadowolona, że go wówczas spoliczkowała.

Na wspomnienie o tym bliska była wybuchu śmiechu. I nie wiedziała, dlaczego naraz pragnęła go tu zobaczyć w Ameryce. Tęskniła za widokiem znajomej twarzy, za człowiekiem, który miał coś wspólnego z jej przeżyciami przeszłości. Wiedziała, że Moryc jest Amerykaninem i że mieszka w Nowym Jorku.

Rozmyślając o tych rzeczach, czuła, że jej serce bije niespokojnie, tęskni za czymś, co ludzie nazywają miłością. Opanowało ją uczucie niepokoju.

Rozważania te i wspomnienia obudziły w niej niebieskie oczy nieznajomego, który stanął pod jej oknem.

Stasiek Lipa wiedział, jak trafić do serca Anieli, dobrym słowem wpłynął na córkę, by coraz mniej myślała o Janku, a w duchu postanowił wyszukać dla Anieli odpowiedniego kandydata na męża, człowieka uczciwego.

Zdrowie Staśka Lipy pogarszało się z każdym dniem. Coraz częściej dostawał ataków sercowych... Niewiele spodziewał się od życia. Pragnął tylko umrzeć już po tym, gdy córka jego znajdować się będzie przy boku godnego jej męża.

Chwilami był nawet gotów oddać córkę matce, hrabinie. Czyż dziecku może być źle u matki? Ale po chwili rozważki porzucił tę myśl.

„Żyję jeszcze i potrafię urządzić jedyną córkę” — strofował samego siebie w duchu.

Tego wieczora doszło między ojcem a córką do zasadniczej rozmowy.

Było to tak.

Gdy nieznajomy odszedł, Aniela zaczęła przeglądać się w lustrze, kokietując samą siebie. Przekonała się, że jest piękna i powabna.

Wtem Stasiek Lipa, który przez cały czas drzemał w fotelu, obudził się. Zdumiony spojrzął na Anielę wystającą przed lustrem.

— Co się stało? — zapytał Stasiek Lipa.

— Nic. Bardzo się cieszę, że już nie śpisz. Smutno mi bez ciebie.

— Z tego powodu przeglądałaś się w lustrze?... Powiedz, co ci już strzeliło do głowy. Widać, coś zaszło podczas mego snu?

— Nie, ojciec.

— Nie powinnaś niczego przede mną ukrywać.

— Trzymasz mnie jak więźnia w celi. Nawet własnych myśli mieć mi nie wolno!...

— Tupnęła Aniela nóżką.

Słowa te spadły na Staśka niespodzianie... Zrozumiał teraz, że Aniela jest dojrzałą kobietą i że nie można jej więzić. Owszem, jest jej ojcem, ale córka musi mieć swoje towarzystwo.

Przez dłuższy czas Stasiek Lipa siedział pogrążony w rozmyślaniach. Gdy wstał i wyprostował się, rzekł do córki:

— Z dniem dzisiejszym zmieniamy nasz tryb życia...

Aniela spojrzała na niego pytająco.

— Jestem zbyt egoistycznie nastrojony. — Uśmiechał się gorzko Stasiek Lipa. — Niedobrze postępowałem, trzymając cię stale przy moim boku. Jestem stary, a ty młoda. Chociaż jestem twoim ojcem, stałe przebywanie w moim towarzystwie może ci się wreszcie znudzić... Zdaję sobie sprawę z tego, że wolisz przebywać w otoczeniu wesołych, roześmianych twarzy...

Naraz Stasiek urwał. Jego uwagę przykuł pewien mężczyzna, który stał oparty o drzewo i zaglądał do ich pokoju.

Aniela zbliżyła się do okna, by zobaczyć, kim się ojciec naraz zainteresował. Ujrawszy stojącego opodal mężczyznę, Aniela odruchowo odskoczyła...

Stasiek Lipa wybuchnął śmiechem.

— Ach, tak się rzeczy mają! — rzekł ojciec. — A mnie nic nie mówiłaś! Wy, kobiety, nawet na odludziu znalazłybyście okazję do flirtu.

— Ależ ojczu, zapewniam cię że nie znam tego pana — odparła zarumieniona Aniela.

— To obojętne. Oświadczam ci, moja droga, że od dziś masz absolutną swobodę. Tylko proszę cię, nie zakochaj się od razu i na zabój. Człowieka należy uprzednio poznać. Powiedz mi, kochanie, jak długo tak trwa wasz flirt przez okno? Że ten młody człowiek, który stał pod oknem jest w tobie zakochany, nie ulega dla mnie wątpliwości.

Aniela opowiedziała ojcu o tym, w jaki sposób „poznała” nieznanego. Stasiek Lipa znów podszedł do okna, by bliżej przyjrzeć się stojącemu mężczyźnie, który udawał, że przebywa w ogrodzie okalającym pensjonat. Aniela, stojąc za ojcem, mogła niepostrzeżenie obserwować młodego człowieka.

Odeszli od okna na skutek dzwonka u drzwi. To pokojówka podała im kolację, którą spożyli w milczeniu. Oboje czuli, że między nimi urosła ściana. W ich życie wdarł się ktoś trzeci. Aniela rozmyślała nad tym, jak zapozna się z przystojnym Amerykaninem, który przypadł jej do gustu. Zrezygnowała z miłości do Janka. Zmysły zabiły w niej resztki uczucia do ukochanego, który został daleko w Europie.

Tej nocy ani Stasiek Lipa, ani Aniela nie zmrúżyli oka.

Nazajutrz na spacerze ojciec zapytał córkę:

— Gdybyś się zakochała, wyszłabyś za mąż?

— Chyba... — Zaśmiała się Aniela.

— A co byłoby z nim?

Aniela oburzona odparła:

— Dlaczego mi go przypominasz?

— Świadomie to uczyniłem... Chcę, abyś była szczęśliwa. O ile tęsknisz za tym wyrzutkiem, nie wolno ci się z innym związać.

— Bądź o to spokojny, ojczu. Należę do tego typu kobiet, które nie kochają po raz drugi.

— Co?... A zatem kochasz tylko tamtego?

— Tak. I kochać go będę zawsze. Nawet nie możesz sobie wyobrazić, jak tęsknię za nim. Co prawda, dawno już o nim nie wspominałam... Chciałam zapomnieć... Bardzo często wydaje mi się, że Janek nie istnieje, że nie ma go na tym świecie. Nawet nie możesz sobie wyobrazić, jak tęsknię za nim.

Stasiek Lipa uśmiechnął się zjadliwie. Zatrzymał się na chwilę, rozejrzał, czy nikt go nie podsłuchuje — i zdecydowanym tonem odpowiedział:

— Postanowiłem ci dłużej nie przeszkadzać. Pozostawiam ci od dziś zupełną swobodę. Nie będę ci w niczym zawadą.

— Nie kochasz mnie już więcej, ojczu?

— Właśnie dlatego, że cię kocham, nie chcę cię więcej krępować. Nie będę dłużej chorobliwym egoistą.

Aniela podziękowała ojcu spojrzeniem i odpowiedziała:

— Mówisz to szczerze, ojczu? Wszak nikt tak jak ty nie zdoła tego pojąć, jak przykro jest znajdować się stale pod czyjąś kontrolą.

— Masz na myśli więzienie, dziecko? Słusznie, nie miałem prawa z tobą tak postępować.

— Nie oskarżam ciebie, ojczu. Rozumiem cię w zupełności.

— A ja mam nadzieję, że postarasz się mnie przekonać, iż moja kontrola była istotnie zbyteczna. Liczę na twoją inteligencję i twój charakter, że wskażą ci należyłą drogę, by nam obojemu nie wypadło żałować.

Aniela posmutniała i utkwiała w ojcu błagalne spojrzenie.

Lipa odezwał się:

— Czy ciągle jeszcze myślisz o nim?

Aniela nie odpowiedziała, tylko ręką wskazała na okolicę serca.

Lipa ujął dłoń córki i uściśnił ją serdecznie. Przez dłuższą chwilę spacerowali, nie odzywając się do siebie słówkiem.

— Ojczy! — zatrzymała się Aniela.

— Czego chcesz, Anielciu?

— Chcę wrócić do Warszawy, do Janka — wyrzuciła z siebie jednym tchem.

Lipa roześmiał się głośno.

— Powiedziałem, że zwracam ci samodzielność i nie zmienię swego słowa.

— Pozwalasz mi odjechać? — rzuciła się Aniela ojcu na szyję, pokrywając jego czoło pocałunkami.

— Nawet dziś. Wolno ci robić, co chcesz — odpowiedział Stasiak Lipa spokojnie, ale w myśli układał już plan, jak by ją powstrzymać od wyjazdu.

— A ty, ojczy, pojedziesz ze mną?

— O nie, dziecko, nie mogę wrócić. Pragnę zapomnieć o przeszłości.

Aniela sępniała. Staczała z sobą walkę. Z jednej strony żal jej było starego ojca, a z drugiej ciekawa była wiedzieć, co się dzieje z Jankiem.

W swej rozkochanej wyobraźni widziała go wciąż złamanego, niepocieszonego po jej stracie. Nie przyszło jej wcale na myśl, że inne kobiety zajęły miejsce w jego sercu. Nie zdawała sobie sprawy, że Janek jest tego typu człowiekiem, który nie potrafi kochać na odległość. Wyobrażała sobie w myśli, jak będzie wyglądało ich spotkanie, jaki on będzie szczęśliwy. W duszy postanowiła już na wieki zostać przy nim...

— Trudno mi będzie rozstać się z tobą, ojczy — szepnęła.

— Nie mniej niż mnie z tobą, dziecinko — odparł Lipa, odwracając głowę.

Znów milczeli. W pewnej chwili Aniela odwróciła do ojca twarz i jednym tchem wyrzuciła z siebie:

— Mówisz poważnie, że pozwalasz mi wrócić do Janka?

— Tak.

— Nie będziesz mi robił trudności?

— Nie.

— I dasz mi pieniądze na drogę?

— Wiele tylko⁵³ zapragniesz.

Aniela zamyśliła się i utkwiała nieme spojrzenie w ojcu.

— Rozumiem cię, kochanie — odezwał się Lipa łagodnie do córki. — Staczasz ze sobą walkę. Sama nie wiesz, kto jest ci droższy: ojciec czy ukochany. Tak, w twoim wieku nie wie człowiek, czego chceć — zakończył Lipa melancholijnie.

— Ja wiem, czego chcę — zawołała Aniela zdecydowanym tonem. — Jutro wracam do Polski. Muszę się z nim zobaczyć.

Stasiak Lipa zbładł... Zabolało go, że córka wybrała Janka, nie jego. Mało ją obchodziło, co się stanie z ojcem, gdy go pozostawi samego... Rwie się do ukochanego. Lipa był bliski rozpacz.

Przez cały dzień Aniela szykowała się do podróży. Lipa wyszedł z domu, mówiąc córce, że udaje się na miasto celem załatwienia związanych z podróżą formalności.

Faktycznie udał się do pobliskiego lasku i w rozpaczę tłukł głową o drzewa. Nie bolało go to, że córka od niego ucieka, ale nie mógł sobie darować, że Aniela całą duszą jest przy Janku. Ojciec jest dla niej na drugim planie.

Lipa należał do ludzi, którzy nie cofają się przed żadnym ryzykownym przedsięwzięciem prowadzącym do celu. W duchu postanowił za żadną cenę nie dopuścić do wyjazdu córki. Odegrał swą rolę według z góry opracowanego planu.

Przed wieczorem podszedł on do owego młodzieńca, który poprzedniego dnia zaglądał do jego pokoju. Upřednio poinformował się o nim, że jest to młody inżynier, syn bardzo zamożnych rodziców i bawi w tej okolicy na wywczasach.

— Przepraszam pana — zwrócił się Stasiak Lipa do młodego mężczyzny. Ale zanim zdążył coś jeszcze powiedzieć, młody człowiek z zadowoleniem wyciągnął pierwszy rękę i rzekł:

— Czy mogę służyć ojcu urodziwej córki? Już od dawna chciałem pana osobiście poznać.

⁵³wiele tylko — dziś: ile tylko. [przypis edytorski]

Stasiek Lipa ściągnął groźnie brwi i odpowiedział:

— Po pierwsze, poprosiłbym pana, by nie zaglądał tak natarczywie do mego pokoju poprzez okno. Po drugie, by pan przestał interesować się moją córką.

Młody człowiek zmieszał się. Słowa Staśka Lipy spadły nań jak grom z jasnego nieba. Po chwili opanował się i wyjąkał na swoją obronę:

— Bardzo przepraszam, że moim zachowaniem niepokoiłem pana. Zapewniam pana, że nie miałem na myśli nic złego. Szukałem okazji osobistego zetknięcia się z córką pana. Tu w pensjonacie można oszaleć. Zebrało się tu dziwne towarzystwo, które wzajemnie się unika.

— Ludzie ci przybyli tu na odpoczynek. Potrzebują spokoju — odparł Stasiek Lipa. — I my nie jesteśmy żądni nowych znajomości.

— Ale może pan uczyni dla mnie wyjątek. Bardzo lubię turystów z Europy. Mój ojciec także pochodzi z Europy.

— Bardzo mi przyjemnie, a jednak radzę panu: niech pan sobie obierze inne okno pokoju dla obserwacji.

Stasiek Lipa chciał już odejść, ale inżynier zatrzymał go:

— Pod jednym warunkiem gotów jestem spełnić pańskie życzenie: że pozwoli mi pan osobiście przedstawić się pańskiej córce — uśmiechał się.

Stasiek Lipa, choć zmierzzył nieznajomego od stóp do głowy, pomyślał w duchu:

„O to właśnie mi chodzi”.

W kilka minut później, za ledwie Stasiek Lipa zdążył zdjąć palto po powrocie do pokoju, rozległo się dyskretne pukanie do drzwi. Aniela je otworzyła. Na widok wchodzącego odskoczyła zarumieniona.

— Dzień dobry — rzekł inżynier na powitanie, kłaniając się uprzejmie. — Proszę mi wybaczyć to najście na spokojnych ludzi.

Stasiek Lipa przyjął surowy wyraz twarzy. Przedstawił go córce.

— Panowie się znają? — zdziwiła się nie bez racji Aniela.

Młodzi ludzie zamienili ze sobą spojrzenia, mówiące za siebie.

Stasiek Lipa z ukosa obserwował młodych ludzi, ciesząc się w duchu z triumfu, którego był w stu procentach pewny...

— Pani ojciec jest dżentelmenem — rzekł młody inżynier. — Zabronił mi, abym wystawał pod oknem. Więc zdecydowałem się wejść... przez drzwi. Mam nadzieję, że pani będzie dla mnie łaskawa i nie nakaże natychmiastowego odwrotu — śmiał się beztrząsco.

— Ja nie jestem surowa, ale za mego ojca nie ręczę — śmiała się radośnie Aniela.

Stasiek Lipa wtrącił się do rozmowy:

— Pańską odwagą zasłużył się pan na wyrozumiałość.

— My, Amerykanie, nie przywiązujemy wiele wagi do zewnętrznych form towarzyskich. Nawiązujemy nici znajomości i sympatii bez trudu, tym bardziej w pensjonacie.

— Pan na długo tu przybył? — zapytała Aniela.

— Teraz, gdy się znamy, gotów jestem tu pozostać całe życie.

Jego spojrzenie spoczęło na rozwartych walizkach.

— Państwo już opuszczają ten pensjonat? — zapytał inżynier, nie mogąc ukryć smutku i rozczarowania.

— Córkę moją ciągnie do Europy — odrzekł Stasiek Lipa.

Aniela zauważyła nagłą zmianę w wyrazie twarzy inżyniera. Serce jej zabiło mocniej.

Stasiek Lipa przerwał milczenie:

— Córka moja jedzie do narzeczonego, a ja tu pozostaję.

Młody człowiek zbladł.

— Ojczy, papiery mam już w porządku? — zwróciła się Aniela do ojca, by coś powiedzieć i rozwiać przygnębiający nastrój.

— Muszę tam zaraz iść. Powiedziano mi, bym się zgłosił za godzinę — odpowiedział Stasiek Lipa.

Młody inżynier poczuł, że jest tu zbyt czyny. Napomknięcie o „narzeczoną” zepsuło mu nastrój. Nie mógł oderwać oczu od Anieli.

Stasiek Lipa wstał, włożył palto i, rzekłszy kilka słów na usprawiedliwienie, wyszedł z pokoju.

— Zaraz wrócę — rzucił, będąc już we drzwiach, dał w ten sposób przybyłemu do zrozumienia, by sobie na zbyt wiele nie pozwalał.

Młody człowiek bez wstępu oświadczył się Anieli w miłości. Stasiak Lipa, który stał za drzwiami, słuchał jego wyznań miłosnych z radością. Gdy wyszedł na ulicę, pogwizdywał sobie wesołą piosenkę.

Inżynier, spostrzegłszy smutek na twarzy Anieli, zauważył:

— Pani tęskni za swoim narzeczonym?

— Tak — odpowiedziała Aniela, której w tej chwili wypłynął w wyobraźni obraz Janka.

— W takim razie nie będę się pani więcej narzucał.

— I już pan zapomniał, co pan przed chwilą powiedział — rzekła Aniela z wyrzutem w głosie.

— Moje uczucie miłosne nie płynie z egoizmu. Nie chcę burzyć pani szczęścia.

Aniela zestawiała w duchu obu mężczyzn: Janka, przestępcę, i inżyniera, człowieka szlachetnego. Naiwne, dziecięce oczy niebieskie inżyniera mówiły za siebie, że ustami wypowiada szczerze, co ma na sercu i na myśli. Przypomniała sobie wyznanie miłosne Janka i doszła do przekonania, że oświadczenia inżyniera były wyrazem człowieka uduchowionego. Janek zaś był typem człowieka o zwierzęcej namiętności. Teraz dopiero zrozumiała, dlaczego serce jej biło mocniej na widok inżyniera: on ją kocha!

Aniela odnosiła się do inżyniera z największą ufnością. Było to tak od samego początku. Walczyła z tym uczuciem w duchu, do czego nawet nie chciała się przyznać. Również inżynier wyczuwał, że Aniela nie jest obojętna wobec niego. Zachowanie się inżyniera nie budziło żadnych wątpliwości, że jest zakochany.

Inżynier przez dłuższą chwilę siedział pogrążony w rozmyśleniach. W pewnym momencie wstał, uklonił się i rzekł:

— Pani wybaczy, że już odejdę. Życzę wszystkiego najlepszego i proszę mi pozwolić myśleć o pani zawsze tak, jak ją sobie wyobrażałem w duchu. O ile przyszły pani mąż jest jej godzien, życzę wam z całego serca wiele szczęścia.

Anielę przebiegła myśl:

„On tak rozumuje, jakby znał Janka...”

Odparła jednak:

— Kto zdobył moje serce, z pewnością na to się zasłużył.

Inżynier spojrział na Anielę i odrzekł spokojnie:

— Nie zawsze serce ludzkie wie, czego pragnie. Bardzo często prowadzi nas na manowce. Serce często popełnia błąd, za który wypada później ponosić odpowiedzialność przez całe życie.

Słowa inżyniera trafiły Anieli do przekonania, chociaż podejrzewała go o to, że specjalnie dobiera słów, by wzbudzić w niej podejrzliwość do Janka.

— A gdzie pańska pewność, że serce pana nie prowadzi na manowce? — zapytała Aniela z uśmiechem na ustach, który budził w młodym człowieku dziwne uczucie szczęśliwości. — Wszak pan mnie zna tylko z widzenia.

— Przyznam się pani, że wraz z uczuciem miłości budzi się we mnie dziwny lęk.

Inżynier stał teraz bardzo blisko Anieli, której oddziaływanie na niego wzrastało z sekundy na sekundę. I poruszył ustami tak, jakby chciał z siebie zrzucić wielki ciężar, który dźwigał na sercu.

Na jego twarzy odmalowała się potęga uczucia, które rozsadza i jednocześnie ujarzmia człowieka, potęgą miłości, która sprzęga uczucie najszlachetniejsze z siłą żądy.

Aniela przypomniała sobie teraz Janka, jak wyglądał w przystępie szału namiętności.

Inżynier wyrwał ją z kręgu tych myśli:

— Pani zapewne traktuje mnie jak jednego z wielu donżuanów poszukujących przegód miłosnych w pensjonacie. Ale zapewniam panią, że nigdy nie uganiałem się za piękną twarzyczką czy ładną spódniczką. Flirt i inne „zabawy miłosne” były mi zawsze obce. Bogactwo moich rodziców, którzy mnie, jedynekowi niczego nie odmawiają, mogło mi ułatwić w tym kierunku zadanie. Wykazałem więcej żądy nauki niż zabawy. Czekałem cierpliwie na głos serca, który się teraz odezwał. Wybranką mego serca... jest pani, nie kto inny.

Te słowa wyrzucił z siebie jednym tchem. Ciężko oddychał.

Aniela nie spuszczała zeń oka, jakby chciała go przeniknąć i poznać tajniki jego duszy. Chciała wiedzieć, czy przemawia człowiek czysty i uczciwy, czy przewrotny lub doświadczony mężczyzna, który wie, jak trafić do czulego serca kobiety.

— Jestem miłośnikiem przyrody. Po roku nauki przybyłem tu na odpoczynek, by na łonie przyrody radować się pięknem świata. I oto panią ujrzałem w oknie. I nie wiem, jak się to stało, ale poczułem, że od tej chwili coś się zmienia w moim życiu. Tej nocy nie mogłem zmrużyć oka. Już niejednokrotnie stawałem przed pokusą, ale dotychczas wychodziłem z tej walki zwycięsko, nie zdradziwszy swego ideału wielkiej, czystej miłości, o której marzyłem w skrytości ducha od wczesnej młodości. W moim pojęciu miłość winna być czymś wielkim, wzniosłym, czymś, co stoi ponad człowieka⁵⁴, o co trzeba walczyć i dla której trzeba się poświęcić. Gotów jestem wyzwać wszystkich do walki o moje szczęście, a tym szczęściem jest... pani.

— Ale mam narzeczonego, sercem należę do innego — zawołała Aniela, a w głosie jej brzmiała nuta rozpacz. — Nawet źle czynię, mówiąc z panem o tym. W moim pojęciu mężczyzna nie powinien być tak sentymentalny, jak pan. Mam wrażenie, że pan raczej nadaje się na bohatera wielkiej powieści niż na towarzysza w życiu codziennym. Czy wszyscy Amerykanie kochają tak jak pan? Pan może zostaje pod zbyt dużym wrażeniem romantycznej poezji?

Słowa Anieli przeczyły jej uczuciom. Inżynier podobał się jej. Słowa jego i wyznanie miłosne oczarowały Anielę. Właśnie o takim wybranku serca zawsze marzyła. W duchu przyznawała, że miłość Janka była brutalna, zwierzęca, okrutna.

— Mam nadzieję, że pani jednak zmieni swoje zdanie o mnie — odrzekł. — Prawdziwa miłość musi dojrzeć, jak owoc. Gdy pani mnie pozna bliżej, nabierze większego przekonania, że jesteśmy stworzeni dla siebie. Los nas sprzął. Opatrzność kierowała nami, choć byliśmy na dwóch półkulach naszej ziemi.

A gdy mówił, oczy jego niebieskie patrzyły na Anielę dziwnym wzrokiem. Jego oczy były jasne jak czyste niebo. Biła z jego słów szczerść. Prawda.

Aniela nie wiedziała, jak to się stało, ale właśnie dopiero teraz spostrzegła jego iście męskie rysy twarzy, które stanowiły kontrast do jego niewinnych niebieskich oczu i sentymentalnego wyznania miłosnego.

Mądry wyraz twarzy świadczył o zrównoważeniu charakteru i skupionej energii.

Jego usta delikatnie się poruszały, jakby szeptały błagalną modlitwę o miłość. Oczy patrzyły spokojnie. Był zakochany i pewny swej miłości. Ale w tym spokoju był ogrom zachwyty dla jej niezwyklej urody.

Aniela nie wytrzymała jego badawczych spojrzeń i rzekła:

— Pan wybaczy, ale naprawdę nie mam czasu i muszę się szybko pakować.

— Pani zdecydowana jest jednak pojechać?

— Bezwarunkowo.

— A jednak wierzę, że pani odmieni swoją decyzję.

Oboje spoglądali na siebie. Twarz Anieli przybrała wyraz zaniepokojenia.

— Czy pani obawia się czegoś? — podchwycił tę zmianę nastroju Anieli.

— Tak. Pańskiego sposobu mówienia — odpowiedziała Aniela.

— Ale ja mam wrażenie, że ten lęk jest przed pani narzeczoną, do którego pani wybiera się do Europy — rzekł inżynier tym samym spokojnym tonem.

Aniela zamilkła.

To milczenie było wymowniejsze od słów.

— Proszę mi wybaczyć — dodał po chwili, przekonawszy się, że słowa jego sprawiły Anieli ból.

Młodzi ludzie zamienili się spojrzeniami. Aniela nie mogła sobie wytłumaczyć, dlaczego inżynier budzi w niej niepokój. Podobne uczucie przeżywał także inżynier.

Aniela nie należała do tego rzędu kobiet, które wywierają na mężczyznę demoniczną siłę. Była wolna od kokieterii i wyreżyserowanej kobiecości. Przeciwnie, była prosta w zachowaniu, bezpośrednia, bez fałszu i sztuczności. A przy tym była pełna tajemniczości, jak sfinks, który wie wiele i nic nie mówi.

⁵⁴co stoi ponad człowieka — popr.: co stoi ponad człowiekiem lub: co wyrasta ponad człowieka. [przypis edytorski]

Rzucała dokoła czar spojrzeniem i zadziwiającą harmonią kształtów.

Aniela знаła siebie. Rozróżniała granicę dobra i zła ukrytego u niej. Była opanowana, a jednak miłosne wyznanie inżyniera oszołomiło ją. Zdawała sobie sprawę, że nie powinna teraz dać posłuchu jego upajającym słowom, a jednak w duszy pragnęła, by ten strumień miłości popłynął przez całe życie. Jego twarz coraz głębiej wryła się w jej pamięć i wyobraźnię. Inżynier wdzierał się coraz śmielej i silniej do jej duszy, zwycięsko wypierając rywala, Janka, o którym sądziła, że tylko jego kocha.

Potężna siła, która stoi ponad wyrzuty sumienia, pchała ją w objęcia nowego znajomego. Walczyło z narastającym w niej uczuciem, które nakazywało jej zmienić postawę wobec inżyniera. Chciała mu powiedzieć, co czuje, ale nie mogła. Tajemniczy głos powstrzymywał ją od tego kroku. Drugi jednak szeptał jej:

„To jest twój przeznaczony. Nie przeciwstawiaj się losowi. On — jest twoim szczęściem!”

I uwierzyła, że tylko inżynier może ją uszczęśliwić.

Młody człowiek nie zdejmował z niej oka, jakby czytał z jej twarzy. Zbliżył się do niej i ujął za rękę.

— Jakże jestem bliski pani, a jednocześnie tak daleki — zawołał w zadumie.

Aniela nie wrywała swej ręki, którą inżynier pieścił w swej dłoni.

Oboje czuli, że teraz może się coś stać, czego należy uniknąć. Serca były im mocno, niby młotem. Ich ciała przebiegał dziwny prąd, który zabija w człowieku logikę i siłę woli. Oboje byli bliscy zamroczenia świadomości.

On czuł, że ta kobieta ma w sobie utajoną siłę, która łamie opanowanie męzczyzny, jego pewność siebie i wytrąca go z równowagi.

To wszystko trwało kilkanaście sekund.

I naraz Aniela znalazła się w jego objęciach. Chciał ją pocałować, ale Aniela, która przed chwilą czekała na to, by ją przytulił do siebie, teraz, gdy się to stało, wyrwała się momentalnie z jego objęć.

Został odepchnięty siłą.

Wyjąkał:

— Poniżyłem się w pani oczach, ale nie mogłem panować dłużej nad sobą. Wstydzę się mojej słabości.

Aniela ciężko oddychając, w pośpiechu zaczęła pakować manatki. Intuicyjnie wyczuła, że gdyby to się raz jeszcze powtórzyło, nie mogłaby oprzeć się pokusie...

Inżynier stał bezradny na środku pokoju, nie wiedząc, co z sobą począć.

Aniela odezwała się w pewnej chwili:

— Wszystko, co mi pan miał do powiedzenia, już wiem. Sądzę, że pan lepiej teraz uczyni, gdy sobie pójdzie.

Ale młody człowiek wyczytał z jej oczu co innego. Rzekł:

— Teraz, gdy pani wyznałam wszystko, będę czekał. Będę czekał na pani decyzję ze świadomością, że ona się nigdy nie odmieni. Przyznaję, wierzę w to, że pani mnie kocha. Daję przy tym słowo, że odtąd nigdy nie będę się pani narzucał swoją miłością.

Podszedł do okna, by zacerpnąć chłodnego powietrza.

Aniela obserwowała go z ukrycia. Różne myśli przebiegały teraz jej mózg. W pewnym momencie zapytywała siebie w duchu:

„Gdzie ta pewność, że i on nie należy do świata przestępczego? Może jest handlarzem żywym towarem? Jego skromność i gładkie postępowanie mogą tym lepiej maskować podstęp i ukryte zamiary. Kto wie?”

Aniela dobrze wiedziała o tym, że w świecie przestępczym nie brak jednostek, które swoją zewnętrzną prezencją i elegancją wprowadzają ludzi w błąd. Świetnie się asymilują z otoczeniem ludzi ze sfer towarzyskich. Mimo woli pomyślała o swoim ojcu.

Tu jej myśli urwały się.

Dlaczego ojciec teraz wyszedł z domu, pozostawiając ich sam na sam? Zapewne miał w tym cel. Może młodzieniec spodobał mu się i umyślnie dał im możliwość zbliżenia się. W takim wypadku ojciec musiał poznać się na młodym człowieku, że jest uczciwy. Na jej ojcu można polegać. Zna się na ludziach.

Serce jednak obawiało się nowej miłości. Nie zagoiły się jeszcze rany pierwszej miłości, nieszczęsnego romansu ze złodziejem, przestępcą.

Anieli wydawało się, że łzy napłynęły młodemu człowiekowi do oczu. Ogarnęło nią uczucie litości.

Naraz inżynier odwrócił się od okna. Rzucił okiem na walizki, znamionujące o bliskim wyjeździe ukochanej. Z szacunkiem w głosie rzekł, wyciągając rękę na pożegnanie:

— Jeszcze raz proszę o przebaczenie! Szczęśliwej podróży do swego narzeczonego!... Życzę pani wiele szczęścia. Będę pani towarzyszył myślą wszędzie, gdzie tylko pani znajdować się będzie. O jedno tylko proszę.

Aniela podniosła na niego oczy.

Zamienili ze sobą nieme pytanie, którego nikt z nich nie miał odwagi wypowiedzieć na głos.

Potem inżynier powiedział:

— Niech się pani jeszcze raz zastanowi. Proszę sobie zdać sprawę z tego, co pani robi. Czy wolno pani zostać jego żoną? Wedle mego przekonania nie była to miłość szczerą.

— Pan jest brutal! — zawołała Aniela. — Wdziera się pan do cudzego serca bez pardonu. Nienawidzę pana!

Odwróciła się od niego. Nie chciała, by mógł obserwować jej twarz.

— Od nienawiści do miłości jest tylko jeden krok — rezonował. — Powiniennem być szczęśliwy, że już mnie pani zaczyna nienawidzić.

Inżynier skierował się do wyjścia. Jeszcze raz objął spojrzeniem to wszystko, co znajdowało się w pokoju, jakby chciał to utrwalić w pamięci. Gdy spojrzął na Anielę, uczyniła ona ruch ręką, jakby chciała go zatrzymać. Inżynier zbliżył się do niej. Padli sobie w objęcia.

— Kocham cię... Kocham cię tak...

Nie dokończył zdania. Ich usta złączyły się w płomiennym pocałunku.

Niespodziewanie drzwi się otworzyły. Młodzi ludzie odskoczyli od siebie. Stasiak Lipa wszedł do pokoju, udając, że niczego nie zauważył.

— Pan jeszcze tutaj? — zapytał inżyniera. Zwracając się do Anieli, ojciec powiedział: — Twoje papiery są już w najlepszym porządku. Odjeżdżasz o dwudziestej w nocy.

— Nie jadę... — wyjąkała. — Nie mogę się z tobą rozstać...

Stasiak Lipa podejrzliwie spojrzął na Anielę. Miły ojcowski uśmiech wystąpił na twarzy Staśki Lipy. Jego oczy zabłysnęły nowym życiem.

— Jedynie ze względu na mnie postanowiłaś nie wyjeżdżać? A może ktoś młodszy cię tu w Ameryce zatrzymuje?

Aniela stanęła w pąsach i spojrzała na młodego przyjaciela, jakby go prosiła o interwencję. Zbliżył się do Staśki Lipy i rzekł:

— To moja wina. Gotów jestem ponieść karę.

Stasiak Lipa roześmiał się dobrotliwie.

— Ach, młodzi, młodzi! Jak wam dobrze na świecie!... Zrobiliście to naprawdę w tempie amerykańskim.

— Mnie się wydaje, że znam pańską córkę od dawna i proszę o jej rękę!...

Stasiak Lipa spojrzął na młodego człowieka i starał się przybrać wyraz łagodnej powagi.

— Pan to robi zbyt pochopnie. Zresztą, córka moja jest samodzielnym człowiekiem i może sama zdecydować, komu ma oddać serce. Z prośbą swoją winien pan tedy zwrócić się do córki.

Aniela była podniecona słowami ojca. Wypieki na jej twarzy świadczyły, że jest podniecona.

Nie ważyła spoglądać w oczy ojcu. Wstydziła się przed sobą, że tak szybko zmienia wybór. Że okazała się gąską mieszczańską, podobną do wielu innych kobiet!

Na wpół rozpakowane walizki przypominały obecnym, do kogo jeszcze niedawno należało serce Anieli. Inżynier oczekiwał teraz decyzji Anieli z bijącym sercem.

Aniela milczała. Oparła głowę o piersi ojca. Z przymkniętymi oczyma w pozycji siedzącej robiła wrażenie na wpół omdlejącej. Zbyt raptownie zbliżyła się chwila przełomowa, kiedy trzeba było wybierać: zbrodniarza czy inżyniera.

Ujrzała siebie w wyobraźni w sypialni Reginy, gdzie przyłapała Janka w niedwuznacznej sytuacji. Zawrzała gniewem. Oburzona była na siebie, że jeszcze wówczas nie zerwała z Jankiem. Nie mogła sobie teraz wybaczyć, że przyjmowała od niego, po tej zdradzie, płomienne pocałunki.

Była teraz niezadowolona z siebie, Janka, a nawet z inżyniera. Aniela spojrzała, jakby dla skontrolowania, na inżyniera. I istotnie wydawał się jej teraz mniej pociągający niż dotychczas. Wszyscy mężczyźni wydawali się jej teraz podrażnionymi, wygłodniałymi zwierzętami, stale polującymi na żer.

Stasiek Lipa przerwał milczenie.

— Jeżeli nie możecie przemówić z powodu mojej osoby, mogę wyjść, by nie być przeszkodą.

Stasiek Lipa uczynił ruch, jakby zamierzał opuścić pokój. Aniela spojrzała na niego z wyrzutem. Ojciec zajął miejsce z powrotem.

W pewnej chwili Aniela zwróciła się do inżyniera:

— Pan wybaczy, ale teraz nie udzielę panu odpowiedzi. Otrzyma ją pan za dziesięć dni.

Inżynier chciał coś powiedzieć, zaprotestować, ale Aniela niemym spojrzeniem zabronila mu.

— Tak chcę i inaczej nie będzie — dodała. — Raz już sądziłam, że jestem zakochana. Teraz nie chcę samej siebie oszukać.

Młody człowiek posmutniał. Bezradnie spoglądał na Staśka Lipę, jakby u niego szukał pomocy. Czuł, że ojciec jest po jego stronie.

— Więc już mogę iść — rzekł z rezygnacją.

— Tak i proszę przyjść za dziesięć dni — zaakcentowała Aniela.

— To wyrok surowy — odparł inżynier ze wzruszeniem. — Dziesięć dni nie zobaczę pani!

Na pożegnanie Stasiek Lipa rzekł inżynierowi:

— Przyjacielu, dziesięć dni szybko miną⁵⁵. Są ludzie, którzy czekają na swoje szczęście lata całe!

Stasiek przypomniał sobie w tej chwili pobyt w celi więziennej w Moabit, w Niemczech, w której lata wyczekiwał na chwilę, kiedy będzie mógł ujrzeć Anielę.

Gdy inżynier wyszedł, między ojcem a córką doszło do awantury. Aniela obrzuciła ojca nieprzyjemnymi wyrzutami.

— Za co mnie to spotkało? — spytał, ledwie panując nad nerwami.

— Dlaczego, że zламаłaś dane mi słowo, że nie przeszkodzisz mi w podróży do Janka. Umyślnie nasłałeś na mnie tego młodego człowieka. Skoro sądzisz, że jestem w nim zakochana, mylisz się.

— Jeżeli tak sprawa się ma, to tym gorzej dla ciebie — ironizował Stasiek Lipa. — Nie wiedziałem, że córka moja, która specjalizuje się w umoralnianiu ludzi, całuje się z ludźmi, którzy są jej obojętni. Dotychczas byłem innego, lepszego zdania o tobie. Przekonywam się, że nie jesteś warta lepszego męża od Janka.

— Szpiegowałeś mnie! — Traciła Aniela panowanie nad sobą. — A kim jesteś, jeżeli nie zbrodniarzem, którego policja ściga i poszukuje?

— A ty mnie mało szpiegowałaś? — ze spokojem odparł Stasiek Lipa.

— Nienawidzę cię! — krzyknęła Aniela, biegnąc w stronę drzwi.

Jednym skokiem Stasiek Lipa, który naraz jakby odmłodził o dziesięć lat, znalazł się przy córce, chwycił ją i siłą rzucił o kozetkę.

— Co ty tu będziesz wyprawiać? — huknął. — Ja cię tu...

Stasiek Lipa urwał zdanie. Twarz jego wykrzywił skurcz bolesny. Aniela chciała krzyknąć. Wtem drzwi się otworzyły i w progu ukazał się młody inżynier. Był przerażony widokiem.

Aniela nie mogła podnieść oczu ze wstydu. Również Stasiek Lipa nie wiedział, co ze sobą począć. Wołałby, by podłoga się teraz pod nim rozstała, niż dać obcemu człowiekowi okazję do ingerencji.

Inżynier wyjął krótko: „przepraszam” i skierował się ku wyjściu.

⁵⁵dziesięć dni szybko miną — dziś popr.: dziesięć dni szybko minie. [przypis edytorski]

Aniela zawołała:

— Pan jest dżentelmenem i podsłuchuje pode drzwiami?

— Nie. Krzyki słychać było aż w trzecim pokoju. Przybyłem, by was ostrzec, że w pensjonacie może to wywołać przykre wrażenie...

Znów chciał już odejść, gdy Stasiak Lipa zatrzymał go:

— Siadaj pan.

Młody człowiek był posłuszny.

— Uważam za swój obowiązek — rozpoczął Stasiak Lipa — uświadomić pana, że moja córka przebyła niedawno chorobę nerwową. Widać, niezupełnie uleczona została, gdyż od czasu do czasu, w przystępie nerwowym wyrzuca z siebie słowa naprowadzające obcego na myśl o świecie przestępczym.

Aniela nie wierzyła własnym uszom. Chciała napluć ojcu w twarz, zaprzeczyć jego słowom, ale tajemnicza siła powstrzymywała ją od tego kroku.

Młody człowiek uśmiechał się zagadkowo.

Naraz stała się rzecz zgoła nieoczekiwana. Młody człowiek zbliżył się do ojca Anieli i rzekł krótko, bez wstępu:

— Stasiak, uspokój się. Szkoda nerwów!

— Co? Co?...

Stasiak Lipa chwycił się obiema rękami za serce, bliski ataku z oszołomienia.

Również Aniela zerwała się z miejsca. Chwyciła młodego człowieka za ramię. W pokoju zapanowała konsternacja. Młody człowiek spojrzał dziwnie na Anielę i rzekł:

— Uspokójcie się... Jestem swój człowiek...

Stasiak Lipa momentalnie odzyskał równowagę ducha.

— Kim jesteś? — zapytał.

— Kim jestem? — roześmiał się młody człowiek. — Nie poznajesz mnie, ale twój przyszy zięć, Klawy Janek, dobrze mnie zna.

Aniela była złamana, wstrząśnięta, oszołomiona jak nigdy przedtem. Tylko jedna myśl świdrowała jej mózg:

„Znów złodziej... Znów złodziej...”

A młody człowiek, jakby odczytywał jej myśli z twarzy, rzekł:

— Klawy Janek jest lepszym zawodowcem ode mnie.

Aniela chwyciła go za kłapy i krzyknęła:

— Kim jesteś i skąd przybywasz?

Stasiak Lipa z jękiem osunął się na fotel:

— Taka pomyłka... Taka fatalna pomyłka... — powtarzał samemu sobie. — A ja, stary dureń, sądziłem, że to pocziwy człowiek!...

Młody człowiek odpowiedział Anieli:

— Wszak jesteśmy tylko ludźmi.

— Ale jak się tu dostałeś? — grzmiała Aniela.

— O tym byłoby zbyt wiele do opowiadania — uśmiechał się młody człowiek.

— A więc i pan jest złodziejem — rozpaczła Aniela.

— O nie, złodziejem nigdy nie byłem. Tylko tak sobie jestem „swój” człowiek.

— Wybacz mi, córko — zwrócił się Stasiak Lipa do Anieli. — Mimo woli mogłem cię wtrącić w odmęty nieszczęścia. Kto by się mógł tego spodziewać?

— Wystarczy, że on ciebie zna — wyrzuciła Aniela z nienawiścią.

— Jestem jeden z największych handlarzy żywym towarem — przerwał tę dyskusję młody człowiek, zmierzając Staśką Lipę od stóp do głowy.

— Jak pan śmiał ze mną mówić o miłości? — nie wytrzymała Aniela.

— Czy pani sądzi, że nie potrafię kochać prawdziwie? — nie wyzbywał się cynicznego tonu. — Ja od razu wiedziałem, z kim mam do czynienia.

— Jakże tedy ty, alfonsie, śmiałeś zbliżyć się do mojej córki? — podskoczył do młodego człowieka Stasiak Lipa.

— Mieliśmy ze sobą zadawnione porachunki. Chciałem się zemścić.

— Dlaczego nie zemściłeś się, ty łajdaku?

— Bo pokochałem twoją córkę! Gdyby nie moja miłość, już dawno znalazłaby się na okręcie kursującym do Argentyny.

— Precz z mego domu! — wołał Stasiak Lipa.

— Ciszej! — wycedził młody mężczyzna przez zęby. — Zapominasz o tym, że tu jestem inżynierem. Tu nawet znają moich rodziców. — Uśmiechał się w dalszym ciągu. — Ale ty możesz w każdej chwili trafić do więzienia.

Ojciec Aniela był bezsilny... Stał blisko córki, która tuliła się do niego jakby w obawie przed porwaniem...

— Czego chcesz ode mnie? — zapytał Stasiek Lipa niemal z płaczem.

— Chcę twojej córki za żonę. W razie odmowy...

— ...zadenuncjujesz mnie? — dokończył za niego Stasiek Lipa zdanie.

— *Yes*.

— Za takiego wyrzutka nigdy cię nie uważałem.

— Podły czyn, którego Janek dopuścił się wobec mnie, jest o wiele gorszy. Z jego winy zostałem sierotą, mając lat 12. Muszę pomścić krew ojca. Również mego brata Janek zamordował w Argentynie.

— Kto zabił pańskiego ojca? — odsunęła się Aniela z pogardą.

— Jego ojca zamordował Kławy Janek — wtrącił się Stasiek Lipa. — Jego ojciec także był kapusiem... Z winy jego ojca Janek przebył karę ośmiu lat więzienia, ale Janek, odzyskawszy wolność, pomścił krzywdę.

— A teraz ja zemszczę się na was — szepnął młody człowiek, a jego niewinne oczy zabłysnęły złym ogniem.

— Rób, co chcesz — machnął Stasiek ręką.

— Córki twojej, która jest narzeczoną Janka, już od dawna poszukujemy. Będzie to dla niego najsurowsza kara, gdy Aniela będzie w naszym ręku. Dwa lata trwały moje poszukiwania. Nasi agenci, rozsiani po całym świecie, byli mi pomocni w poszukiwaniach. Czy przynajmniej wiesz, że twoja córka już od dłuższego czasu znajduje się pod naszą czujną obserwacją? Przybyłem tu, by ją uwieść. A mnie jeszcze żadna kobieta nie oparła się. Ale tu zakochałem się w twojej córce naprawdę. I ciebie od razu poznałem. Przypominasz sobie, jak przychodziliście do nas do domu w Londynie? Byłem podówczas dzieckiem. Mogłem się z tobą załatwić „na zimno”, porwać twoją córkę i nie bawić się w otwarte karty. Jeżeli tego nie uczyniłem, masz to swej córce do zawdzięczenia.

Aniela obserwowała go przez cały czas i w duchu przyznała mu rację, że żadna kobieta nie mogłaby mu się oprzeć, gdy on tylko zechce tego. Miała ochotę teraz splunąć mu w twarz. Brzydziła się sobą, że go ucałowała.

— Właściwie mówiąc — odparł Stasiek Lipa — masz porachunki z Jankiem, a nie ze mną. Przyjdź dziś o dziesiątej wieczorem, pogadamy o wszystkim. Córka moja nie musi wiedzieć o wszystkim.

Stasiek Lipa dążył do wygrania na czasie⁵⁶, by wykręcić się z przykrew sytuacji.

— Córka twoja musi należeć do mnie, choćbym miał życiem przyplacić!...

Stasiek Lipa jednym skokiem znalazł się przy młodym człowieku. Silnym uderzeniem rękojęścią rewolweru między oczy oszołomił młodego człowieka. Cios był tak niespodziewany, że ten runął na podłogę, niby podpiłowana młoda sosna. Stasiek Lipa z błyskawiczną szybkością owiął jego głowę serwetką i sznurem, który miał przygotowany do pakowania. Aniela stała roztargniona z rozwartymi ustami, ale nie krzyczała. Wiedziała, że ta walka toczy się o nią.

Stasiek Lipa działał zwinnie i szybko jak za dawnych „dobrych czasów”. Tu chodziło o jego córkę. I odmłodził naraz, odzyskał siły z lat młodzieńczych.

Nadaremnie młody człowiek usiłował uwolnić się z więzów. Stasiek Lipa rozprawił się z nim z taką znajomością fachu, że skrepowany nie mógł wydobyć najmniejszego dźwięku. Później ułokował go w szafie, którą zamknął na klucz.

W pośpiechu spakował walizki i oboje, Stasiek Lipa wraz z Anielą, niebawem pędzili taksówką do portu. Wiedzano o tym, że Aniela odjeżdża do Europy. Nikomu nie wpadło na myśl podejrzewać ich o coś podobnego, co miało miejsce przed kwadrans w pokoju hotelowym...

⁵⁶dążył do wygrania na czasie — popr.: chciał zyskać na czasie. [przypis edytorski]

ROZDZIAŁ XII

Janek nie mógł się uwolnić od uroku nowej przyjaciółki, którą poznał w pensjonacie. Umiała go przykuć do siebie. Nie miał przed nią tajemnic. Szczerze wyznał jej, że należy do świata podziemi. Był w pierwszej chwili nawet zdziwiony, gdy odrzekła, że nie zmieni z tego powodu swego stosunku. Przeciwnie, pokochała go z jeszcze większą siłą. Tłumaczyła mu to, że od dawna przyciągali ją ludzie o skłonnościach awanturniczych. Dawała mu do zrozumienia, że od razu zwęszyła, iż należy do innego świata i dlatego tak prędko oddała mu się...

Nadaremnie Krygier uprzedzał go, że ta kobieta wydaje mu się być podejrzaną. Janek nawet nie chciał słyszeć o zerwaniu z nią.

— Gdyby ona była konfidentką — tłumaczył Krygierowi — byłaby mnie już dawno zdradziła i wydała w ręce policji.

Janek wierzył, że natrafił na właściwą kobietę, którą tylko albo więzienie, albo śmierć może mu wydrzeć.

Teraz zamieszkał z nią w jednym z najelegantszych pensjonatów w Zakopanem. Janek bardzo często mknął kurierem do Warszawy, gdzie załatwiał swoje sprawy.

Zapomniał o bezpieczeństwie. Ukazywał się z nią w lokalach nocnych, na dancingach, gdzie płacił grube rachunki.

Janek uchodził za inżyniera, bogatego cudzoziemca. Piękna jego towarzyszką, ubrana zawsze elegancko i wytwornie była jakby potwierdzeniem tego, że tak jest w rzeczywistości. Oczywiście, że nikomu nie wpadło na myśl podejrzewać tę parę o to, że należała do świata ludzi podejrzaných.

O Anieli teraz wcale nie myślał. Zrozumiał wreszcie, że nie jest dla niej stworzony, ani ona dla niego. Zresztą wiedział, że póki Stasiak Lipa żyje, nie pozwoli na poślubienie Anieli przez Janka.

I tak miały tygodnie zaczarowanej miłości, jak Janek nazywał swój stosunek do Ady.

Dla tej kobiety Janek zrezygnował z wyjazdu z Polski mimo ostrzeżeń Krygiera.

Krygier pozostał w kraju, by wyjaśnić sprawę tajemniczego zaginięcia Reginy.

Ostatnimi czasy rozluźnił stosunek z Wolkowem. Odnosił wrażenie, jakby się nawzajem unikali.

Komisarz Szczupak coraz częściej następował na pięty Krygiera. Niekiedy to wyglądało tak, jakby urządzono zabawę w kotka i myszkę. Krygier zorientował się, że zawisło nad nim i jego ludźmi wielkie nieszczęście.

Szczupak po wydostaniu się z piwnicy, gdzie był więziony przez ludzi Krygiera, jeszcze energiczniej zabrał się do tropienia tej bandy. Rozkazy Wolkowa przyjmował w milczeniu. Nie wątpił już, że postępowanie i życie Wolkowa omotane jest siecią tajemnic i intryg. Szczupak przystąpiłby już do zlikwidowania bandy, ale brakło mu dowodów, które by pozwoliły na unieszkodliwienie tej bandy w całości. Chciał za jednym zamachem „wykończyć” ją.

Janka trzymał na oku, ale nie aresztował go. Jankowi na myśl nie wpadło, że właściwie jest już jakby uwięziony i że rolę strażnika pełni jego kochanka Ada. Nie miał pojęcia o nadciągającym niebezpieczeństwie. Był odurzony tą kobietą, która potrafiła rozpałcić w nim pożogę zmysłów.

Ada postanowiła zarzucić swoje sieci także na Krygiera. Następnego dnia po zawarciu znajomości z Krygierem, dała mu do zrozumienia, że jej się podoba. Krygier z początku nie zwracał uwagi na zaloty Ady, ale z biegiem czasu stwierdził, że nie jest wobec niej obojętny.

Ta kobieta zdemoralizowała środowisko Krygiera. Również Milczka potrafiła zasugerować swoją osobą. Powiedziała mu pewnego razu, że mężczyźni jak on, o szerokich barach i stalowych mięśniach, są w jej guście...

W stosunkowo niedługim czasie Ada z przyjemnością mogła stwierdzić, że cała „paczka” nie ma już przed nią tajemnic. W jej obecności omawiano szczegóły wypraw i plany dalszych „robót”. Potrafiła z nich uczynić rywali, gotowych w każdej chwili rzucić się na siebie, by walczyć o względy tej przewrotnej wampirzycy.

Kobieta, Mężczyzna,
Pozycja społeczna

Doszło do tego, że Janek zaczął urządzać Adzie sceny zazdrości o Krygiera i towarzyszy. Domagał się od niej, by uciekła z nim po kryjomu za granicę. Nawet w tajemnicy przed Krygierem. Ada ociągała się przed ucieczką pod różnymi pretekstami.

Janek postanowił wykorzystać zwłokę w wyjeździe za granicę, by pomścić krzywdę doznaną ze strony właściciela zajazdu na Pradze, który go wydał w ręce policji. Hotelarz był jednak ostrożny. Wiedział o grożącym mu niebezpieczeństwie. Nie dał się zaciągnąć do zasadzki, Janek jednak nie rezygnował z tej myśli. Uczucie zemsty jest święte u ludzi nocy. W tym dziele miała im być pomocą „Zimna kokota”.

Po zabójstwie Felka Janek zaczął się interesować losem „Zimnej kokoty”. Czynił to początkowo z wyrachowania w obawie przed denuncjacją z jej strony. Wnet przyszedł do przekonania, że „Zimna kokota” może mu okazać więcej usług. Zakochana po uszy w Janku, była mu posłuszna i wierna niby pies. Chwile miłosne, którymi ją od czasu do czasu obdarował, były niby kością rzuconą psu. Ale „Zimna kokota”, choć zdawała sobie z tego sprawę, i z tego była zadowolona.

Pewnego wieczora, gdy właściciel hotelu na Pradze był zajęty swoimi sprawami, przed dom jego zajęchało auto, z którego wysiadła pani, której twarz pokryła gęsta woalka. Szofer z szacunkiem szedł za pasażerką, niosąc jej dużą walizkę amerykańską. Właściciel tego hotelu z początku nawet dziwił się, że akurat do niego zajęchała tak wytworna pani. Wszak jego hotel uchodził za podrzędny. Ale gdy przybyła, dała mu niedwuznacznie do zrozumienia, że umyślnie tu zajęchała, bo umówiła spotkanie z przyjacielem, oddał jej najelegantszy pokój. Hotelarzowi nawet na myśl nie przyszło, co go czekało tej nocy...

Pani nie wychodziła ani razu ze swego pokoju. Dopiero o drugiej w nocy zajęchało przed zajazdem auto, z którego wysiadł elegancki mężczyzna o podniesionym kołnierzu i zsuniętym na oczy kapeluszu. Portier, któremu zaimponował suty napiwek, od razu skierował przybyłego do właściwego pokoju... Nie trzeba chyba dodawać, że przybyłym był nie kto inny, jak Janek.

W kwadrans później Janek zadzwonił na portiera i wręczając mu złotą monetę dwudziestodolarową, zalecił mu przynieść trunki. Chodziło mu o pozbycie się portiera na pewien czas z terenu hotelowego. Ledwie portier wyszedł, Janek rozpoczął energicznie dzwonić. Alarmy te zwabiły hotelarza, który udał się do pokoju tajemnicznej damy.

Hotelarz ledwie przekroczył próg pokoju, stanął oko w oko z Jankiem, który błyskawicznym ruchem dobył rewolweru i przyłożył lufę do skroni przybyłego.

Janek syknął przez zęby:

— Poznajesz mnie, kapusiu?

Hotelarz, błąd jak chusta, padł na kolana i zaczął błagać:

— Daruj mi pan życie. Mam żonę i dzieci.

— O tym później pogadamy — rzekł Janek, a tajemnicza dama, którą była „Zimna kokota”, przyłożyła hotelarzowi do nosa chusteczkę.

— Nie ruszaj się z miejsca — rozkazał Janek — bo zastrzelę cię jak psa. Nie ceregieliłbym się z tobą, gdybyś nie był blatny. Postawię cię przed sąd złodziejski. Czeka cię dintojra.

Mały człowieczek nie ruszał się z miejsca. Nie bronił się. Zresztą dobrze znał ludzi nocy i wiedział z doświadczenia, że krzykiem w takich razach niczego nie wskóra.

„Zimna kokota” jeszcze silniej przyciskała do nosa hotelarza chusteczkę z chloroformem. Hotelarz zaczął się krztusić. Janek dał hasło:

— Wystarczy!

Oboje, Janek i „Zimna kokota”, znieśli hotelarza bez trudu ze schodów do auta, które już na nich czekało. Wóz ruszył natychmiast. Wszystko to stało się z taką błyskawiczną szybkością, że nikt nie spostrzegł tego porwania i ucieczki.

W owych czasach Warszawa obfitowała w uliczki, których nawet policjanci unikali w nocy. W tych dzielnicach mieszkali tacy ludzie nocy, którzy pasożytniczyli na skórze ludzi nocy. Byli to ludzie nieustraszeni, zawadiacy, zuchwalcy. Utrzymywali oni najniebezpieczniejsze meliny, gdzie ukrywali się tropieni przez policję i władze śledcze przestępcy. Właściciele tych melin, to byli „blatni”. Niejeden z nich pamiętał te czasy, kiedy na katordze karano dodatkowo różgami po nagim ciele. Już byli niezdolni do wykonywania zawodu przestępcy. Długoletni pobyt w więzieniu unieszkodliwił ich.

I oto jedną z uliczek tej dzielnicy mknęło teraz auto, w którym znajdowali się teraz Janek, „Zimna kokota” i uprowadzony hotelarz. Przy kierownicy siedział brat „Zimnej kokoty” — ten sam, który swoją taksówką wyprowadził bandę Krygiera z tunelu pod skarbcem, a później ocalił Janka przed pościgiem policji.

Przy pomocy szofera wywleczono hotelarza z wozu.

Wnet wszyscy stanęli u wejścia do domku ustawionego w głąb podwórza⁵⁷, odgrodzonego od ulicy drewnianym parkanem. Janek zapukał do drzwi. Ukazały się dwa podejrzane typy. „Ładunek” przeszedł w ich ręce. Janek zstąpił po kilku stopniach. Powietrze wilgotne, charakteryzujące piwnicę, uderzyło mu do głowy. Z dołu dolatywały odgłosy klótni.

Dziwny był to domek. Z zewnątrz robił wrażenie, jakby za najmniejszym podmuchem wiatru miał się rozlecieć w drzazgi. Ale za to suteryny były murowane i trwałe. Janek szybko zbiegł po kamiennych schodkach w dół... Po wypowiedzeniu umówionego parolu zasuniętemu w kącie „strażnikowi”, ten otworzył przed Jankiem drzwi.

Na widok Janka w pokoju zapanowało milczenie. Zebrani otoczyli Janka kołem. Z ich ust padło jednocześnie pytanie:

— Masz go?

Janek rozglądał się, jakby miał wątpliwość, czy otaczający go ludzie zasługują na zaufanie. Robili wrażenie złych duchów przywołanych zaklęciem czarodziejki-wiedźmy.

— Daj go tutaj, kapusia! Pokaż go nam! Już go załatwimy „na zimno” — grzmiał chór głosów.

— Moje ręce akurat pasują do jego gardła! — zaskrzypiał dziwny głos ludzki. — Za robotę postawisz tylko butelczynę „dziewięćdziesiątki”⁵⁸. Ha-ha-ha!...

Janek poznał mówiącego po głosie:

— Franku, co porabiasz?

— Nie widzisz?... A jak mnie poznałeś?

— W ogniu bym cię poznał. Skąd się tu wzięłeś? — pytał Janek.

Ostatnie pytanie ubodło zebranych. W ich oczach ukazały się złe błyski. Towarzystwo było na wpół pijane. Jeden z nich zareagował:

— Co, nie przystoi ci nasze towarzystwo?... Chyba że nie wszyscy potrafią jak ty pruć kasy!... — odciął się rozmówca Jankowi.

Janek umilkł. Domyślił się, że towarzystwo jest dotknięte jego zdziwieniem i pytaniem pod adresem Franka, jak się dostał do tego grona...

Franek, który ongiś znajdował się na wyższym szczeblu hierarchii świata przestępczego, osunął się na dno z powodu pijaństwa. Dawni jego wspólnicy, do których zaliczał się także Janek, odsunęli się odeń stopniowo. Frankowi nie odpowiadały małe wyprawki złodziejskie. Wąlewał się w melinach i żył z tego, co mu z łaski dawali koledzy po fachu. Stał się specjalistą w dintojrach lub w wykalkulowaniu blatnych interesów. Zawsze przebywał w stanie zamroczenia alkoholem. Franek, dawniej elegant, paradował obecnie w obdartym i znoszonym mundurze żołnierskim, nabytym po jakimś „gwardziejcu”.

Janek był w tej melinie po raz pierwszy w życiu, chociaż dobrze znał jej właścicielkę. Janek chciał jak najszybciej przekazać ofiarę we właściwe ręce, uiścić należność za jej „uprzątnięcie” i opuścić tę norę. Poczucie złodzieja nakazywało mu nieokazywanie pośpiechu, by zebrani nie doznali tym samym zniewagi.

Znał dobrze nastroje podupadłych kolegów po fachu. „Proletariat” świata przestępczego nie znosi swej „burżuazji”, do której zaliczano Klawego Janka.

Janek poprawił nastrój zebranych w melinie poleceniem wydanym właścicielowi, by postawił wszystkim na jego rachunek wódkę z zakąskami. Zebrani zaprosili Janka do biesiady...

Właściciel meliny leżał na połamanym łóżku żelaznym na wpół rozebrany... Łachmany, które miał na sobie, nie pozwalały zorientować się, w jakim znajduje się stanie.

Dawniej rosły, o szerokich barach, właściciel meliny wydawał się teraz małym, zgarbionym potworkiem. Życie przestępcy wycisnęło głębokie ślady na jego pooranej bruzdami i bliznami twarzy. Małe i żywo poruszające się oczy głośiły, że w tym szkielecie

⁵⁷ domku ustawionego w głąb podwórza — popr.: domku ustawionego w głębi podwórza. [przypis edytorski]

⁵⁸ butelczynę „dziewięćdziesiątki” — tj. spirytusu; trunku o zawartości alkoholu 90%. [przypis edytorski]

ludzki tli się jeszcze życie. Powitał on Janka z niewielkim entuzjazmem. Nie znosił „burżuazji” świata przestępczego za jaką uchodzili rozpruwacze kas. Odsiedział w więzieniach trzydzieści lat swego życia za różne, drobne sprawy „złodziejskie”. Teraz był już destruktem, niezdolnym do niczego. Jako „emeryturę” otrzymał od kolegów po fachu tę melinę, w której obecnie się znajdował.

Na małym stołeczku obok łóżka, na którym leżał właściciel meliny, siedziała jego córka, wdowa lat trzydziestu. Trzej jej mężowie kolejno zginęli na szubienicy za groźne zbrodnie. Ludzie nocy dbali teraz o to, by nie zabrakło jej mężczyzn i dochodów... Wdowa, która teraz miała na sobie brudne łachmany, gdy zachodziła potrzeba, mogła się przeistoczyć w elegancką damę. Wołków przez pewien czas pozostawał nawet pod jej wpływem.

Młoda ta kobieta nie spuszczała oka z Janka. Niespostrzeżenie wyslizgnęła się z ciemnego pokoju, by po chwili wrócić w ładnej sukience, uczesana i upudrowana. Podawała mu za każdym razem kieliszek wódki, wołając: „pijemy za zdrowie”.

Janek śpieszył się do Zakopanego. Chciał czym prędzej znaleźć się w objęciach ukochanej. Był przekonany, że na niego czeka i usycha z tęsknoty. Gdy opróżniono kilka butelek wódki, Franek stał się rozmowny. Wskoczył na stół, zaczął grzmieć na głos:

— Bracia, gościmy tu jednego z najpoważniejszych przedstawicieli naszego fachu! Klawy Janek, dawny mój towarzysz z międzynarodowej bandy rozpruwaczy kas, nie należy do wyklętej przez nas „burżuazji” złodziejskiej, która wstydi się nas. Przeciwnie, Janek jest naszym towarzyszem, gotowym za nas skoczyć w ogień i w wodę. Niech żyje Klawy Janek!

— Niech żyje! — wtórowały mu głosy.

Janek spostrzegł się, że źle postąpił. Słowa Franka mówiły mu co innego, a mianowicie, że za robotę zleconą im każą sobie zbyt drogo zapłacić. „Przynajmniej z miesiąc czasu mają zamiar tu pić i jeść” — przebiegła Jankowi myśl.

Oprócz biesiadników, którzy rozsiedli się dokoła stołu, w dużej i ponurej izbie stało wiele „cieni” opartych o wilgotne ściany. Co chwila spoza skrzyń, beczek i innych sprzętów, których nie brakło w tej melinie, wylaniały się inne twarze, typowe gęby przestępców, które ostro rysowały się w świetle lampy naftowej. W kątach usadowiły się kobiety, które z zainteresowaniem przysłuchiwały się z dala rozmowom.

— Dawaj go tutaj! — wydzierają się spijaczone głosy. — Gdzież on nareszcie?

W pewnym momencie drzwi się otworzyły i dwaj silni chłopcy wprowadzili hotelarza. Już dawno się przebudził po chloroformie, ale był bardzo osłabiony i ledwie trzymał się na nogach. Dwaj „konwojenci” rzucili go na skrzynię, wołając:

— Macie go!...

„Towarzystwo” zebrało się dokoła, by przypatrzeć się bliżej hotelarzowi. Franek chwycił widelec i dotknął nim brzucha hotelarza.

— No wstawaj, ty stary kapusiu! I powiedz nam, dlaczego wysypałeś Janka?

— Jestem niewinny — wyjąkał hotelarz.

Wszyscy zwrócili się twarzą do Janka, który zagrzmiał głosem prokuratorskim:

— Tak podłego kapusia, jakim jest hotelarz, jeszcze nie było pod słońcem! Odnosiłem się do niego z pełnym zaufaniem. Byłem okrążony mentami i nie miałem się gdzie ukryć. Przybyłem do niego, jak do towarzysza. Wszak był sam „blatny”. Więc gdzież miałem się czuć bezpieczniej niż u niego? Ale cóż on zrobił ze mną? Podstępem zwał mnie do taksówki i oddał w ręce Urzędu Śledczego. Poprzysiągłem sobie zemstę. I teraz wybiła godzina jego kary. Sprowadziłem go tu, gdyż jestem pewien, że nikt lepiej od was nie stoi na straży sprawiedliwości złodziejskiej. Oto macie go i zróbcie z nim, co chcecie. O ile postanowicie, że trzeba go puścić wolnym, nie będę się temu przeciwstawił⁵⁹. Moim zdaniem jednak trzeba bezlitośnie wytepić tych, którzy zdradzają swoich ludzi. Nie powinniśmy zważać na to, że był kiedyś wśród nas lub położył dla nas pewne zasługi. Wręcz przeciwnie: winniśmy takich wykarzcować z naszych szeregów.

— Daj mu kuleczkę w łebek! — odezwał się pewien brunet. — A jeżeli nie chcesz, mogą to zrobić za ciebie.

Sprawiedliwość, Złodziej,
Obyczaj, Sąd

⁵⁹nie będę się temu przeciwstawił — popr.: (...) przeciwstawił. [przypis edytorski]

— Najlepiej to kilka majchrów⁶⁰ pod płuca i gotów!... — rzucił inny uczestnik din-
tojury swój projekt.

Franek już wywijął nad głową hotelarza nożem sprężynowym.

Szkielet, który wylegiwał się na łóżku, naraz odżył i zawołał:

— Żeby mi się nikt nie ważył ruszyć go, póki nie wyjawi przyczyny, dla której to uczynił!

— Racja! — wtórowało mu kilka głosów.

— Chodź no do mnie! — wyciągnął właściciel meliny ręce do ofiary. — I powiedz im: dlaczegoś tak postąpił? Tylko prawdę! Łgać będziesz, gdy wezwą cię przed sąd frajerów! Tu gadaj tylko prawdę!

Właściciel hotelu, na wpół żywy, rozglądał się dokoła przerażonymi oczyma. Nie miał odwagi otworzyć ust. Opróżnione butelki wódki i wina dawały mu do poznania, że wyrok nań już zapadł.

— Otwórz gębę! — wołał Franek. — Gadaj! Czemuś wyspał naszego brata?

— Jestem winny! — rozplakał się hotelarz. — Uległem namowie Wołkowa. Przy-
sięgam, że uczynię wszystko, by zasłużyć na łaskę. Nigdy się to więcej nie zdarzy.

Szkielet uniósł się na łóżku, wygrażając pięściami w stronę hotelarza. Jego małe oczki płonęły ogniem oburzenia.

— Płaczesz?!... Ordynarny kapuś!!! Bierzcie go!... Sprawa jest jasna jak dzień.

W jednej chwili ujęło go kilka mocnych dłoni. Na próżno hotelarz padł do nóg meliniarza, błagając o litość. Wyprowadzono go natychmiast na drugi koniec piwnicy. Roz-
legły się dwa głucho, po sobie następujące strzały. Przez chwilę zapadło milczenie, ze
względu na śmierć, która dopiero zabrała swą ofiarę. Ale wnet wrócono do stołu, jakby
nic nie zaszło.

Janek dobył z pugilaresu kilka banknotów i rzucił je na stół, szykując się do odejścia. Franek obliczył pieniądze i niezadowolony burknął coś pod nos. Janek utkwiał w nim pytające spojrzenie.

— Powiedz nam, Janku, czy jesteś zadowolony z wyroku — wycodził powoli Franek,
z trudem trzymając się na nogach.

— Tak. Dziękuję wam, żeście się ujęli mojej krzywdy.

— A więc jesteś z nas zadowolony. Zemściłeś się. A powiedz, jaka kara należy się
człowiekowi, który bez żadnego powodu zamordował swego najlepszego kolegę, własnego
wspólnika. Wspólnika oddanego mu duszą i ciałem?

— Śmierć! Śmierć takiemu zbrodniarzowi! — zawołali wszyscy zgodnym chórem. —
Szkielet na łóżku krzychał głośniejszym głosem od wszystkich.

Janek zbladł jak trup.

Franek udawał, że nie widzi tego i ciągnął dalej:

— Wszyscy ci, którzy domagają się sprawiedliwości od innych, nie widzą własnego
bezprawia. Powiedz, Janku, jesteś wszak specem w dziedzinie etyki złodziejskiej, co należy
z takim gościem uczynić?

— Masz mnie na myśli? Gadaj otwarcie! — wrzasnął Janek.

Przez dłuższą chwilę zapanowało w piwnicy grobowe milczenie. Franek i Janek zma-
gali się spojrzeniami. Meliniarz na łóżku zacierał ręce z zadowolenia i wzrokiem pełnym
zachwytu spoglądał na Franka.

— Tak. Właśnie o ciebie chodzi — odparł Antek odważnie. — Sądzisz, że jeżeli
masz na sobie elegancki garnitur, kosztowne futro i pierścień brylantowy, to ci już wolno
wszystko? Siadaj! Porozmawiamy ze sobą.

Janek usiadł, rozglądając się dokoła wyzywającym wzrokiem.

— Wódka wygaduje z ciebie — uśmiechnął się przez zęby.

— Mylisz się, przyjacielu kochany. Nie ma takiego trunku, którym bym się upił.
Bądź spokojny, wiem doskonale, o czym mówię. Powiedz, gdzie jest Felek!? — walnął
Franek pięścią w stół.

— Tak... Gdzie jest Felek?!... — powtórzyli wszyscy, przybierając groźną postawę. —
Tyś go zamordował.

⁶⁰majcher (gw. środ.) — nóż; tu: pchniecie nożem. [przypis edytorski]

Janek zbladł. Błyskawicznym ruchem, na jaki stać było tylko Klawego Janka, dobył z kieszeni rewolweru⁶¹.

— Tak łatwo mnie nie weźmiecie — syknął Janek i strzelił w stronę Franka. Kula utkwiała w ścianie. Janek był za bardzo zdenerwowany, aby strzelał celnie.

W ciągu następnej chwili Janek już leżał na ziemi. Kilka silnych ramion trzymało go mocno. Franek jedną ręką ścisnął Janka za gardło, a w drugiej błysnął nóż sprężynowy... Obecna w piwnicy córka meliniarza schwyciła Franka za rękę.

— Daj mu! — wydzierał się meliniarz. — Już najwyższy czas na niego.

Franek uniósł nóż. W tej samej chwili otworzyły się drzwi prowadzące do piwnicy. Na progu stanął Krygier.

— Krygier! Krygier! — zawołali obecni z szacunkiem i odstąpili od Janka.

Krygier, nie mówiąc ani słowa, podszedł do Janka i pomógł mu wstać z ziemi. Nikt nie śmiał protestować.

Janek uśmiechnął się zakłopotany. Miał na sobie podarte ubranie, z twarzy spływała krew.

— Co chcieliście z nim uczynić? — zapytał Krygier spokojnie. — Skąd się tu wzięłeś? — zwrócił się z kolei do Janka.

Właściciel meliny opowiedział, co zaszło. Krygier ujął Janka za rękę.

— Chodź ze mną. Nikt nie odważy się uczynić ci coś złego — zwrócił się Krygier do obecnych.

Franek wystąpił śmiało naprzód i odezwał się do Krygiera:

— Te, Krygier, nie bądź laki ważny i pewny siebie. Felek był naszym najlepszym kolegą i musimy pomścić jego krzywdę!

Krygier zmierzył Franka od stóp do głowy, nie wyrzekłszy ani słowa. Wszyscy spojrzeli na Krygiera z szacunkiem. Krygier wyjął z kieszeni paczkę banknotów i rzucił na stół.

— Przybyłem się tu trochę zabawić. Dobrze, że wpadłem w porę. Popelnilibyście wielkie głupstwo, Janek nie był gorszym wobec Felka przyjacielem od was i nie mniej od was ubolewa nad jego zgonem. Dość już był ukarany przez to, że nie potrafił opanować nerwów i strzelił do kolegi. Uważam, że powinniście go przeprosić za krzywdę, jaką mu wyrządziliście. Takich, jak Klawy Janek jest niewiele w świecie przestępczym...

Wszyscy rozejrzeli się dokoła. Właściciel meliny pierwszy wyciągnął do Janka rękę na znak zgody. Pozostali uczynili to samo.

— Wybacz, wszystkiemu zawiniła wódka — ściskali Jankowi dłoń.

Wdówka, córka meliniarza, obandażowała Jankowi policzek i prawiła mu komplementy. Janek pragnął czym prędzej znaleźć się z dala od tych ludzi, których usposobienie zmienia się z chwili na chwilę, zależnie od ilości wypitych trunków. Krygier i Janek pożegnali się i odprowadzeni przez wszystkich opuścili piwnicę.

— Po coś tam łaził? — zapytał Krygier — Nie mogłeś w inny sposób zemścić się na hotelarzu, żeby się nie uciekać do ich pomocy? Życie twoje wisiało na włosku...

— Skąd tyś się tu wziął? Gdyby nie ty, zamordowałiby mnie.

— Masz to do zawdzięczenia córce meliniarza. Wiedziała, co ci grozi. Już od dawna czatowali na ciebie za zabójstwo Felka. Przysłała do mnie człowieka. Masz szczęście, że m zdążył w porę.

Wsiadli do taksówki i kazali sobie wieźć do Bajgele. Tam przebrali się i pojechali na Dworzec Główny. Pociągiem pospiesznym udali się do Zakopanego.

ROZDZIAŁ XIII

Minęło kilka tygodni. Wiosna była już w całej pełni. Krygier i Janek czynili przygotowania do opuszczenia Polski. Po klęsce, jaką Janek doznał⁶² w Warszawie, pragnął czym prędzej opuścić kraj. Ale Ada zwlekała z dnia na dzień, jak gdyby czekała na coś, co ma niebawem nastąpić.

Także Krygier zaniedbał się trochę w obowiązkach. Szukał okazji, by być jak najbliżej Janka i jego kochanki. Żadna kobieta nie pociągała go tak, jak Ada. Nie śmiał o tym

⁶¹dobył z kieszeni rewolweru — dziś popr.: (...) rewolwer. [przypis edytorski]

⁶²klęsce, jaką (...) doznał — popr.: klęsce, jakiej doznał. [przypis edytorski]

mówić otwarcie. Jeszcze trwał w walce ze sobą, z ukrytymi uczuciami, które uważał za ośmieszające go.

Krygier zdawał sobie sprawę z tego, że Ada z rozmysłem zwabia go w swoje podstępne sieci kokoty. I postanowił wytrwać. Nie poddać się.

Ada nie ustępowała. Czytała z jego twarzy, że stoi wobec pokusy. Robiła, co mogła, nie przepuszczając najmniejszej okazji. Starła się urządzać tak, by coraz częściej pozostawać sam na sam w pokoju z Krygierem. Wiedziała, że gdy zdobędzie go, otworzą się przed nią wszystkie tajemnice tej bandy.

Ada, widząc, że ta droga zawodzi, usiłowała rozpalic w Janku pożogę zazdrości, by rzucił się na Krygiera. Działała w myśl zasady, że gdzie dwaj się kłócą, tam konfident

Kłótnia, Konflikt, Zdrada

uzyskuje informacje... I oto pewnego wieczora, gdy Krygier przybył do pokoju Janka, by omówić pewną „robotę”, którą⁶³ pilnował w Warszawie, zastał tam tylko Adę. Przywitała go serdeczniej niż zwykle. Od razu wskazała mu miejsce na kozetce, siadając tuż obok niego. I już po chwili znalazła się na jego kolanach.

Krygier był oszołomiony. On, człowiek o niebywale silnej woli, poczuł się słabym młodzieńcem, którego uwodzi wyrefinowana kobieta.

Ale zanim Krygier zdążył jej coś powiedzieć i przestrzec, że z nim nie da sobie rady oraz że oprze się każdej pokusie, drzwi się otworzyły i na progu pokoju stanął Janek. To, co ujrzał, wprowadziło go w stan osłupienia.

Janek i Ada zamienili ze sobą spojrzenia, jakby spotkali się na innym świecie. Ada jednak w lot zorientowała się, co ma zrobić.

Zwinnie zeskoczyła z kolan Krygiera i fluternie zaśmiała się.

— Brawo! Brawo! — zawołała radośnie — Jesteś zazdrosny!... Janek jest o mnie zazdrosny! Ha, ha, ha. Chciałam to sprawdzić na sobie i nareszcie przekonałam się! Założyłam się z Krygierem, który utrzymywał, że z ciebie nie taki głupi chłopak, byś miał być zazdrosny... Wygrałam zakład!... Daj no szybko te pięćdziesiąt rubli!... — zawołała radośnie do Krygiera. — Przegrałeś, więc płac!...

Krygier nie ruszał się z miejsca. Jego oczy dziwnie patrzyły na Adę. Czoło jego pokryły zmarszczki, które świadczyły, że dokonał odkrycia. Istotnie przejrzał teraz tę kobietę.

Janek, jak każdy zakochany, przyjmował słowa Ady z ufnością. Oboje padli sobie w objęcia i usta ich połączyły się w pocałunku.

— Czego siedzisz tak, jakbyś znieruchomiał? — zawołał Janek do Krygiera. — Nie sądzę, że jestem taki głupi i uwierzyłem, żeś chciał mi odbić przyjaciółkę. Zresztą ufam jej i jestem przekonany, że nie byłaby do tego zdolna. Ale najważniejsze, że Ada nie jest znowu taka głupia, by chciała mnie zastąpić tobą.

Krygier wymusił na sobie uśmiech, nie odpowiadając ani słowa. Wstał z kozetki i zamierzał odejść.

— Wpierw oddaj mi pięćdziesiąt rubli, które przegrałeś — wyciągnęła do Krygiera rękę uśmiechnięta Ada.

Krygier zmierzył ją ostrym spojrzeniem od stóp do głowy. Ada straciła w jego oczach wszystko. Przekonawszy się, że Janek jest usidlony przez niebywale niebezpieczną kobietę, powziął raptownie decyzję.

— Janku, musisz ze mną natychmiast pójść. Ale już! Niezwłocznie! Musimy omówić pewną ważną sprawę.

Ale Ada próbowała obrócić poważny nastrój. Nadal żartowała.

— Jak to, panie Krygier, nie płaci pan przegranego zakładu? Gotowam pomyśleć, że pan nie jest dżentelmenem!...

Janek obserwował ich, nie rozumiejąc niczego. Dostrzegł tylko, że Ada dziwnie ściągała powieki, a twarz jej pokrywały na przemian to rumieńce, to bladość.

Ale Krygier, jakby nie zważał na nią i ostro pociągnął Janka za sobą:

— Chodź! Muszę z tobą pomówić w bardzo ważnej sprawie. Zapominasz się.

Do rozmowy wtrąciła się Ada:

— Janek teraz nie pójdzie! — pociągnęła go za ramię ku sobie, spoglądając ostro w stronę Krygiera.

⁶³robotę, którą pilnował — dziś popr.: robotę, której pilnował. [przypis edytorski]

— A ja ci powiadam, że pójdzie ze mną! — Utkwił swój wzrok w twarzy Ady. Zwracając się do Janka, Krygier rzekł: — Zapomniałeś już, że w *tamtej* sprawie umówiliśmy się na trzecią w nocy w Warszawie. Musimy się stawić na czas.

— *Tamta* sprawa to nie zajac i nie ucieknij! — odparła Ada, śmiejąc się na głos. — W ogóle więcej mu nie pozwolę na uczestnictwo w *tamtych* interesach... Dosyć! Nie chcę, aby więzienie nas rozłączyło! Słyszysz? Nie chcę...

Janek stał niezdecydowany. Nie mógł umysłem ogarnąć tego, co między nimi zaszło. Ada zmuszała go spojrzeniem do posłuszeństwa. W duchu Janek staczał walkę: kogo tu słuchać? Adę czy Krygiera?

Janek przemówił niepewnym głosem:

— Co się pali? Później opowiesz mi o tym, co jest takie pilne. W Warszawie możecie to wykonać beze mnie.

Krygier nie wyrzekł ani słowa. Trzasnął drzwiami. Czuł się do żywego dotknięty. Teraz nie miał żadnej wątpliwości, że Janek dostał się w sieci, do których wciągnął także swoich towarzyszy. Gdy przypomniał sobie wszystkie rozmowy, które prowadzono w obecności Ady, doszedł do przekonania, że Ada jest wyrafinowaną i przewrotną konfidentką i że wie już zbyt wiele o całej bandzie.

W godzinę potem Krygier mknął już autem w kierunku Warszawy.

Gdyby tak zapytano Krygiera o powód jego pośpiechu, nie umiałby na to pytanie udzielić usprawiedliwiającej odpowiedzi. Czuł, że gna go jakaś tajemnicza siła. Chciał się wyrwać z piekielnego kręgu myśli, które go trzymały w napięciu i podnieceniu. Zdawał sobie sprawę z tego, że powinien na zimno wszystko rozważyć i załatwić, by czym prędzej opuścić Polskę. A załatwić miał jeszcze sporo spraw.

Musi zlikwidować sprawy wiążące go z Jankiem, Milczkiem, Antkiem, Bajgelem, „Zimną kokotą”...

O Wolkowie najmniej teraz myślał. Dokument, który miał przy sobie, z podpisem Wolkowa, wystarczał mu, by móc go trzymać w szachu. Szczupaka i jego wywiadowców najmniej się teraz obawiał.

Najwięcej niepokoiła go Ada, kochanka Janka. Na wspomnienie o licznych znajomościach zawartych za jej pośrednictwem w pensjonacie pomyślał ze strachem, czy nie było wśród nich konfidentów, którzy bawili się z nim w kota i myszkę.

— Czym prędzej uciekać stąd — mawiał do siebie Kryger.

Do Warszawy auto jego przybyło o drugiej w nocy. Krygier kazał siebie zawieźć do jednego z nocnych lokali. Wiedział, że w tym stanie podniecenia, w jakim się znajdował, nie będzie mógł zasnąć. Nadto spodziewał się, że w tym lokalu zastanie swoich towarzyszy.

Krygier wszedł do lokalu krokiem pewnym siebie. Panowała tu specyficzna atmosfera, przesiąknięta zapachem potraw, trunków i perfum. Wydekoltowane panie siedziały obok wyfraczonych panów.

Orkiestra grała sentymentalne tango. Krygier przystanął, by ostrym spojrzeniem objąć tańczące pary oraz siedzących przy stolikach.

W półmroku, który teraz zapanował, parki posuwały się po śliskiej posadzce. Twarze pań wyrażały triumfalną pewność z tego, że mężczyźni, którzy krzątają się dokoła, są igraszką w ich ręku.

Krygier nie znosił teraz triumfujących oczu kobiet. Ruchy ich ciał w tańcu sprawiały na niego⁶⁴ wrażenie tańca węży. Wydusiłby je teraz!... Teraz oskarżał w duchu kobiety, że dla nich ludzie giną, dla nich dostają się do więzień!...

Usiadł z boku, przy wolnym stoliku. Nie odpowiadał na prowokujące uśmiechy wydekoltowanej „świeżej” blondynki. Nie mogąc się pozbyć natrętnych spojrzeń, odwrócił się od niej nerwowo.

Kelner, dobry psycholog, spostrzegłszy ruch gościa, pośpieszył doń, by go wyrwać z opresji...

— Sługa jaśnie pana dyrektora — skłonił się przed Krygierem.

— Szampana! — rzucił Krygier krótko.

Taniec, Kobieta, Wąż,
Męczyzna

⁶⁴sprawiwały na niego wrażenie — popr.: sprawiały na nim wrażenie. [przypis edytorski]

Po pierwszym kieliszku humor poprawił się Krygierowi. Mimo woli wzrok jego błędził po obnażonych plecach tancerek i eleganckich pań. Cała sala przedstawiała mu się jak we mgle.

Dziwił się, że Milczek i Antek tu nie przybyli. Tak umówili się, że na pewno tu zajrzą, czy przyjechał. Może wyspali się?... Mieli tu być punktualnie o trzeciej. Ludzie nocy są zazwyczaj bardzo punktualni. Wiedzą, że do pracy muszą się stawić z zegarkiem w rękę. Od jednej minuty zależna jest ich wolność, a czasem i życie! Jedna minuta może zaważyć na wymiarze kary! A skoro jednak się spóźnili, musi w tym coś być. Krygier był zaniepokojony. Nerwowym ruchem wyjmował co pewien czas zegarek.

Krygier wstał od stolika, by udać się na pierwsze piętro, gdzie również mieściła się sala. Oстрыm spojrzeniem Krygier jakby sfotografował obecnych na górnej sali, jego towarzyszy i tu nie było. Pewnym krokiem skierował się ku drzwiom. Wtem spostrzegł kogoś, na widok którego nawet stalowe nerwy Krygiera nie wytrzymały. Silny dreszcz wstrząsnął nim. U wejścia stanął oko w oko ze Szczupakiem.

Krygier usiłował odwrócić głowę, udając, że go nie widzi. Ale komisarz policji z uśmiechem zadowolenia na twarzy zbliżył się do Krygiera i szepnął mu na ucho:

— Panie Krygier, pan jest aresztowany!...

Krygier próbował przybrać niewinny wyraz twarzy, ale komisarz dodał stanowczym głosem:

— Jeżeli panu zależy na wywołaniu zbiegowiska, proszę bardzo. Mnie się jednak wydaje, że dla nas obu będzie lepiej, gdy to przeprowadzimy dyskretnie i spokojnie. Po co goście lokalu mają wiedzieć, kim pan jest naprawdę.

Szczupak jakby teraz urósł o kilka głów wyżej. Jego twarz wyrażała triumf, pewność siebie, zwycięstwo. A silnie zbudowany, rosły Krygier naraz poczuł się słaby, maluczki, bezsilny niby dziecko. Spotkanie to nastąpiło nadszpodziewanie szybko. Był zaskoczony. W lot zorientował się, że stawianie w tej sytuacji oporu byłoby bezcelowe. Obaj wyszli spokojnie na ulicę. Nikt z gości nawet nie zauważył sceny, która rozegrała się we drzwiach.

Obaj szli chodnikiem ulicy obok siebie, nie zamieniając ze sobą ani słowa. Krygier dziwił się, że komisarz nie wzywa pomocy policji. Nie pojął pewności siebie, która biła z tej drobnej postaci.

Skręcili do bocznej uliczki. Naraz Szczupak przystanął:

— Pan wybaczy, panie Krygier, ale.... Proszę pozwolić swoje ręce.

Żelazne kajdanki zadzwoniły w uszach Krygiera, który panował nad sobą i odpowiedział spokojnie:

— Czego się pan tak śpieszy?

— Tempo! Tempo! — rzekł lekceważąco Szczupak.

— I pan naprawdę zamierza mnie odprowadzić do Urzędu Śledczego?

— Co w tym dziwnego? No, dawaj prędzej łapki. Później pogadamy ze sobą. Szkoda czasu. Czekają na nas w Urzędzie Śledczym.

Krygier był więcej niż pewny, że pozostaje pod ukrytą obserwacją ludzi Szczupaka, w przeciwnym razie nie zachowałby się tak spokojnie i pewnie.

Szczupak robił dziwne wrażenie z rewolwerem w jednej, a kajdankami w drugiej ręce, wobec wysokiego i rosłego Krygiera.

— Zbyt wielki spotkałby pana zaszczyt, gdyby pan osobiście mnie zaprowadził do Urzędu Śledczego.

— O to mnie właśnie chodzi! Zresztą nie uważam pana za tak głupiego, by nie domyślił się, że moi ludzie mają tu pana na oku. Radzę przeto panu nie próbować stawiania oporu. Powiem panu więcej. Cała pańska „paczka” jest już dawno w moim rękę. Każdej chwili mogę ich osadzić w więzieniu, jak to uczyniłem dziś z panem. Co słyhać w Zakopanem?

— Świetnie — odparł Krygier z uśmiechem. — Klawy Janek rozkoszuje się tam urodziwą waszą konfidentką. Tym razem (muszę panu zrobić komplement) konfidentka gra swoją rolę wybornie.

— A pana ta kobieta nie zaintrygowała? — uśmiechał się Szczupak.

Krygier zagryzł wargi i rozglądał się z lękiem dokoła.

— Czego się pan tak rozgląda? Daremnie. Pan tu nikogo nie zauważy. Moi ludzie są dobrze ukryci w bramach domów. Także twoi ludzie trzymają mnie pod obserwacją. Pozwól nałożyć sobie kajdanki na ręce, a zaoszczędzisz mi alarmu.

— Pan mówi to poważnie?

— Wszystko co robię, jest poważnie pomyślane.

— Ja także — uśmiechnął się Krygier.

— Wiem o tym, ale zapewniam pana, że teraz już nic się nie da zrobić. Niejedną rwałem noc bezsenność z twego powodu i twoich kompanów, już najwyższy czas, abyście zaznali odpoczynku za kratami.

Krygier rzekł z wymuszonym uśmiechem:

— Mam nadzieję, że pan komisarz i teraz mnie puści wolnym.

— Z jakiej racji?

— Bo ocalałem panu życie w swoim czasie, w naszej piwnicy. Takie rzeczy się pamięta. Człowiek winien być wdzięczny.

— Niestety, tym razem nie mogę bawić się w ciuciubabkę i udawać „dżentelmena”. Daj pan lepiej swoje ręce.

Krygier patrzył na niego obojętnie, nie ruszając się z miejsca.

Krygier w czasie rozmowy kręcił nerwowo łaską, jakby rozmyślał nad tym, jak postąpić. Nie mógł się zdecydować. Komisarz nie spuszczał zeń oka, śledząc za najmniejszym jego ruchem. Krygier nie mógł pojąć, dlaczego z nim kontynuuje rozmowę, nie alarmując posterunkowych czy ukrytych wywiadowców.

— Chodźmy! — rozkazał komisarz. — Radzę panu nie próbować ucieczki, gdyż jestem doskonałym strzelcem.

— Wszyscy detektywi lubią się chwalić — roześmiał się Krygier.

— Idziemy! — ponowił rozkaz Szczupak.

— Nie ma rady! — żartował Krygier. — Trzeba iść. O ile pan koniecznie obstaje przy żądaniu, proszę, oto moje ręce. Nie chcę, by panu serce waliło ze strachu...

Krygier wyciągnął ręce, by Szczupak założył mu kajdanki.

Szczupak potrząsnął głową na znak, że już zrezygnował z tego pomysłu.

Obaj szli w milczeniu, każdy pogrążony w rozmyślaniach. Szczupak nie wątpił, że uda mu się osobiście odprowadzić Krygiera do Urzędu Śledczego. Serce jego rozpiezło uczucie radości, że będzie mógł zaimponować Wolkowowi.

W rzeczywistości Szczupak nie miał nikogo do pomocy. Wszedł do nocnego lokalu i przypadkowo natknął się tam na Krygiera. Zdawał sobie sprawę z tego, że tylko odwagą i samozaparciem zrealizuje to niebezpieczne przedsięwzięcie.

Dobrze znał karpie głowy świata podziemnego, do których zaliczał się Krygier. Wiedział z doświadczenia, że tacy ludzie nie mają przy sobie broni, a nawet gdy ją mają przy sobie, nie robią z niej użytku. Rozpruwacze nienawidzą „mokrej” roboty. Szczupak postanowił grać rolę bohatera nieustraszonego do końca. Był pewien, że Krygier nie pozna się na tym i że nie będzie próbował ucieczki.

Dzieliła ich już niewielka odległość od Urzędu Śledczego, jeszcze jedna uliczka!...

— O ile się nie mylę, wnet będziemy na miejscu... — odezwał się Krygier. — Czy można wiedzieć, za jakie przestępstwa pan mnie aresztuje?

— Rozumiem pana. Ma pan tyle przestępstw na swoim sumieniu, że nie orientuje się pan w sytuacji... Bądź pan spokojny o to, już sporządzimy odpowiedni spis. Przede wszystkim interesuje nas sprawa włamania do skarbcza.

— O jakim skarbcu pan mówi?

— O tym pomówimy w Urzędzie Śledczym. Zresztą już jesteśmy bardzo blisko.

Zegar na ratuszu wybił godzinę piątą, gdy obaj znaleźli się na schodach wiodących do Urzędu Śledczego. Szczupak był tak wyczerpany ze strachu i triumfu, że Krygiera odprowadził do pierwszej celi aresztu, gdzie Regina zakończyła tak tragicznie młode życie. Żelazne drzwi zatrzasnęły się za Krygierem. Pozostał sam w celi.

Krygier parsknął głośnym śmiechem. Nie mógł opanować wybuchu dobrego humoru. Ale już po chwili nastrój mu się zmienił.

— Co za idiota ze mnie! — wołał, przemierzając celę nie wiadomo po raz który. — Po co szedłem do tej konfidentki?... Pomknąłem z Zakopanego do Warszawy?... Jakże

nieostrożnie zachowałem się, wstępując do nocnego lokalu!... Ale dlaczego ani Milczek, ani Antek nie uprzedzili mnie o grożącym niebezpieczeństwie?

Rzucił się na drewnianą naręć⁶⁵ ustawioną w celi. Wzrok utkwiał w ciemnym suficie. W celi robiło się coraz jaśniej, ale w jego sercu — coraz ciemniej. Przyszłość zapowiadała mu się w świetle ponurym.

Nie po raz pierwszy trafił do więzienia. Niejednokrotnie przymierał głodem. Ale to było dawniej. Tyle już czasu upłynęło. Szczęście mu sprzyjało. Dziesięć lat bez przerwy bawił na wolności. Używał. Pieniądzy mu nie brakło. Prowadził wytworny tryb życia. Nie było jednak więzienia, z którego by mu nie udało się uciec. Ale teraz czuł się złamany. Zdawał sobie sprawę z tego, że policja miała go od dłuższego czasu na oku i że śledziła każdy jego krok. Nie mógł sobie wybaczyć, że on, Krygier, doświadczony król rozpruwaczy, dał się wodzić za nos przez wyrafinowaną konfidentkę.

— Ach, gdybym się teraz wydostał stąd, udusiłbym ją! — wołał Krygier w rozpacz. — Własnymi rękami udusiłbym ją!

Krygier nigdy nie popełnił zbrodni. Nie zrobiłby tego za żadną cenę. Ale tę kobietę, która podstępem dostała się do ich bandy, by ją wydać w ręce policji, gotów był zgładzić ze świata. Uczyniłby to na zimno.

— Kto wie, czy Klawy Janek już nie powędrował za kraty? — przebiegła jego mózg złowroga myśl.

Wielki żywił teraz żal do Janka, bo gdyby nie uganiał się o jej względy⁶⁶, nie doszłoby do tego.

Naraz przypomniał sobie Reginę.

„Gdzie to naraz zniknęła bez śladu?” — zapytywał siebie Krygier w duchu.

Różne myśli napływały mu teraz do głowy. Nie mógł się nadziwić postępowaniu komisarza Szczupaka. Dlaczego na przykład nie poddał go rewizji, zanim zamknął w celi, jak to zazwyczaj się robi z aresztowanym, którym wyjmuje się wszystko z kieszeni?

Krygier rzekł do siebie:

— Zapewne wezmą się zaraz do mnie. Oni są pewni, że tu niczego nie zdołam wymyśleć.

Wzrok jego spoczął na grubych kratkach. Zerwał się z posłania, by zbliżyć się do okna. Ręką namacał kraty. Uśmiech zgorzkniały wykrzywił jego usta:

— O, te kraty są za grube! Mój *włós* będzie bezsilny wobec nich! A zresztą zbyt wiele czasu trzeba było stracić, a kto wie, czy zaraz odesłają mnie do więzienia.

Krygier stale nosił przy sobie *włós* angielski, ukryty w obcasach swoich pantofli angielskich. Z tego względu nigdy nie przerażał się faktem aresztowania.

Zaczął badać okiem dziedziniec, na który okno wychodziło. W lot zorientował się, że ta droga nie prowadzi na wolność.

Zbliżył się do drzwi. „Fachowo” je obmacał ze wszystkich stron. Wyczuł nawet wytrzymałość rygli, umieszczonych po tamtej stronie. Jako inżynier zdawał sobie sprawę z tego, jaka czekałaby go praca, gdyby zdecydował się na tę *robotę*. Pragnął za wszelką cenę jeszcze tej nocy odzyskać wolność. Dręczyła go niepewność, czy zostawią go na noc w tej celi. Wiedział z doświadczenia, że takie karpie głowy⁶⁷ jak on nie trzymają długo w areszcie Urzędu Śledczego. Nie ufają im. Wolą ich trzymać w pewniejszych więzieniach.

Słońce rozgościło się w jego celi. Krygier dla zabicia czasu zaczął odczytywać napisy na ścianach.

Były to wryte imiona i nazwiska, przydomki i przezwiska, aforyzmy i powiedzonka, przekleństwa i wyzwiska — wypisane ołówkiem czarnym lub kolorowym, albo wryte w ścianie, niektóre porysowane paznokciem! Autorami tych wypowiedzi byli ludzie nocy, dzieci podziemi. Krygier z zainteresowaniem odczytywał te uwagi o życiu, o szczęściu, wolności, miłości, pieniądzu i wielu innych najważniejszych sprawach, które wypełniają treść naszego życia.

⁶⁵nara — więzienne łózko. [przypis edytorski]

⁶⁶gdyby nie uganiał się o jej względy — popr.: gdyby nie ubiegał się o jej względy lub: gdyby nie uganiał się za nią. [przypis edytorski]

⁶⁷takie karpie głowy jak on nie trzymają długo — dziś popr.: takich karpich głów jak on nie trzymają długo. [przypis edytorski]

Wtem usłyszał on twarde kroki. Potem rozległo się silne uderzenie do drzwi.
„Aha, sprowadzają nowego gościa! — pomyślał w duchu Krygier. — Kto wie, może jeden z moich ludzi?”

Klucz zgrzytnął w zamku. Drzwi otworzyły się z łoskotem.

Do celi weszli dwaj wywiadowcy. Ostro spojrzeli na Krygiera. Z ich twarzy biła surowość i stanowczość. Jeden z nich rzucił rozkazującym tonem:

— Opróżnić kieszenie!

Bez słowa protestu Krygier wyłożył wszystko, co miał w kieszeniach. Powoli i systematycznie Krygier wyjmował cenne przedmioty i klejnoty: złoty zegar wysadzony brylantami, złotą papierośnicę, brylantowy pierścionek, drogie pióro wieczne, spinki wysadzone diamentami, no i sporą sumę pieniędzy.

Wywiadowcy spoglądali na te przedmioty pożądlivym okiem. Krygier ironicznie uśmiechał się, badając wywiadowców, czy czasem nie da się z nimi ubić interesu.

Jeden z wywiadowców wyrwał Krygiera z kręgu jego rozmyślań krótkim pytaniem:

— Czy pan wszystko wyłożył?... Muszę pana poddać osobistej rewizji!

— Czyńcie waszą powinność! — odrzekł oschle Krygier.

Wywiadowcy zamienili się spojrzeniami.

— Zdejm pan marynarkę! — rozkazał jeden z wywiadowców.

Krygier spełnił rozkaz bez szemrania. I nie czekając na dalsze ich zarządzenia, zdjął także kamizelkę, spodnie.

Wywiadowcy obmacali go, przetrząsnęli jego odzież, po czym wydali mu polecenie, aby się ubrał.

Krygier drżał na myśl, że mogą jeszcze oderwać jego obcasy. Ostatnią nadzieję odzyskania wolności pokładał w ukrytych tam *włosach* angielskich. Innego wyjścia nie widział na razie. Agenci, którzy na pewno uchodzili za najpilniejszych w tym Urzędzie, nie pomyśleli jednak o tej ewentualności.

— Czy ma pan jakieś życzenie? — spytali przed odejściem.

— Nie — odparł Krygier dumnie.

— Może coś zjeść?

— Nasycił mnie wasz widok.

— Stul pysk! U nas odpowiada się tylko na pytanie. Będziesz śpiewał tak, jak ci zagramy — dodał agent z wyraźnym zadowoleniem, że może zadać Krygierowi ból moralny.

— To będzie zależało ode mnie — ironizował Krygier w dalszym ciągu.

— I od nas — jednocześnie odezwali się obaj wywiadowcy.

Krygier odwrócił się od nich, pogwizdując sobie znaną melodię. Agenci byli dotknięci lekceważącym ich zachowaniem się Krygiera.

— Uważaj, bo źle na tym wyjdiesz — odgrażał się jeden z nich.

— Do widzenia! — rzeki Krygier spokojnie. — Zróbcie mi tę grzeczność i uwolnijcie mnie od nieprzyjemnego towarzystwa... Domyślcie się chyba, że mam teraz nad czymś ważniejszym do zastanowienia się, niż prowadzić z wami „miłe” pogawędki. Zresztą waszą powinność spełniliście, a zatem wasza rola skończona. Czego jeszcze chcecie? Będę gadał tylko z sędzią śledczym, a z wami: nie!

— Pan jest cwany, panie Krygier. Albo pan udaje niewiniątko. Przecież wiemy, że nie po raz pierwszy trafił pan do *ula*. Pan zapewne także wie z doświadczenia, że zanim pana przedstawimy sędziemu śledczemu, będziemy musieli „rozmówić się”... To stara metoda, jak świat...

Krygier nie odpowiedział. Utkwił wzrok w ścianie i odczytywał napisy. Wywiadowcy, zranieni w najczulszym miejscu ambicji, zatrzasnęli za sobą drzwi.

Krygier naraz zauważył na ścianie, tuż obok okna, napis treści następującej:

„Towarzysze, w razie gdyby ktokolwiek z was przeczytał słowa niniejsze, proszę was, powtórzcie je Krygierowi, że ja Regina, kochałam go prawdziwie. Serce mi mówi, że już go więcej nigdy nie ujrzę!
REGINA”.

Krygierowi wydawało się, że te słowa rozlegają się jakby zza grobu. Był wstrząśnięty. Zapomniał naraz, gdzie przebywa, co się z nim stało. Przed oczyma stanęła mu żywa postać Reginy, która czyniła mu wyrzuty.

Wydawało się Krygierowi, jakby cały świat się zawalił i że on tylko jeden pozostał na tej ziemi, by zbadać przyczynę jej tajemniczego zniknięcia.

Nie wątpił, że te słowa napisane zostały ręką Reginy. Poznawał jej charakter pisma.

Odczytywał te słowa niezliczoną ilość razy, jakby chciał odcyfrować zakute w te słowa przeżycia psychiczne tej kobiety. Usiłował wyjaśnić tajemniczy splot przeżyć Reginy.

— W jaki sposób tu się dostała? — rozpaczał Krygier. — I dokąd znikła⁶⁸ po pobycie w tej celi?

Nadaremnie natężał umysł, by rozwikłać te zagadkę. Przywodził na myśl różne wypadki, które przechodzili ludzie nocy za grubymi murami więziennymi, zazdrośnie strzegącymi swych dziwnych tajemnic... Mury więzienne milczą jak zakłętę!

Odkrycie dokonane przez Krygiera na murze w celi aresztu — napis Reginy — wstrząsnęło nim. Krygier domyślił się, że tu zaszła jakaś straszliwa rzecz, że Regina wpadła w sieci intrygi i że teraz kolej na niego. Krygier, zastanawiając się nad splotem tych spraw, przychodził⁶⁹ do wniosku, że niebezpieczeństwo, które mu grozi, jest daleko większe, niż to sobie początkowo wyobrażał. Dziwił się, że Szczupak wcale się nie zgłasza. Jego spokój i cierpliwość dawały Krygierowi wiele do myślenia.

Krygier pędził ze zdenerwowania z kąta w kąt po wąskiej, małej celi. Był głodny. Nie zapukał jednak do drzwi, by wezwać klucznika. Wiedział z doświadczenia, że każdy aresztowany musi przejść „kurację głodową”. Pogodził się z losem.

Wyczerpany fizycznie i moralnie, położył się na narze drewnianej i zasnął. Słodkie sny przesłoniły mu gorzką rzeczywistość. Gdy przebudził się, w celi znów było ciemno. Minął zatem dzień. Ponura cęla oddziaływała na Krygiera deprymująco. Był wściekły na siebie, na ludzi nocy, na prześladowców, na starość, która już mu dokuczała.

Musiał wyteżać siłę woli, by zdławić w sobie uczucie głodu. Nadaremnie chciał zapomnieć o tym, ale żołądek upominał się o swoje prawa.

A w głowie mu huczało: Wołkow i Regina. Co między nimi zaszło? Tylko Wołkow mógłby wyjaśnić tę tajemnicę i wskazać adres jej pobytu.

Depresja przytłaczała Krygiera. Coraz częściej wypływała myśl o samobójstwie.

Życie mu obrzydło. Z odrazą myślał o nicości i pustce życia ludzkiego, świat wydawał mu się terenem zaludnionym przez komediantów, hyeny i sadystów, którzy czyhają na swoje ofiary. Machinalnie zdjął szelki i wypróbował ich moc. Ale już po chwili rzucił je o ziemię.

— Ja, Krygier, postrach policji i właścicieli kas ogniotrwałych nie skończę w tak sromotny sposób. Walczyć będę do ostatka! Nie skończę jak tchórz!

Głód zaczął mu dokuczać w niemożliwy sposób. Już nie mógł o niczym innym myśleć, prócz o jedzeniu. Miał widziadła, w których tematy obracały się dokoła restauracji, kawiarni i cukierń. Widziadła te doprowadzały go do szaleństwa. Doznawał zawrotu głowy.

W pewnym momencie rozległy się kroki na korytarzu. Krygier nadsluchiwał. Może już idą po niego. Ale kroki ucichły. Staczał ze sobą walkę: przypuścić szturm do drzwi i przypomnieć klucznikowi o swoim istnieniu, czy też wytrwać do końca.

Ostatnią nadzieją Krygiera był Wołkow. Pół życia gotów był teraz oddać, by móc zapytać Wołkova, co zamierza z nim uczynić.

Krygier pocieszał się, że Wołkow tak będzie manewrował, by go puścić wolnym. Dokument podpisany przez niego przyda mu się teraz. Jeżeli wypadnie mu siedzieć, to i Wołkow powędruje za kraty więzienne. Krygier był zadowolony, że nie miał przy sobie dokumentu, w którym Wołkow przyznawał się do zabójstwa policjanta i jego obrabowania.

Ale głód raz po raz odzywał się i upominał o jedzenie.

Krygier postanowił do ostateczności walczyć z głodem. Był niemal pewny, że policja zajęta jest likwidowaniem jego bandy i dlatego nikt nie zajmuje się nim. Ten stosunek władz do Krygiera wytrącał go z równowagi.

Tracił siły. Nie mógł się utrzymać na nogach. Położył się na narze. Jak we mgle przesuwaly się przed jego oczyma obrazy z dawnej przeszłości. Przypomniały mu się lata dzieciństwa... rodzice, którzy byli poczciwymi ludźmi... różne przestępstwa... paczki

⁶⁸dokąd znikła — popr.: gdzie znikła. [przypis edytorski]

⁶⁹przychodził do wniosku — popr.: dochodził do wniosku. [przypis edytorski]

banknotów... współnicy... kobiety, które dawały mu chwile rozkoszy, ale których nienawidził z całej duszy... Koszmarne wizje ciągnęły się w nieskończoność... Całą noc prawie przetrwał w tym stanie ni jawy, ni snu. Głód stawał się dokuczliwszy z minuty na minutę. Nie mógł zasnąć, a na jawie nie mógł panować nad nerwami.

W pewnym momencie zerwał się z posłania, by zabrać się do dzieła.

Postanowił wydostać się z celi za wszelką cenę. Zrzucił z siebie pantofle i zaczął odrywać obcasy, które kryły w sobie ostatnią nadzieję.

Ale wtem stało się coś takiego, co mogło przyprowadzić Krygiera o utratę zmysłów. Chwył obuwie w ręce i podbiegł z nimi do okna. Tam z przerażeniem stwierdził, że to nie jego obuwie, lecz bardzo podobne do jego pantofli. W jaki sposób dostały się do jego rąk, nie mógł sobie wytłumaczyć...

Ze zmartwienia począł biegać po celi więziennej na wpół oszalały. Rwał sobie włosy z głowy, nadaremnie usiłując zrozumieć, co zaszło. Ale naraz zaświtało mu w głowie.

Obaj agenci zamienili mu obuwie w momencie, gdy Krygier przebierał się. Znany był im widać trick z ukrywaniem *włosów angielskich* w obuwiu. Przynieśli zapewne ze sobą podobne pantofle. Krygier w pośpiechu i zdenerwowaniu nie spostrzegł się, co zaszło.

Krygierowi wzbierało się⁷⁰ na płacz i śmiech zarazem. Podobała mu się pomysłowość agentów, wściekał się na myśl o swojej bezbronności. Teraz już rozumiał pewność siebie Szczupaka i innych ludzi z Urzędu Śledczego, z jaką zachowywali się wobec niego, zamkniętego w celi aresztu.

Krygier począł zmagać się z kratami więziennymi. Nie ustępowały jego mięśniom.

Kłęska jego była kompletna. Nie widział znikąd ratunku dla siebie.

Siły go stopniowo opuszczały. Powieki jakby same się przylepiały do snu. Głowa mu ciążyła niby ołów. Nogi ugiwały się pod nim.

„Jak długo tak pociągnę bez jedzenia?” — zapytywał siebie w duchu.

W pewnej chwili drgnął. Nie wiedział, czy to przywidzenie, czy naprawdę podchwycił tajemnicze szmery na korytarzu. Raptownie usiadł na posłaniu i wyętył słuch.

Kroki stawały się coraz wyraźniejsze. Ucichły. Przekręcają klucz w drzwiach.

— Wołkow... Wołkow... — szepnął do siebie Krygier.

Drzwi otworzyły się możliwie jak najspokojniej. Wołkow wślizgnął się, zamykając za sobą drzwi.

— Szysz... cicho... to ja...

Krygier zeskoczył z posłania. Przez krótką chwilę obaj spoglądali na siebie, chociaż z powodu ciemności nie mogli siebie widzieć dokładnie.

— Masz, zjedz wpierw coś. Jesteś głodny zapewne.

Wołkow wypowiedział te słowa dziwnym głosem. Łatwo można było wyczuć, że coś ukrywa. Wołkow podsuwał Krygierowi paczuszkę, ale ten jej nie odbierał. W ciszy słychać było przyspieszone bicie ich serc.

— Dlaczego nie bierzesz?

Krygier nie odpowiadał. Przypominał sobie teraz różne wypadki z kryminalistyki, kiedy to wywiadowcy o nieczystym sumieniu pozbywali się w „cichy” sposób niewygodnych ludzi, którzy mogliby coś opowiedzieć... Krygier był zbyt doświadczony w tej dziedzinie, by się dał wziąć na „kawał”.

Fakt, że Regina przebywała w tej celi, dawał mu wiele do myślenia i nakazywał wielką ostrożność.

Wołkow domyślił się, że Krygier nie żywi do niego zaufania.

— Nie wierzysz mi, co?

— A ty wierzysz mi? — uśmiechnął się gorzko Krygier.

Krew nabiegła Wołkowowi do oczu... Kurczowo ścisnął rękojęć rewolweru w prawej ręce.

Wołkow wnet opanował się i odparł:

— Słuchaj, Krygier. Mamy mało czasu na rozmowę. Zjedz coś, a potem zastanowimy się nad sposobem przywrócenia ci wolności. Musimy to tak urządzić, by podejrzenie nie padło na mnie.

⁷⁰Krygierowi wzbierało się na płacz i śmiech — popr: Krygierowi zbierało się na płacz i śmiech lub: w Krygierze wzbierał płacz i śmiech. [przypis edytorski]

Krygier zbliżył się do Wołkowa, by spojrzeć mu w oczy. Ale Wołkow cofał się. Oparł się o mur celi.

— Boisz się, że chcę cię otruć?

— Może tak...

— Skoro tak, daremne są moje zabiegi — odparł Wołkow z żalem w głosie. — Mnie masz do zawdzięczenia, że jeszcze tu przebywasz, w tej celi. Szczupak od razu chciał cię przetransportować do więzienia. Zabroniłem mu wykonanie⁷¹ tego zamiaru. Stąd łatwiej mi będzie cię uwolnić. Wiedz o tym, że Szczupak mnie podejrzewa o współudział w waszej bandzie. Muszę zachować ostrożność...

— I nie bałeś się tu przyjść do mnie w nocy? A może cię szpiegują?...

— Bądź spokojny. Szczupaka gdzieś wysłałem. Nie ma go w Warszawie. Zleciłem mu dochodzenie w sprawie wymordowania całej rodziny gdzieś w małej mieścinie prowincjonalnej.

— A więc troszczysz się o mnie? — roześmiał się Krygier. — Powiedz mi, dlaczego nas nie uprzedziłeś, że dokoła nas kręci się konfidentka? I powiedz mi także, czy Janek oraz moi towarzysze są już aresztowani?

Wołkow przyjął wyraz twarzy zdziwionego człowieka i zapytał:

— Nie rozumiem twego pytania: o jaką konfidentkę ci chodzi? Nie mam pojęcia o niczym. Co się tyczy twoich współników, przebywają oni na wolności.

— Możesz udawać, to mnie nie obchodzi. Pragnę cię tylko uprzedzić, że gdyby się ze mną coś stało, spotka cię to samo z mojej strony. Mam na ciebie bicz. Będziesz leżał razem ze mną...

Wołkow, choć był oburzony, odparł ze spokojem:

— Szczupak teraz pracuje na własną rękę. O konfidentce, o której wspomniałeś, dopiero się od ciebie dowiaduję. Gdybym wiedział o jej istnieniu, uprzedziłbym was. Zjedz coś, a potem pogadamy...

— Głód już minął. Słucham cię, mów.

— Jeżeli nie masz do mnie zaufania i nie chcesz spożyć tego, com ci przyniósł, nie będę wcale z tobą mówić.

Krygier znów roześmiał się na głos.

— Nie śmieję się tak głośno — strofował go Wołkow. — Mogą jeszcze usłyszeć na korytarzu.

— Słuchaj mnie, skoro nie chcesz mówić — odezwał się Krygier. — Gdzie jest Regina?

Nadaremnie Krygier wpił się wzrokiem w twarz Wołkowa. Z powodu mroku, który panował w celi, nie mógł pochwycić tych tajemnych drgnień na twarzy Wołkowa, których spodziewał się.

— Ty mnie o to pytasz? — odparł Wołkow. — Skąd mam o tym wiedzieć? Zapewne uciekła za granicę po wyłudzeniu ode mnie koliai brylantowej.

— Więc nic ci nie wiadomo o Reginie? — ironizował Krygier.

— Co ci znowu strzeliło do głowy? Czyż muszę wiedzieć wszystko o Reginie? Sądzisz, że nie mam poważniejszych trosk? Ty z twoimi kompanami wdarliście się do mego życia i od tej chwili nie mam spokoju. Szczupak szpera, szuka dowodów przeciw mnie. Można oszaleć. W ogóle nie rozumiem, dlaczego jeszcze przebywacie w Polsce.

— Chcesz się nas pozbyć?

— Byłoby lepiej dla nas wszystkich, gdybyśmy się rozstali. W przeciwnym wypadku czeka nas smutny koniec.

— Dobrze, że zdajesz sobie z tego sprawę — uśmiechnął się gorzko Krygier. — A jednak twierdzą nadal, że tylko ty możesz nam wyjawić tajemnicę zniknięcia Reginy.

— Nie rozumiem twego uporu, z jakim stale wracasz do kwestii Reginy, jakby to było w tej chwili najważniejsze. Jestem zdania, że musimy się zastanowić nad sprawą twego uwolnienia.

— To rzecz bardzo prosta — odparł Krygier. — Zwrócisz mi tylko moje obuwie, które zabrali agenci, a resztę zostaw mnie.

⁷¹zabroniłem mu wykonanie — popr.: zabroniłem mu wykonania. [przypis edytorski]

— Owszem, twoja garderoba jest u mnie, ale sam rozumiesz, że jej wydać ci nie mogę.

— Nie chcę niczego od ciebie. Możesz iść.

— Wyrzekasz się mojej pomocy?

— Powiedz mi wprzód, gdzie jest Regina?

— Znowu wyjeżdżasz z Reginą. Niestety, nic ci nie mogę powiedzieć, bo nie wiem.

Krygier podbiegł do muru, na którym widniał napis Reginy. Wołkow nie ruszał się z miejsca.

— Chodź tu, nie lękaj się. Wytlumacz mi, skąd się tu wzięła Regina? Data tu podana zgadza się z datą jej nagłego i tajemniczego zniknięcia.

Wołkow naraz zrobił krok naprzód. Niespodziewanie podskoczył do Krygiera i chwycił go za gardło.

Obaj stoczyli ze sobą zacięty bój. Wołkow miał przewagę nad wygłodzonym Krygierem. Z całych sił zaciskał palce dokoła szyi Krygiera. Już był bliski triumfu, że wnet pozbędzie się najzaciętszego wroga, którego od dawna chciał uprzątnąć...

Krygier leżał przyduszony butem Wołkova i czuł, że go siły do reszty opuszczają, jego mózg z gwałtowną szybkością przebiegały różne myśli, ścigane tajemniczą siłą. Jego oczom ukazała się śmierć w okrutnej postaci.

To, co nastąpiło, spadło na niego tak niespodzianie, że stawiał słaby opór. Teraz już zrozumiał, jak zginęła Regina.

W celi odbił się echem kaszel przechodzącego korytarzem. Wołkow przerażony puścił na chwilę ofiarę. Krygier wykorzystał ten moment, by resztkami sił rzucić się z kolei na Wołkova.

Okropna świadomość, że tu chodzi o śmierć lub życie, przywróciła Krygierowi siły i odwagę. Znał lepiej technikę walki od Wołkova. Wnet też zyskał przewagę nad przeciwnikiem. Zręcznym ruchem Krygier wyciągnął rewolwer z kieszeni Wołkova. Bez namysłu rąbnął go w skroń ręką ręką brzojową. Wołkow runął na ziemię.

Krótką chwilę Krygier stał oszołomiony. Przerazenie malowało się w jego oczach. Dreszcz wstrząsnął jego ciałem. Nienawidził „mokrą” robotę⁷².

W pośpiechu zaczął ściągać odzież z Wołkova. W ciągu kilku chwil Krygier miał już na sobie mundur komisarza. Wołkow leżał nieruchomy z na wpół otwartymi oczyma, jakby udawał, że nie widzi, co się w celi dzieje.

Krygier, przekonawszy się, że Wołkow jeszcze żyje, rozglądał się za czymś, co mogłoby zastąpić powrót dla związania przeciwnika. Ale oto Wołkow wskoczył na równe nogi i jednym skokiem rzucił się na Krygiera i powalił go na drewnianą narę. Znowu wpił się palcami w gardło Krygiera, usiłując go udusić.

Twarz Wołkova aż zsiniała z natężenia. W jego oczach błysnęły złe ogniki... Nie zależało mu tyle na śmierci Krygiera, ile na ocaleniu własnego życia. Rozpaczliwie bronił swego istnienia. Nie wątpił w to, że, o ile nie wykończy przeciwnika, padnie jego ofiarą.

Teraz stacali ze sobą walkę niby dwa wilki gotowe się zagryźć na śmierć. Gdy Wołkow dusił Krygiera, ten bił go ręką ręką rewolweru po głowie, gdzie się dało.

Walka toczyła się we mrokach i ciszy, jakby między nimi stanęła umowa, że nikt z nich nie będzie krzyczał ani wzywał pomocy.

Wołkow czuł, jak po jego twarzy sączy się wąski strumyk ciepłej krwi. Siły opuszczały go. I naraz poczuł ukłucie w sercu. W oczach mu ściemniało. Ręce jego uwolniły szyję Krygiera. Wołkow potoczył się z nary na ziemię.

Krygier leżał przez pewien czas, nie ruszając się z miejsca. Nie mógł zrobić większego wysiłku po tej wyczerpującej walce. Ale instynkt pokonywa największe niebezpieczeństwo. Zerwał się z nary. Potknął się o Wołkova. Ledwie utrzymał się na nogach. Okoliczność, że Wołkow nie drgnął nawet, przeraziła Krygiera.

Pochylił się nad leżącym. W tym momencie zauważył, że Wołkow jeszcze się rusza.

— Potworze, ty! Jeszcze zipiesz?

Krygier wyrzucił te słowa pół szeptem. Ręce jego wyciągnęły się ku szyi Wołkova...

Wołkow zaśmiał się dziwnie. Od tego śmiechu Krygierowi zrobiło się nieswojo.

— Oszałał! — szepnął Krygier.

⁷²nienawidził „mokrą” robotę — popr. nienawidził „mokrej” roboty. [przypis edytorski]

Gdy niesamowity chichot ustał, Krygier przeraził się, sądząc, że Wołkow już nie żyje. Przyłożył ucho do jego serca. Dosłyszał słabe bicie. Wyjął z paczki przyniesionej dlań przez Wołkova butelkę wódki i wlał ją komisarzowi w usta.

„Czy aby tylko ta wódka nie była zanieczyszczona trucizną?” — zapytywał siebie w duchu Krygier.

Wołkow nieco ożywił się, ale nie odzyskał sił. Od czasu do czasu tylko wybuchał dziwnym chichotem.

Krygier postanowił czym prędzej wydostać się z celi. Zdarłszy z komisarza koszulę, związał mu ręce i nogi, po czym wsunął go pod narę.

Wyglądziwszy na sobie mundur, Krygier opuścił celę. Ostrożnie prześlizgnął się przez korytarz i kluczami, które zabrał u Wołkova⁷³, wydostał się do wyjścia. Na ulicy przechadzał się policjant, będący w tym miejscu na warcie. Na widok wychodzącego komisarza zaszalutował...

Krygier był na wolności.

⁷³które zabrał u Wołkova — popr. które zabrał Wołkowi. [przypis edytorski]

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/nachalnik-w-matni/>

Tekst opracowany na podstawie: Urke Nachalnik, *W matni*, Wydawnictwo M. Fruchtmanna, Warszawa 1938.

Wydawca: Fundacja Wolne Lektury

Publikacja zrealizowana w ramach biblioteki Wolne Lektury (wolnelektury.pl). Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Paulina Żydek, Weronika Nożyńska.

ISBN 978-83-288-7857-0

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).